

Sue

CIVIL-BROWN

*UWODZĄC
PANA W.*

Rozdział 1

Po deszczowym, szarym, listopadowym Chicago jaskrawa zieleń Paradise Beach wydawała się sztuczna jak landszaft. Tess Morrow zapłaciła taksówkarzowi i stojąc wśród bagaży, zamknęła oczy, porażone ostrym słońcem. Dom matki i ojczyma wyglądał tak jak zwykle -jednopiętrowy budynek z czerwonym dachem i ogrodem pełnym kwiatów i palm.

Krajobraz, bujny, drażniący zmysły, niespodziewanie ją zirytował. Poczowała niesmak, jak na widok kobiety z dużym biustem w przezroczystej bluzce. Nagle ogarnęła ją duma, że mieszka w szarym posepnym mieście, na trzecim piętrze bez windy.

Tęskniła za Chicago - w tej chwili dałaby wiele za lodowaty podmuch od jeziora, tak charakterystyczny dla tego miasta. Jezu, jeszcze moment, a rozplynie się w tym upale.

Podniosła torbę podręczną i kuferek z kosmetykami, otworzyła żelazną furtkę i weszła do rajcu. Cóż, dla niektórych to może raj, ale Tess widziała coś grzesznego w pysznych czerwonych kwiatach bugenwilli i hibiskusa, w szumie palmowych liści. A drzewa w domu straszą bezlistnymi konarami...

Dziwnie zareagowała, ale teraz wołała o tym nie myśleć. Ma na głowie ważniejsze sprawy: matka i ojczym zaginęli.

Minęła podjazd z czerwonej cegły, przeszła wąską ścieżką prowadzącą do domu i z ulgą schroniła się przed palącym słońcem w cieniu werandy. Nerwowo szukała w torebce breloczka z kluczem do domu rodziców, kluczem, którego nie używała od lat.

Boże, ale gorąco. Gryzła ją wełniana spódnica, rajstopy przykleiły się do nóg, po plecach spływał strumyk potu, a ciemne włosy grzały w szyję.

Gdzie, do licha, podział się ten breloczek? Postawiła bagaż na ziemi i energicznie przetrząsała zawartość torebki. Znalazła zużytą chusteczkę, paragon - dowód zakupu butelki wina, czego

sobie absolutnie nie przypominała - opakowanie ibuprofenu i kilka wymiętych wizytówek. Pot kapnął jej z nosa na pogniecione chusteczki.

No. Jest. Na samym dnie torebki. Już-już miała włożyć klucz do zánika, gdy drzwi uchylily się lekko i nagle stanęła twarzą w twarz z przekleństwem swego życia, przyrodnim bratem, Jackiem Wrightem. Co gorsza, Jack się śmiał.

- Proszę, proszę, Mała - powiedział z lekkim karaibskim akcentem, niedbale oparty o framugę.

- No, nie. - Tess złapała za klamkę i z rozmachem zatrzęsnęła drzwi.

Cisnęła klucz do torby, porwała bagaże i pomaszzerowała z powrotem.

Mniej więcej w połowie ścieżki się opamiętała. Co ona wyprawia, u licha?

Ma takie samo prawo tu być jak on!

Zakłęła pod nosem, obróciła się na pięcie i o mały włos nie wykręciła sobie nogi, gdy wysoki obcas utkwil w szczelinie między płytkami. Zakłęła głośniejsze i zawróciła do domu.

Znowu postawiła bagaże na ziemi i ponownie zaczęła szukać klucza. Była wściekła, zęby ją bolały od ciągłego zaciskania, pot zalewał oczy, chciało jej się wrzeszczeć ze złości.

Wkładała właśnie klucz do zamka, gdy drzwi znów się otworzyły. Jack, jak przed chwilą, niedbale opierał się o framugę i uśmiechał od ucha do ucha.

- Proszę, proszę, Mała - powtórzył. - Zmieniłaś zdanie?

Czuła do niego taką niechęć, że aż ścisnęło ją w gardle.

- Nie mów tak do mnie - warknęła. Od dawna miała kompleksy na punkcie niskiego wzrostu, ale to nie powód, żeby sobie z niej kpił, sam nie jest wcale taki wysoki, ma najwyżej metr osiemdziesiąt.

- Właściwie co ty tu robisz?

- To samo co ty. Zgubili się szanowni rodzice.

- A ty oczywiście nic o tym nie wiesz. - To nie było pytanie. Spochmurniał i uśmiech zastąpił fałszywy smutek.

- Cieszę się, że masz o mnie dobre zdanie.

- Wiesz, jakie mam o tobie zdanie? Że tkwisz po uszy w kłopotach. Nadal stał w drzwiach. Tess było coraz bardziej gorąco.

- Wpuścisz mnie?

- Ależ proszę! - Cofnął się z głębokim ukłonem i pozwolił jej wejść. W środku było niewiele chłodniej, bo Jack pootwierał wszystkie okna.

Tess postawiła torbę na posadzce z terakoty i zrzuciła wełniany żakiet. Bluzka z długim rękawem przykleiła się do spoconego ciała. Starła się nie zwracać uwagi na zainteresowanie, z jakim Jack ją obserwował, ani na dziwny dreszcz, który budził w niej jego wzrok.

- Nieodpowiedni strój jak na tutejszy klimat - stwierdził od niechcienia. Miał na sobie szorty khaki i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Opalona skóra i wspaniałe nogi przyciągały wzrok.

- Co ty powiesz. - Cały Jack, odkrył Amerykę. - W Chicago jest zimno.

- Brawo.

Łypnęła na niego spode łba i wyciągnęła rękę po torbę. Jack ją uprzedził.

- Pewnie zostaniesz tu dłużej - orzekł zrezygnowany.

- Dopóki nie odnajdziemy rodziców.

- Tego się obawiałem.

- Cóż, nikt cię tu nie trzyma.

- Mnie? - Uniósł brwi. - Ja pierwszy przybyłem na ratunek, Mała. Słyszałaś kiedyś o prawie zasiedzenia?

Błyskawicznie podjęła decyzję: nie będzie zwracała uwagi na jego zaczepki.

- Więc masz mnie na głowie, głupku.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do sypialni, którą zajmowała, ilekroć przyjeżdżała z wizytą.

Uśmiechnęła się pod nosem z satysfakcją na myśl, że Jack taszczy jej toboły. Pewnie najchętniej by je wyrzucił, a jednak teraz posłusznie dźwiga, jak bagażowy. Tylko do tego się nadaje, stwierdziła złośliwie.

Jack doprowadzał ją do szału, odkąd ich rodzice pobrali się piętnaście lat temu. Przez ostatnich kilka lat, w trosce o swoją równowagę i zdrowie psychiczne, nie odwiedzała matki i ojczyma w czasie wakacji i świąt. Choć chętnie spotkałaby się z nimi, nie zniosłaby kolejnych złośliwości Jacka. Potrafił zaleźć jej za skórę szybciej niż kleszcz i był równie irytujący.

Zresztą, to takie poniżające, żeby ona, kobieta trzydziestoletnia, kłóciła się jak pięciolatka.

Postawił torby na ławie koło łóżka.

- Coś jeszcze, szanowna pani? - zapytał z fałszywą uprzejmością.

- Tak. Wyjdź stąd. Natychmiast. Przechylił lekko głowę i ani drgnął. Niech go licha!

- Nie jesteś ciekawa, co już wiem o staruszkach? Serce zamarło jej w piersi. Nie do wiary, do tego stopnia zdenerwowała ją obecność Jacka, że zapomniała, po co właściwie tu przyjechała.

- Co? Powiedz, co, Jack?

- Nic a nic.-Zasalutował i wyszedł.

Tess zatrzasnęła za nim drzwi. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, gdy

usłyszała jego śmiech.

Boże, jest okropny! Kłócili się, od kiedy tylko się poznali. Zapytał wtedy, dlaczego ma takie durne imię - Tess. Od tamtej pory zawsze jej dokuczał.

Ściągnęła bluzkę i spódnicę, zrzuciła przepoconą bieliznę. Właściwie, przyznała w myśli, nie on wszystko zaczął. To ona zapytała złośliwie, dlaczego nadal mieszka w domu, skoro wkrótce skończy college.

No dobrze, zachowała się paskudnie. Ale miała tylko piętnaście lat i była wściekła, że matka znów wychodzi za mąż -

to oznaczało, że ojciec już do nich nie wróci. Mimo wszystko to nie powód, by Jack stale jej dokuczał.

Wytarła się i włożyła letnie ciuchy, których nie miała na sobie od ostatniej bytności tutaj. Kusila ją kolorowa plażówka - w niej zawsze czuła się kimś innym, ale nie chciała dawać Jackowi pretekstu do kąśliwych komentarzy. Zdecydowała się więc na białe szorty i różową koszulkę, włożyła białe tenisówki i ruszyła na spotkanie z domorosłym dręczycielem.

Jack siedział w salonie, ze słuchawką przy uchu. Za przeszkloną ścianą w popołudniowym słońcu, rozciągał się widok na spokojną zatokę.

Dlaczego ten denerwujący facet jest taki przystojny? Spłwiałe od słońca pasma w ciemnych włosach... ciekawe, czy całe życie spędza na plaży, na desce surfingowej. Nikt tak naprawdę nie wie, czym Jack się zajmuje, a to oznacza, że nie jest to nic dobrego. Kiedy sobie o tym przypomniała, przestała podziwiać jego urodę.

On tymczasem skończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

- Od kiedy tu jesteś?- zapytała.
- Przyjechałem pół godziny przed tobą. Tyle jeśli chodzi o prawo zasiedzenia.
- Też do ciebie dzwoniła?
- Sąsiadka? Tak.
- Chwileczkę. - Odgarnęła mokre włosy z czoła. Zapuściła je przed pięcioma laty, gdy zamieszkała w Chicago, ale teraz, z powrotem na Florydzie, nagle zapragnęła je obciąć. - Jaka sąsiadka? Żadna sąsiadka do mnie nie dzwoniła.
- A kto?
- Rodzice. To znaczy mama. Dwa dni temu. Wyjechałam na kilka dni, na kontrolę, nagrała się na sekretarkę, zostawiła wiadomość, że starają się złapać samolot do domu. Nie powiedziała, gdzie są. A ja nawet nie wiedziałam, że w ogóle wyjeżdżali.
- Ja też. Dzwonili dwa dni temu, tak?

- Nie, wtedy odsłuchałam wiadomość. Nie wiem, kiedy dzwonili. Uniósł brwi.

- Jak to?

- Moja sekretarka nie ma datownika.

- Boże, Tess, stale tkwisz w epoce wiktoriańskiej? Kup sobie nową sekretarkę.

Znowu się zirytowała.

- Teraz to nic nie pomoże. I nie żyję w epoce wiktoriańskiej.

- Popatrz, popatrz, już się dałem nabrać. - Nerwowo przechadzał się po pokoju. - Czyli możliwe, że dzwonili zaledwie dwa dni temu?

- Nie, chyba nie, bo nagrały się jeszcze inne wiadomości po telefonie mamy. Jedna z nich w czwartek, więc to co najmniej... - Urwała, licząc w myśli. - Co najmniej sześć dni.

- Czy ktoś ci już mówił, że nadajesz się na detektywa?

Miała wrażenie, że słyszy sarkazm w jego głosie, i jak zwykle rozżłościła się.

- Pracuję w urzędzie podatkowym. Mam olej w głowie. Myślę logicznie.

- Coś takiego. Czy nie prościej byłoby sprawić sobie nowszy model sekretarki automatycznej, z datownikiem?

- Nie jestem głupia.

- Naprawdę? Zgrzytnęła zębami.

- Do rzeczy!

- Tak jest. Tatus i mamusia zaginęli. Odsłuchałaś wiadomość, że starają się złapać samolot do domu. Nie powiedzieli, gdzie są. Dzwonili prawdopodobnie sześć dni temu. Przed dwoma dniami zadzwoniła do mnie sąsiadka, twierdząc, że staruszkowie zaginęli. Czy wszystko się zgadza?

- Tak. - Wycodziła przez zęby, bo nie spodobało jej się, że podkreślił słowo „prawdopodobnie”.

- Właściwie jakim cudem ta sąsiadka do ciebie zadzwoniła? - zainteresowała się. - Nikt nie ma twojego telefonu.

- To ty nie masz mojego telefonu.

Chciała mu przyłożyć, ale się opanowała. Przecież na co dzień nie z takimi typami się styka i nigdy nie traci zimnej krwi.

- Mama powiedziała, że jesteś nieosiągalny - oznajmiła w miarę spokojnie.

- Jej ojczystym językiem jest francuski. Czasami coś pomyli.

- Czyli masz telefon?

- Nie.

- O Boże! - Coraz bardziej zirytowana, Tess splotła ręce na piersi i nerwowo uderzała stopą w podłogę. - Więc jakim cudem sąsiadka cię zawiadomiła?

- Mam pager.

- Och. - Cóż, teraz stało się jasne, czemu matka mogła tego nie zrozumieć. Brigitte LeBlanc Wright często coś myliła i nie chodziło tylko o język. Wciąż jednak nie dawało jej spokoju, że sąsiadka miała numer pagera, a ona nie. Ale to przecież bez znaczenia.

- Kiepska sprawa - odezwał się po jakimś czasie.

- Co ty powiesz. - Chciała, by zabrzmiało to naprawdę sarkastycznie. - Kto do ciebie dzwonił?

- Pani Niedelmeyer, ta starucha, mieszka trzy domy dalej i całymi dniami tkwi w oknie.

- Tak, wiem, stare wścibskie babsko. Co powiedziała?

- Że ojciec i mama zniknęli przed tygodniem. Nie powiedzieli nikomu, że wyjeżdżają, i zaczęła się martwić.

- Boże. - Tess ciężko opadła na fotel i zagapiła się tępo w podłogę. -Jezu, Jack, nie myślisz chyba, że polecieci na Kubę?

- Na Kubę? Dlaczego akurat na Kubę?

- Mama zawsze chciała tam pojechać. Ciągle o tym mówiła.

- Świetnie. - Zatrzymał się w pół kroku i oparł dłonie na biodrach. -Cóż, jest Kanadyjką.

- I co z tego?

- To z tego, że ona mogła pojechać. Ojciec nie.

- Oczywiście, że mógł. Amerykanie wciąż latają na Kubę, tylko nie ze Stanów. Ciągłe się słyszy ostrzeżenia, przede wszystkim, że tam nie ma ambasady i jeśli się wpadnie w tarapaty, nie wiadomo do kogo zwrócić się o pomoc.

- Ale chyba powiedzieliby komuś, gdyby wybierali się na Kubę?

Musiała przyznać mu rację. Zawsze przed wyjazdem informowali i ją, i Jacka, dokąd się wybierają.

- Zawiadomimy policję?

- Jeszcze nie, bo co powiemy. Nasi rodzice wyjechali bez słowa, i nagrali się na sekretarce, że chcą złapać lot do domu? Wyśmieją nas.

Tess straciła resztki nadziei. Cóż, miał rację, choć chciała mu oponować. Na szczęście ugryzła się w język, zanim wyszła na idiotkę.

- Musimy coś zrobić.

- Zgadzam się. I to zaraz.

- Co?

- Porozmawiam ze starą Niedelmeyer, zobaczę, może wie więcej, niż powiedziała przez telefon.

Tess niechętnie mu przytakiwała, ale to był naprawdę doskonały pomysł.

- No to chodźmy. Uniósł brew.

- Ty też?

- Tak, ja też - zaperzyła się. - Oczywiście, że ja też chcę się czegoś dowiedzieć u źródła.

Westchnął i uśmiechnął się krzywo.

- Więc chodźmy, zanim nasze źródło całkiem wyschnie. W końcu jest już stare.

- Czy ty zawsze musisz żartować?

- Humor pomaga rozładować napięcie. Zerwała się z krzesła.

- Naprawdę nie bierzesz nic poważnie? Uśmiech znikł z jego twarzy i przez chwilę Jack sponsepniał.

- Podchodzę poważnie do wielu spraw. Posłuchaj, Mała. To, że ktoś nie odpowiada twojemu wyobrażeniu idealnego człowieka, nie znaczy, że jest draniem.

Prychnęła tylko i podeszła do drzwi. Jack deptał jej po piętach. Przez chwilę miała ochotę odwrócić się gwałtownie i zwalić go z nóg, ale się powstrzymała. Co by było, gdyby pociągnął ją za sobą? Wołała o tym nie myśleć.

W domu było jednak chłodniej, niż jej się wydawało, gdyż ledwie wyszli na dwór, poczuła, że się rozplywa.

- Jezu, co za wilgoć.

- Jesteśmy nad wodą- odparł z irytującym spokojem.

- Wiem. Dlatego jest wilgotno. I gorąco. Nie pojmuję, jak można tu mieszkać.

- Zaraz, zaraz: wiele osób nie zgodziłoby się z tobą. Właściwie mamy cudowny dzień. Koło dwudziestu siedmiu stopni.

Cudowny? Chyba tylko zdaniem takiego jak on prymitywa. Już czuła, jak jej skóra smaży się na słońcu. Ciekawe, czy dostanie gdzieś krem z faktorem 50, zanim spali się na skwarkę.

Idąc spokojną uliczką, minęli dwa domy, zupełnie do siebie niepodobne. Wzdłuż uliczki rosły wysokie palmy - nadawały jej egzotyczny, tropikalny wygląd. Tess nie pojmowała fascynacji tymi drzewami - co jak co, ale cienia nie dają ani odrobinę.

Dom Niedelmeyerów stał po przeciwnej stronie. Był to bungalow z lat pięćdziesiątych, dużo mniejszy niż dom Wrightów. Aż się prosiło, by pomalować różowy tynk, podobnie jak turkusowe framugi okien i drzwi. W zaniedbanym ogrodzie uparcie kwitły czerwone krzewy hibiskusa.

Drzwi otworzyła im pani Niedelmeyer. Była drobną, zasuszoną kobietą w nieokreślonym wieku, o bielusińkich

włosach skręconych mocną trwałą i przenikliwych piwnych oczach. Powitała Jacka szerokim uśmiechem.

- Jack, mój chłopcze, co za miła niespodzianka.

Z Tess przywitała się zdecydowanie chłodniej.

Dlaczego Jack budzi ciepłe uczucia? Przecież nie lubi pani Niedelmeyer,

tak samo jak Tess. No, ale Jack oczarowałby nawet grzechotnika, gdyby się postarał. Między innymi dlatego mu nie ufała. Z drugiej strony, nigdy, ani razu, nie starał się oczarować jej, a to - zupełnie bez sensu - bardzo ją irytowało.

W środku unosił się dławiący zapach kwiatowych potpourri i kadzidełek. W małym saloniku stały stare zniszczone meble. Pani Niedelmeyer wskazała im fotele. Tess zastanawiała się, czy wyjdzie z tego domu żywa, czy się udusi. Wszystkie okna były szczelnie zamknięte.

- Zaraz podam herbatę i ciasteczka - pani Niedelmeyer wyraźnie chciała

zatrzymać ich dłużej.

Tess z trudem trzymała nerwy na wodzy.

- Dzięki - powiedział Jack - niestety nie mamy czasu. Chcielibyśmy się dowiedzieć, co się stało z rodzicami.

- Och, na pewno po prostu pojechali na urlop - stwierdziła pani Niedelmeyer.

- Tak? To dlaczego pani do mnie zadzwoniła i powiedziała, że się o nich martwi?

Starsza pani wyraźnie się zmieszała.

- Zrobiłam to?

- Owszem.

- No cóż, rzeczywiście się martwię. Zawsze mówią, kiedy się gdzieś wybierają. Na pewno nie macie ochoty na herbatę i ciasteczka?

Tess i Jack wymienili spojrzenia. Jack ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

- Dlaczego uważa pani, że wyjechali na wakacje? - Nie dawał za wygraną.

- A gdzie niby są ludzie, kiedy na dłużej znikają z domu?
- Więc dlaczego się pani martwi?

Znowu zmieszanie na twarzy.

- Bo mi nie powiedzieli? - Zabrzmiało to tak, jakby szukała właściwej odpowiedzi.

- Widziała pani, jak wyjeżdżają?

- Nie. - Teraz była zadowolona z siebie, jakby w końcu pewna tego, co mówi.

- Kiedy ich pani ostatnio widziała?

Przechyliła głowę.

- Tydzień temu? Może trochę dłużej. - Zawstydzila się. - Przykro się do tego przyznać, ale często nie wiem, jaki jest dzień tygodnia. Na emeryturze dni są bardzo podobne. Czasami w sklepie pytam o datę, żeby wypisać czek. Ale poczekajcie, zawołam męża. Ma lepszą pamięć niż ja.

Wyszła z salonu, a oni zostali sami.

- Duszę się - wyznała Tess.

- Okropne, prawda? - Jack skinął głową. - Kiedy stąd wyjdziemy, wskakuję pod prysznic. Czuję się jak w domu pogrzebowym.

Nie wiadomo dlaczego to porównanie sprawiło, że Tess przeszedł dreszcz.

- Ona nic nie wie.

- Na to wygląda.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest taka stara.

- Ja też nie. Ale długo jej nie widzieliśmy.

- Fakt.

Nagle zapragnęła za wszelką cenę wydostać się z tego domu. Wydawało się jej, że jeszcze chwila, a wybuchnie. Nie tylko z powodu duszącego zapachu, dławiły ją także strach i niepokój.

- Może przesadzamy - mruknął Jack. - Może rzeczywiście wyjechali na urlop.

- Bez słowa? Ich oczy się spotkały: jej jasnyniebieskie, jego piwne.

- Racja - przyznał. - Chwytam się brzytwy. Przez jedną zdradziecką chwilę pomyślała o nim ciepło, ale zaraz się zreflektowała. Owszem, jadana tym samym wózku, ale to jeszcze nic nie znaczy.

Pani Niedelmeyer wróciła z mężem. Był łysy i pulchny; miał na sobie białą koszulkę i spodnie na szelkach.

- Przepraszam, pracowałem w warsztacie-mruknął na powitanie. -Madge mówi, że się martwicie o rodziców. Niestety, nic nie wiem. Byli i się zmyli.

- Wspominali coś o wyjeździe? - pytała Tess.

- Nie mnie.

- A pamięta pan, kiedy ich ostatnio widział?

Niedelmeyer zmarszczył brwi i utkwiał wzrok w suficie.

- Niestety nie. Tydzień temu? Może trochę dłużej. Steve był na dworze, kombinował coś z zamkiem w furtce. - Wzruszył ramionami. - Ostatnio coraz więcej tu włóczęgów, a dwa tygodnie temu ktoś się włamał do domu niedaleko stąd. No, może trzy tygodnie. W każdym razie Steve chciał zamontować zamek w furtce i może zainstalować system alarmowy. Nie wiem, czy to w końcu zrobił. Nie myślicie chyba, że włamywacze ich zamordowali?

Tess zdrętwiała.

- Nie, nie - zapewnił Jack pospiesznie. - Jesteśmy właściwie pewni, że wyjechali. Brigitte dzwoniła do Tess kilka dni temu, powiedziała, że wracają.

- Skoro tak, to gdzie są? - zapytał pan Niedelmeyer,

- Sami się nad tym zastanawiamy.

- Dlaczego właśnie mnie pytacie, kiedy ich ostatnio widziałem? Myślicie, że coś im zrobiłem? - Poczzerwieniał.

- Nie, skądże - uspokajał go Jack. - Zastanawialiśmy się tylko, czy...

Tess nie dała mu dokończyć.

- Panie Niedelmeyer, chcemy się dowiedzieć, czy dotarli tu po telefonie do mnie. Albo gdzie utknęli. Tylko tyle. Dzwonili mniej więcej sześć dni temu i powiedzieli, że starają

się złapać samolot do domu. To wszystko, co wiemy. A pan nie widział ich w ciągu ostatnich sześciu dni. I tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć.

Niedelmeyer pochylił się i pogroził jej kościstym palcem.

- Jedno ci powiem, młoda damo. Trawa jest nieskoszona.
- Trawa jest nieskoszona? - powtórzyła tępo.
- Trawa jest nieskoszona - oznajmił stanowczo, odwrócił się i zniknął w domu pachnącym różami.

Tess spojrzała na Jacka, nic nie rozumiejąc. Jego wzrok wyrażał to samo. Pani Niedelmeyer przerwała milczenie:

- Czy na pewno nie chcecie herbatki i ciasteczek?

Tess pomyślała, że zwymiotuje, jeśli będzie musiała coś przełknąć w dławiącym zapachu róż. Odmówiła grzecznie i zapytała:

- Pani Niedelmeyer, co pani mąż miał na myśli, mówiąc, że trawa jest nieskoszona?

- Że jest nieskoszona - wzruszyła ramionami. - A co innego? Na dworze, w upale, Tess łapczywie chwyciła powietrze.

- Boże, myślałam, że się uduszę.
- Ja też. - Ale Jack zdawał się jakiś nieobecny. - Trawa jest nieskoszona. O co mu chodziło, do licha? Tekst jak z kiepskiego filmu szpiegowskiego.

Wskazała dom rodziców.

- Trawnik zaniedbany. Może chciał powiedzieć, że nie ma ich od dawna, inaczej skosiliby trawę.

- Może.

Zbliżali się do domu. Tess uważnie przyglądała się wszystkim trawnikom. - Co najmniej tydzień, nie sądzisz?

- Tydzień?
- Odkąd ostatnio koszone ten trawnik. Przypatrzył się trawie.

- Może. Nie znam się na tym. Ale skoszę, zanim sąsiedzi się zdenerwują. Rzeczywiście bardzo urosła.

- Nie, nie koś!

Stali przy furtce. Jack uniósł brew.

- Nie ktoś? A niby dlaczego?
- Bo musimy się dowiedzieć, ile potrzeba czasu, żeby tak urosła.

- Jesteś szalona.

- Wcale nie. Gdybyśmy wiedzieli, kiedy ostatnio ją ścinano... -Pstryknęła palcami. - Zaraz, zaraz, czy oni przypadkiem nie zatrudniają do tego firmy ogrodniczej, jeśli wyjeżdżają na ponad tydzień?

- To możliwe?

- Tak mi się wydaje. Mama coś kiedyś wspominała. - Wpatrywała się w trawnik. - Jeśli się dowiemy, kiedy ostatnio koszone trawnik, będziemy wiedzieć, kiedy wyjechali.

- Brawo, mój drogi Watsonie. Jak się do tego zabierzesz? Wyliczysz średnie tempo wzrostu tego gatunku trawy w tym klimacie? Oczywiście biorąc po uwagę wodę lub jej brak, ilość nawozu w glebie, że nie wspomnę, jak była wysoka, gdy skoszono japo raz ostatni. I voila, podasz dokładną liczbę godzin od ostatniego koszenia? Nic nie szkodzi, że nie wiemy, kiedy kosili ją przed wyjazdem, może dobrych kilka dni. Nic nie szkodzi, że już wiemy, że nie ma ich od sześciu dni, czyli od kiedy do ciebie dzwonili. Ach, zapomniałem o datowniku w twojej sekretarce automatycznej, więc tylko zakładamy, że minęło sześć dni.

Łypnęła na niego groźnie, przekonana, że go nienawidzi. Serdecznie nienawidzi.

- Masz lepszy pomysł, plażowy obiboku?

- Plażowy obiboku? - zaskoczyło go to określenie. - Masz mnie za zwykłego plażowego obiboka? Nic lepszego nie wymyślisz?

- Wymyślę. Jesteś bezproduktywny. Bezużyteczny. Pasożyt na ciele społeczeństwa.

Powoli skinął głową. Ładne usta wykrzywiły się w dziwnym uśmiechu, w ciepłych zwykle oczach pojawił się błysk.

- Pasożyt na ciele społeczeństwa. Niezłe. To oczywiście nie dotyczy was, urzędników fiskusa. Pewnie widzicie się jako współcześni pomocnicy Robin Hooda, a tak naprawdę okradacie biednych i pomagacie bogatym się bogacić.

- Nie masz pojęcia, na czym polega moja praca!

- Wiem, że pracujesz w urzędzie podatkowym. Sądzę, że kiedy w zeszłym tygodniu nie było cię w Chicago, pewnie zamieniałaś w piekło życie jakiegoś biednego frajera. Dobrze ci z tym, Tess? Możesz spać po nocach?

- Ty arogancki, bezczelny darmozjadzie! Trzeba płacić podatki dla dobra społeczeństwa! A niby skąd byłyby pieniądze na autostrady, zapory i pomoc socjalną?

- Jasne. I płacę bez zmruczenia oka.

- Ty? Płacisz podatki? Za co? Za deskę surfingową?

Nadal dziwnie się uśmiechał.

- Niestety, muszę panią rozczarować, panno Morrow. Nie mam deski surfingowej. Nie wymierzam także ogromnych kar za drobne potknięcia. A teraz wybacź, ale skoszę tę cholerną trawę i pomyślę, w co też twoja matka wciągnęła mojego ojca.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Moja matka wciągnęła twojego ojca? Uważasz, że Steve nie potrafi myśleć samodzielnie?

- Daj spokój, Tess, znasz matkę. Uwielbia dramaty. Wystarczy sekunda, by odegrała tragedię, jeśli coś nie układa się po jej myśli. To fascynujące, przyznaję, ale też diablo męczy.

Poszedł do garażu. Tess odprowadzała go wzrokiem. Już chciała stanąć w obronie matki, powiedzieć mu, co z niego za drań, lecz milczała.

Bo w głębi duszy wiedziała, że Jack ma rację. To jej matka. Może, cokolwiek tu się stało, Brigitte nie była temu winna, ale prawie na pewno pomysł zrodził się w jej głowie.

Tymczasem Steve i Brigitte przepadli jak kamień w wodę, a jedyną wskazówką, jaką dotychczas zdobyli, była informacja, że trawa jest nieskoszona.

Tess nagle poczuła się bardzo przerażona i bardzo samotna.

Rozdział 2

Plażowy obibok. Te słowa dźwięczały mu w uszach, gdy wyciągnął kosiarkę z garażu i nalał benzyny z kanistra na półkę. Raz czy dwa zerknął w stronę furtki, gdzie Tess stała bezradnie, jak zagubione dziecko.

Jeżu, plażowy obibok! A on nie może się nawet bronić. Zaklął pod nosem, odstawił kanister na półkę, zakręcił bak w kosiarce.

Wbrew sobie ponownie spojrzął na Tess. Niestety, budziła w nim opiekuńcze uczucia. Zawsze tak było i za to jej nie znośli. Ale jest taka drobna i -jeśli ma być ze sobą szczerą - słodka. Niebieskie oczy, za duże w drobnej twarzy, ciemne włosy, czasami kruczoczarne, czasami, jak teraz, w słońcu, z ogniste czerwonymi refleksami. Wydawała się zagubiona, zagubiona i samotna.

Nie podobało mu się to, co w tej chwili czuł. Najgorsze, że czuł to samo od początku, od pierwszego spotkania, gdy ona miała piętnaście, a on dwadzieścia jeden lat. Nie był zachwycony małżeństwem ojca ani perspektywą posiadania siostry, ale był gotów zaakceptować nową sytuację - dopóki Tess nie otworzyła ślicznej buzi i nie dała mu popalić.

Rzuciła mu rękawicę - podjął ją ochoczo. Od tego czasu toczyli ciągły pojedynek, choć Jack powoli utwierdzał się w przekonaniu, że jego irytacja to substytut innych uczuć, które w nim budziła, zwłaszcza odkąd dorosła. Los narzucił mu rolę starszego brata, choć naprawdę nim nie był. To oznacza, że musi ją chronić, nawet przed samym sobą.

Jednak niełatwo widzieć w niej siostrę. Nie mógł nie zauważyć jej figury - idealnej. Zgrabne nogi, nieoczekiwanie długie u tak niskiej ósóbki. I piersi, które... Cóż, naprawdę starał się nie patrzeć.

Wystarczyło jednak, by Tess otworzyła usta, i zaraz sobie przypominał, że to jednak jego młodsza siostra, utrapienie, które wbrew woli wkroczyło w jego życie.

Z westchnieniem pociągnął za kabel kosiarki. Silnik ożył z głośnym rykiem. Zdecydował najpierw skosić trawnik od ulicy i koło furtki, więc ruszył w stronę Tess.

- Musisz zejść ze słońca - powiedział. - Jak skończę, skoczę po krem do opalania.

Zaskoczyła go, gdy skinęła głową i poszła do domu. Miała smutno opuszczone ramiona i zwieszoną głowę.

Cholera, za ostro ją potraktował. Nie powinien był żartować na temat jej matki i zawodu. To nie było ładne.

W głębi ducha wiedział, że cokolwiek się wydarzyło, Brigitte Wright maczała w tym palce. Lubiała dramaty i z zapalem wcielała w życie swoje pomysły, choćby najbardziej nieprawdopodobne. Z pewnością dodawało jej to uroku; nie każdy angażuje się całym sobą w kwestię, gdzie położyć serwetki przy kolacji Brigitte żyła pełnią życia w każdej chwili, w każdej sekundzie. Często pakowała się w kłopoty i ojciec Jacka nieraz rwał sobie włosy z głowy, starając się skierować nieposkromioną energię żony w inną stronę.

Tym razem pewnie mu się nie udało. Może pojechali na urlop w tajemnicze egzotyczne miejsce i utknęli tam. Albo gorzej. Wolał o tym nie myśleć. Dobrze znał Karaiby i Amerykę Południową, wiedział, co może spotkać turystów, którzy mieli pecha znaleźć się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

Zerknął w stronę domu. Ciekawe, co robi Tess. Po głowie uparcie chodziła mu myśl, że tak naprawdę nie są rodziną. Nie są spokrewnieni. Są sobie obcy, połączył ich jedynie związek rodziców. Nic więcej. Może byłoby inaczej, gdyby dorastali razem, ale tak się nie stało.

Za co, przyznał, powinien być wdzięczny losowi, bo Tess jest cięta jak osa. Nieprzyzwoity? Nawet nie ma pojęcia, co to znaczy. Najchętniej zabrałby ją do karaibskich barów i pokazał, co znaczy nieprzyzwoity.

Roześmiał się nieoczekiwanie dla samego siebie. Tess nie jest warta tyle zachodu. Dowiedzą się, co spotkało rodziców i

pójdą każde swoją drogą, jak zawsze. Za rok nie będzie nawet pamiętał, jak ona wygląda.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Powrócił niepokój, który go dręczył, odkąd zadzwoniła pani Niedelmeyer. Jeśli Brigitte wpakowała ojca w tarapaty, to... Cóż, właściwie nie wiedział, co wtedy zrobi.

Zawsze miał wrażenie, że fascynacja ojca Brigitte jest niebezpieczna. Takie zauroczenie może się skończyć tragicznie.

Koszenie zajęło mu prawie godzinę. Niezbyt długo, szczerze mówiąc, ale wystarczająco, by wymyślić ze dwa lub trzy miejsca, w których powinni poszukać. Tymczasem wpadł jedynie na pomysł, żeby porozmawiać z innymi sąsiadami.

Odstawił kosiarkę, strząsnął skoszone źdźbła z butów i wszedł do domu tylnymi drzwiami. W kuchni napił się wody z lodem. Rozglądał się za Tess. Stała w korytarzu, na progu gabinetu.

- Co jest ? - zapytał.

Drgnęła, jakby ją przestraszył, i spojrzała z dezaprobatą. Dobrze znał to spojrzenie. Czasami zastanawiało go, czy tak patrzy na wszystkich czy tylko na niego.

- Tak sobie myślę - zaczęła.

- To widać. Nad czym?

Zmarszczyła czoło.

- Daj mi skończyć.

- Zamieniam się w słuch.

- Skoro wybrali się w podróż, musieli kupić bilety.

- I co z tego?

- I to z tego - zerknęła na biurko - że może coś jest na wyciągach z kart kredytowych.

Punkt dla niej, przyznał w duchu.

- I tym sposobem dowiemy się...

- Że korzystali z biura podróży. A tam może powiedzą nam coś więcej.

Skinał twierdząco głową.

- Może. Ale nie dałbym sobie ręki uciąć.

- Zawsze jesteś takim pesymistą?
- Nie pesymistą, Mała, realistą. Zdziwiłbym się, gdyby biuro podróży udzielało takich informacji.
- Cóż... - zawahała się. - Mam uprawnienia pracownika urzędu podatkowego.

Jack wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Coś takiego. Wiktoriańska dama pokazuje skrawek koronki. Rozbawiło go to.

- Jesteś gotowa popełnić przestępstwo? Zmarszczyła czoło.

- To nie przestępstwo.
- Oczywiście, że tak. Ale co tam, żadna ława przysięgłych cię nie skaze, biorąc pod uwagę okoliczności.

Przewróciła oczami i westchnęła głośno.

- No, dalej - ponaglił. - Przejrzyj ich wyciągi.
- To naruszenie prywatności.

Gapił się na nią przez chwilę, a potem parsknął śmiechem. Śmiał się tak bardzo, aż rozboleły go boki. Nie mógł złapać tchu.

- Jezu, to ci się udało.

Oparła dłonie na biodrach i łypnęła na niego groźnie.

- Co, do diabła, tak cię ubawiło?
- Ty. - Otarł łzy z oczu, ciągle chichocząc.
- Ja?
- Ty. Boże drogi, pracujesz w urzędzie podatkowym.
- No i?
- Czy miałaś kiedykolwiek opory, że naruszasz czyjąś prywatność, grzebiąc w jego dochodach?
- Idiota! To zupełnie co innego!
- Tak? A niby dlaczego?
- Nie przeprowadzam tu kontroli. Nie mam prawa przeglądać ich wyciągów.
- Czyżby? - Spoważniał w jednej chwili. - Moim zdaniem fakt, że zaginęli, daje nam dużo praw. Jeśli pójdziemy na policję, zaczną właśnie od tego.

- Może. - Zapomniała o złości. Nerwowo zagryzła dolną wargę. -Tylko że... Ja rzeczywiście pracuję w urzędzie podatkowym, Jack. Co będzie, jeśli coś znajdę?

Zrozumiał. Spojrzała na niego i wbrew sobie dojrzał strach w niebieskich oczach.

- Wobec tego - powiedział -ja je przejrzę. Obiecuję, że oszczędzę ci widoku jakichkolwiek podejrzanych dokumentów choć nie sądzę, że jakieś będą. Znam mojego ojca.

- Ja też. Ale... mimo wszystko wolałabym nie wiedzieć, na wszelki wypadek, rozumiesz?

- Aż za dobrze. Rozczarowałaś mnie. Takie podejrzania... Obruszyła się.

- Dlaczego? Wolałbyś, żebym upadła tak nisko jak ty?

- Nie, żebyś się wzniosła na moje wyżyny. Rodzina zawsze na pierwszym miejscu, bez względu na wszystko.

Miała taką minę, jakby chciała wygłosić pouczający wykład, ale tylko zacisnęła usta. Czego jak czego, ale wykładów nie potrzebuje, zresztą mógłby sam wygłosić niejeden.

- Poczekaj, wskoczę pod prysznic - zaproponował. - Jestem spocony i oblepiony trawą i pyłkami. Zaraz wracam.

Zostawił ją na progu gabinetu, ciągle zagubioną i niespokojną. Dziwna kobieta. Jest gotowa posłużyć się legitymacją służbową, by wydobyć informacje od pracownika agencji turystycznej, ale obawia się zerknąć na wyciągi bankowe rodziców. Pokręcony system wartości.

Pewnie dlatego nigdy nie znaleźli wspólnego języka.

Wziął prysznic, przebrał się w czyste szorty i koszulkę polo. Wrócił do gabinetu. Tess nawet nie drgnęła.

Zaniepokoił się.

- Wszystko w porządku?

Podniosła głowę.

- Tak. Po prostu się martwię.

- Ja też. - Nie kłamał. Naprawdę się martwił, choć próbował zdławić to uczucie. Życie nauczyło go, że

zamartwianie się nie przynosi nic dobrego. Tylko osłabia szare komórki. Trzeba działać, robić co jest do zrobienia i tyle.

Ominął ją i wszedł do gabinetu. Zawsze zazdrościł ojcu tego pokoju. W przeciwieństwie do reszty domu, urządzonej w stylu śródziemnomorskim, lekkim i przewiewnym, gabinet przywodził na myśl czasy imperium brytyjskiego. Wentylator leniwie obracał się pod sufitem, na środku stało potężne biurko, a wzdłuż ścian regały z książkami.

Rozsunął rolety i po chwili pokój zalało słoneczne światło.

- No, dobra - spojrzał na regał z drewna tekowego, - Od czego zaczynamy?

- Może od kopert na biurku?

- OK. Ja się tym zajmę, a ty zajrzyj do skrzynki na pocztę.

- Dobrze. Czasami Tess jest nawet znośna. Nie do wiary.

Przysunął sobie krzesło i usiadł przy biurku. Wyglądało na to, że ktoś przyniósł pocztę tuż przed ich wyjazdem, jakby mieli zamiar przejrzeć ją później.

Odłożył ulotki reklamowe. Zainteresował go wyciąg z konta i dwa wyciągi z kart kredytowych. W szufladzie znalazł mosiężny nóż do papieru. Rozciął koperty.

- W skrzynce nic nie ma - poinformowała Tess od progu.

- Więc wstrzymali pocztę.

- A to znaczy? Zerknął na nią przez ramię.

- Tylko tyle, że mieli zamiar wyjechać na dłużej. Skoro nikt ich nie widział od tygodnia, a do ciebie dzwonili przed mniej więcej sześcioma dniami, możemy założyć...

- Że wpadli w tarapaty-dokończyła drżącym głosem.

- Tak jest. - Miał szalony pomysł, by czule ją przytulić, ale nie przypadłoby jej to do gustu. Dokładnie rzecz biorąc, prawdopodobnie kopnęłaby go w czule miejsce i kazała trzymać łapy przy sobie. Tyle, jeśli chodzi o chęć niesienia pomocy.

Wyjął wyciąg z koperty i przebiegł go wzrokiem.

- Kiepska sprawa-oznajmił po chwili.

- Dlaczego?

- Tylko numery czeków i podjęte sumy. Nie korzystali z kart do bankomatu.

- Pech.

Wsunął wyciąg z powrotem do koperty. Sięgnął po wyciągi z kart kredytowych.

- To nam też niewiele pomoże, chyba że kupili bilety ze znacznym wyprzedzeniem.

Podeszła do biurka.

- Ale przecież możliwe, że kupili wcześniej, prawda? W ten sposób dostaje się zniżki.

- Może. Z drugiej strony, może ten cały wyjazd to działanie pod wpływem impulsu?

- A może kupili bilety dużo, dużo wcześniej? Proponuję, żebyśmy przejrzeni stare wyciągi.

- Zobaczymy, na razie sprawdzimy ten. Jeśli nic nie znajdziemy, przekonamy się, jak działa twój słynny nos.

- Co proszę?

Białe zęby błysnęły w uśmiechu.

- W y , kontrolerzy podatkowi, macie n i e z a w o d n y instynkt i zawsze wiecie, gdzie szukać. Może obwąchasz szafki i tym sposobem znajdziesz stare wyciągi?

- Ty... świnió!

- Słyszałem już gorsze wyzwiska.

Pochylił się nad biurkiem, wyjął pierwszy wyciąg z koperty. Przebiegł

wzrokiem słupki cyfr.

- Jezu - mruknął. - Twoja matka wydała fortunę u Saksa w Tampa. Wyrwała mu wyciąg.

- Pokaż.

- A co? Zazdrosna? Spojrzała na niego z niesmakiem.

- Nie rozumiesz? Na pewno kupowała ciuchy na wyjazd. Teraz on wyrwał jej kartkę.

- Tak - zgodził się. - Chyba tak. Niestety, to nam nic nie mówi. Równie dobrze mogła robić zakupy przed podróżą do Paryża.

- Uwierz mi, gdyby wybierała się do Paryża, wydałaby o wiele więcej. Albo poczekałaby z zakupami i wydała fortunę na miejscu.

- Wiec co kupiła za tyle pieniędzy?

- Nie mam pojęcia. Na pewno nie suknię wieczorową. Zerknął na nią ciekawie.

- Ubierasz się u Saksa?

- Chciałabym. Ale wiem, jakie mają ceny. Za tę sumę niewiele mogła kupić. Może jakiś ciuch na co dzień.

- Na co dzień. Myślałem, że na co dzień nosi się szorty i koszulki.

- Co ty tam wiesz...

- Cóż, w każdym razie nic nam to nie daje. - Odłożył wyciąg i sięgnął po następną kopertę.

- Znowu nic - o z n a j m i ł po chwili. - Naprawa samochodu, wizyta u dentysty, zakupy spożywcze... - Nie czytał dalej.

- Nic z tego - zawyrokował. - Chyba że znajdziesz starsze wyciągi.

Bez słowa podeszła do drewnianego regału. Szarpnęła najwyższą szufladę. Ani drgnęła.

- Zamknięte-stwierdziła.

- Świetnie. Odsuń się. - Wstał, dokładnie obejrzał zamek. - Nie masz przypadkiem spinki do włosów?

- Niestety. - Żałowała także, że nie ma klamry, żeby zebrać mokre włosy z karku. - Słuchaj, jak myślisz, możemy włączyć klimatyzację?

Zerknął na nią.

- Za gorąco, co?

- Uhm, i ta wilgoć... Jestem już cała mokra.

- Jasne, idź, włącz klimatyzację i zamknij okna. Ja tymczasem pomyślę, jak otworzyć tę szufladę.

- Chcesz się włamać? - Najwyraźniej przeraził ją sam pomysł. - Jack, nie możesz. To przestępstwo.

- Nieprawda. Jestem w domu rodziców. Dostałem się tu za pomocą klucza, który mi dali. Żaden gliniarz mnie nie aresztuje.

Spróbowała innego argumentu.

- Słuchaj, jeśli zamknęli ją na klucz, to widocznie mieli jakiś powód. Może nie chcieli...

- A ja nie włamuję się bez powodu - przerwał. - Więc idź już, zajmij się klimatyzacją i nie patrz, jak popełniam straszne przestępstwo, w porządku?

Cofnęła się o krok.

- Nie pozwolę ci. Zresztą, gdzie ty się właściwie nauczyłeś otwierać zamki bez klucza?

- Na plaży, leżąc na desce surfingowej. Do cholery, Tess, zapomniałaś, o co w tym wszystkim chodzi?

Westchnęła z rezygnacją i wyszła.

Jack wsunął nóż do papieru w dziurkę od klucza. T a k jak przypuszczał, to zwykły prosty zamek, żaden problem. Pogwizdując pod nosem, poszedł po walizkę. Czyż Tess nie dostałaby zawału, gdyby się dowiedziała, że jest właścicielem zestawu wytrychów?

Ta myśl sprawiła mu niemałą satysfakcję.

Tess tymczasem biegała po całym domu i zamykała okna. Włączyła klimatyzację, ustawiła termostat na osiemnaście stopni. Chyba niepotrzebnie marnuje prąd, ale upał pozbawiał jąsił i działał na nerwy.

Oczywiście, niewykluczone, że na nerwy działa jej przyrodni brat, nie upał. Nie mieściło jej się w głowie, jak można włamywać się do czyjejś szuflady. Choć z drugiej strony zawsze podejrzewała, że akurat Jack byłby do tego zdolny.

Jack Wright to jedna wielka niewiadoma. Ciekawe, czy kiedykolwiek zrobił coś pożytecznego. Tess nie przypominała sobie, by rodzice wspominali, że ma porządną pracę. Szczerze mówiąc, w ogóle rzadko o nim mówili.

Do dziś jednak nie zapomniała rozmowy Brigitte i Steve'a, którą podsłuchiwała przed laty, jeszcze w szkole średniej. Nie

słyszała wszystkiego, ale domyśliła się, że chodzi o Jacka. I pamiętała dokładnie, jak matka powiedziała:

- Ten chłopak zapłaci za ryzyko, które podejmuje.

Tylko raz zapytała Steve'a, co porabia Jack odkąd skończył college.

Ojczym nie patrzył jej w oczy, gdy odpowiedział:

- To i owo. Szczerze mówiąc, sam nie wiem.

Zmowa milczenia wokół profesji przyrodniego brata utwierdziła ją w przekonaniu, że Jack opowiedział się po niewłaściwej stronie prawa. Przecież z niczego innego nie robiliby tajemnicy, choćby sprzątał toalety albo kopał rowy.

Trzeba jednak przyznać, że rodzice nigdy się go nie wstydzili.

Z wywietrzników pod sufitem w końcu popłynęło chłodne powietrze. Tess z wdzięcznością powitała lodowaty podmuch. Gdy się trochę uspokoiła, wróciła do jaskini Iwa.

Jack zdążył otworzyć szufladę. To jednak interesowało ją w o wiele mniejszym stopniu niż nieduża skórzana walizeczka na biurku, a zwłaszcza jej zawartość.

- Czy to są... - Urwała, odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz: - Czy

to są wytrychy?

Na moment oderwał się od przeglądanych dokumentów.

- Mhm.

- Nie wiedziałam, że ich posiadanie jest zgodne z prawem.

- Tam, gdzie mieszkam, owszem.

- Czyli gdzie?

- Nie twój interes. - Westchnął. - Posłuchaj, chcesz mi pomóc czy przysłaś mnie przesłuchiwać?

Narastały w niej okropne podejrzenia. I choć tak naprawdę w to nie wierzyła, nie mogła się od nich opędzić.

- A dlaczego właściwie nie chcesz zgłosić zaginięcia na policję i?

Wyprostował się. Spojrzał na nią przeciągle. Po chwili zamknął szufladę.

- W porządku. Równie dobrze mogłaś jasno powiedzieć, że twoim zdaniem jestem przestępcą poszukiwanym listem gończym. Z przykrością muszę cię rozczarować, drogi Holmesie. Nawet nie byłem w więzieniu. O nic mnie nie oskarżono, nikt mnie za nic nie ściga. No, za wyjątkiem drogowki w Miami, do dziś nie zapłaciłem mandatów z zeszłego roku. Jezu, zaraz mi zarzucisz, że zamordowałem rodziców.

Poczerwieniała, ze wstydu, nie ze złości. Owszem, myślała o Jacku, ale tylko dlatego, że jest taki tajemniczy. Nie sądziła, że mógłby skrzywdzić jej matkę czy Steve'a.

- Nigdy tego nie powiedziałam.

- Ale lada chwila przyszedłoby ci to do wiktoriańskiej główki.

- Nie jestem...

- Akurat. Słuchaj: albo współpracujemy, albo zejdź mi z drogi, wracaj do Chicago. Zawiadomię cię, kiedy ich znajdę. Ale nie zniosę ciągłej podejrzliwości wobec mnie.

- A nie mam powodów do podejrzeń? Nie wiem nawet, jak zarabiasz na życie, wiem za to, że masz zestaw wytrychów.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Nie mogła nic wyczytać z jego miny. W końcu zapytał:

- Dlaczego mam się przed tobą tłumaczyć? Podaj mi choć jeden sensowny powód.

- Bo mam prawo wiedzieć, z kim pracuję.

- Wiesz, z kim pracujesz. Z przyrodnim bratem, Jackiem. Z facetem, którego od piętnastu lat doprowadzasz do szału. To chyba wystarczy?

- Boże, ależ ty jesteś bezczelny!

- A tobie paskudne rzeczy chodzą po głowie. Wracając do policji. Dlaczego nie zgłaszamy zaginięcia? Tess, nawet nie wiemy, do kogo się zwrócić. Nie wiemy, dokąd pojechali. Nie możemy wykluczyć, że po prostu zdecydowali się zostać dłużej. W porządku, pójdę na posterunek w Paradise Beach i co im powiem? A oni? Co zrobią? Podłubią w nosie i podrapią się po... Nieważne. Z tego co wiemy, nie popełniono tu żadnego

przestępstwa. Nie wiemy nawet, czy popełniono je na Florydzie, czy w ogóle na terenie USA. Więc kto ma nam pomóc?

Cóż, miał sporo racji. Opuściła ramiona, ciężko opadła na krzesło.

- Szczerze mówiąc, Mała, znając twoją matkę, nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że pokłóciła się ojcem, zadzwoniła do ciebie, a potem się z nim pogodziła i gruchające gołąbki postanowiły przedłużyć sobie wakacje.

- Ale chyba zadzwoniłaby, żeby mi o tym powiedzieć?

- Może tak, może nie. Brigitte bywa niewiarygodnie roztrzępana. Podniosła głowę, napotkała jego wzrok.

- Skoro twoim zdaniem tak to wygląda, czemu w ogóle ich szukamy? Oparł się o biurko, splótł ręce na piersi.

- Powiedziałem tylko, jak na to spojrzą gliny. Ja też się martwię, Mała.

Dlatego tu jestem.

Zrobiło jej się ciepło na sercu, gdy przyznał, że i on się niepokoi. Ale nie da niczego po sobie poznać.

- Przestań mówić do mnie Mała.

- W porządku, a ty przestań nazywać mnie nieprzyzwoitym, bezużytecznym, świnia... Mam wymieniać dalej?

Nie odpowiedziała, bo gryzło ją sumienie - rzeczywiście, obrzuca go wyzwiskami, za każdym razem kiedy wyprowadza ją z równowagi. - To twoja wina - burknęła. - Doprowadzasz mnie do szału.

- Wzajemnie. - Z westchnieniem spojrzał na sufit. - Kiepsko nam idzie to śledztwo.

- Coś takiego.

- Ale jeśli to ci poprawi humor, wezwij gliny. Może coś wymyślą.

Nie, Jack wcale nie jest taki straszny, stwierdziła. Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła na posterunek policji w Paradise Beach.

Rozdział 3

Policjant zjawił się po czterdziestu minutach. Tess widziała przez okno, jak splunął prosto na krzew bugenwilli.

- Obrzydliwe - stwierdziła ze wstrętem.
- Ej, daj spokój. Czego się spodziewałaś? To zwykły gliniarz z małej miejsciny.

Odwróciła się do Jacka, który jak zwykle opierał się o framugę w salonie. Ciekawe, czy kiedykolwiek stoi o własnych siłach, czy też przez całe życie opiera się o ściany. Wyrzała przez okno. Policjant poprawił pas z bronią na biodrach. Właściwie mógł to sobie darować, pas i tak zaraz się zsunął z piwnego brzucha.

- Myślałam, że policja w Paradise Beach cieszy się dobrą opinią.

- I owszem - doskonale sobie radzą z pijanymi kierowcami i bijatykami w barach. Nie sądzę, żeby mieli okazję się wykazać w innych okolicznościach.

- Mówisz to tylko po to, żeby mi się zrobiło głupio, że ich wezwałam.

- Ta myśl nawet nie przeszła mi przez głowę. Zbyt dobrze go znała, by w to uwierzyć.

- Przecież to ty powiedziałaś, że może coś wymyślą.

- Rzeczywiście. Ale tracę nadzieję w zastraszającym tempie. Ja też, pomyślała Tess i pobiegła do drzwi.

- Wentlow - przedstawił się policjant. - Pani zgłaszała zaginięcie?

- Tak. - Tess niechętnie cofnęła się na tyle, by mógł wejść.

- Nazywam się Tess Morrow. To mój brat przyrodni, Jack Wright.

Policjant wszedł do środka i pozwolił, by zamknęła za nim drzwi.

- Ludzie, musicie przykręcić klimatyzację - poradził. - Zimno tu jak w lodówce. Marnujecie energię, wiecie?

Tess puściła tę uwagę mimo uszu. Jeśli o nią chodzi, w domu dopiero teraz robiło się znośnie.

- Przejdźmy do salonu.

Jack przepuścił ich, po czym ponownie zajął się podpieraniem framugi.

Tess wskazała gościowi kanapę, sama przysiadła na fotelu. Wentlow powoli, metodycznie przejrzał swój notes. Szukał czystego formularza.

- No dobra, kto zaginał?

- Nasi rodzice, Steve i Brigitte Wright.

- Proszę to przeliterować.

- Brigitte?

- Wszystko.

Zrobiła o co prosił, niecierpliwiąc się, gdy spisywał dane. W końcu zanotował wszystkie nieistotne szczegóły, jak adres i wiek rodziców. Podniósł wzrok znad notesu.

- Dlaczego uważa pani, że zaginęli?

Gorączkowo opowiedziała całą historię. W trakcie mówienia zauważyła, że policjant niczego nie notuje. Nie wytrzymała.

- Niczego pan nie zapisze? - zapytała, przerywając opowieść. Westchnął głośno i podrapał się w podbródek.

- Nadal nie powiedziała mi pani, dlaczego uważa, że zaginęli.

- Nie ma ich tutaj!

- No i co? Są dorośli.

- Dzwonili i powiedzieli, że wracają do domu.

- I może tak zrobili, tylko znowu wyjechali.

Od początku go nie lubiła, ale teraz posunął się zdecydowanie za daleko.

- Czy pan mnie w ogóle słuchał?

- Zaraz, zaraz - obruszył się oficer Wentlow. - Jakim tonem zwraca się pani do funkcjonariusza na służbie?

- Jakim tonem? Zadałam panu proste pytanie. Czy pan mnie w ogóle słuchał? Od tygodnia nikt ich nie widział. Powiedzieli, że wracają do domu, ale nie ma ich tu. Nie ma ich

od tak dawna, że nawet sąsiedzi się zaniepokoiili i nas ściągnęli. Więc czego pan nie rozumie?

Jack odezwał się ze swego miejsca przy drzwiach.

- Proszę się nianie przejmować. Francuski temperament. Wentlow spojrział na nią uważnie. Grymas ustąpił miejsca zaciekawieniu.

- Francuski? Histeryczka, co?

- Owszem - odparł Jack przeciągle. Odwróciła się na pięcie. Już otwierała usta, by mu powiedzieć, co o nim myśli.

- Tess - polecił Jack lodowato. - Zamknij się.

Nie wiadomo, czy bardziej podziałał jego ton, czy słowa, dość, że się zamknęła, choć w duchu dygotała z wściekłości. Pewnego dnia da Jackowi Wrightowi taką nauczkę, że ją popamięta. Jack wszedł do pokoju.

- Widzi pan, Wentlow – zaczął sami wiemy, że niewiele mamy, ale niepokoimy się. Do tej pory zawsze nas informowali, że wyjeżdżają, i zawsze dzwonili po powrocie.

Wentlow skinął głową. Cały czas bacznie obserwował Tess.

- Rozumiem. Ale co ja mogę na to poradzić? Z tego, co mówicie wynika, że nie było ich tutaj, kiedy zaginęli. Wiecie, dokąd pojechali? Skąd dzwonili? Czy w ogóle ktoś to wie?

- Nie.

Policjant wstał.

- W takim razie nie mogę wam pomóc. Tess nie wytrzymała. Zerwała się na równe nogi.

- Więc może ja panu pomogę. Naślę na pana kontrolę z urzędu...

- Tess! - warknął Jack. Zwrócił się do policjanta:

- Proszę nie zwracać na nią uwagi, ja się nią zajmę. Kiedy po chwili zostali w domu sami, Tess natychmiast zaatakowała Jacka.

- Co to miało znaczyć, że się mną zajmiesz, ty zramolały obiboku?

- Zramolały? - Uśmiechnął się. - Ho, ho, Tess, zachowujesz się jak twoja matka. Nie wiedziałem, że to potrafisz.

- Niech cię szlag trafi!

- O co ci chodzi? Przecież uratowałem cię przed więzieniem. Oszalałaś? Grozić policjantowi?

Cóż, o tym nie pomyślała... Gniew Tess uciekał jak powietrze z przekłutego balonu. Miejsce złości zajęło inne uczucie - upokorzenie. Co ją opętało? Jak mogła się tak zachować?

- O Boże - szepnęła i ukryła twarz w dłoniach.

- Powiedz - zapytał Jack łagodnie - kiedy ostatnio spałaś?

Starał się nakłonić ją do drzemki. Ale jakże by mogła zasnąć, gdy za oknem świeci słońce, a ona odchodzi od zmysłów z niepokoju o matkę i Steve'a. W końcu przekonał ją, by ułożyła się na kanapie i przykryła kocem - w domu wreszcie zrobiło się chłodno. Zaparzył jej rumiankową herbatę.

- Więc kiedy ostatnio spałaś? - zapytał ponownie.

- Och, nie tak dawno. Tylko wczoraj nie mogłam zasnąć.

- Zamartwiasz się, prawda? - Zaskoczył ją, delikatnie odgarniając jej włosy z policzka. Co dziwniejsze, wcale jej to nie przeszkadzało. Ba, jego dotyk sprawił jej przyjemność.

- Tak - przyznała między jednym a drugim łykiem herbaty. - Cały czas zastanawiałam się, dokąd mogli pojechać... i w jakie kłopoty się wpakowali.

- Cóż, też o tym myślałem. - Z westchnieniem usiadł w fotelu. - Ale szukamy po omacku, Tess. Świat jest wielki. Mogli pojechać do Indii, Południowo-Wschodniej Azji, na Hawaje, do Japonii, Afryki... Wszędzie. Póki nie zdobędziemy jakiejś wskazówki, punktu zaczepienia.

- Wiedziałaś, że policjant nam nie pomoże. Od razu wiedziałaś.

Powoli skinął głową.

- Więc dlaczego pozwoliłeś, żebyśmy zadzwoniła na posterunek?

- Może chciałem, żebyś sama się przekonała. - Wzruszył ramionami.

- Poza tym nie zdawałem sobie sprawy, że trzymasz się resztkami sił. Mała, naprawdę niewiele brakowało, a nocowałabyś w więzieniu.

- Chyba nie jest przestępstwem sugerowanie, że gliniarz jest idiotą?

Uśmiechnął się pod nosem.

- Nie, to akurat nie. Ale na pewno znalazłby jakiś powód, żeby cię zamknąć, gdybyś jeszcze bardziej go zdenerwowała.

Niechętnie przyznała mu rację. Tak naprawdę wcale nie jest taka głupia, ale brak snu w połączeniu z dużą dawką adrenaliny sprawił, że reagowała inaczej niż zwykle.

Znowu pomyślała o rodzicach i niepokój powrócił potężną falą. Jej matka ma dopiero pięćdziesiąt pięć lat i jeszcze szmat życia przed sobą. Jack ma rację-jest impulsywna, gwałtowna i szybciej mówi, niż myśli. Zupełnie jak ja dzisiaj, przyznała niechętnie. Przez całe dorosłe życie starała się być opanowana, spokojna i wyważona. Jednym słowem, inna niż matka.

A Steve... Drugi mąż matki budził w niej tylko ciepłe uczucia. Był dla niej taki dobry, od samego początku. Zawsze traktował ją jak własną córkę.

Teraz oboje zaginęli, a Tess wyobrażała sobie różne straszliwe rzeczy, które mogły ich spotkać. Może na przykład Brigitte nakrzyczała na policjanta, jak ona? A są miejsca na tym świecie, gdzie takie zachowanie może się skończyć dużo gorzej niż dzisiejszy incydent.

Westchnęła głośno. Jack delikatnie uściśnął jej dłoń.

- Znajdziemy ich, Mała.

- Nie możesz tego obiecać. - Choć w głębi serca właśnie na to liczyła.

Nie odpowiadał. Po chwili puścił jej rękę. Zaraz zatęskniła za jego ciepłym dotykiem. O, niech ją Bóg broni! Przecież Jack to włóczęga. Kiedy skończy się zamieszanie z rodzicami, zniknie,

by żeglować gdzieś na odległej plaży, czy co tam porabia w życiu.

- Dobra - odezwał się po kilku minutach. - Zdrzemnij się z godzinkę.

Ja tymczasem porozmawiam z innymi sąsiadami. Może ktoś wie więcej niż pani Niedelmeyer.

Ożywiła się na te słowa. Błyskawicznie odstawiła filizankę na stolik i odrzuciła koc.

- Idę z tobą. Uniósł brwi.

- Musisz się przespać.

- Później.

Przechylił głowę.

- Nie ufasz mi, Mała?

Nie zaszczyciła go odpowiedzią, bo rzeczywiście mu nie ufała. Zbliżał się wieczór i na ulicy słały się coraz dłuższe cienie. To chyba nieodpowiednia pora na wizyty, bo nikt im nie otwierał.

- Albo śpią, albo wyszli na kolację - zauważył Jack.

- Albo myślą, że chcemy im coś sprzedać. Spojrzał na nią, potem na siebie.

- Wyglądamy na akwizytorów?

- Moim zdaniem nie.

- Na roznosicieli traktatów religijnych?

- Zależy od religii. - Zerknęła na swoje ubranie. - Hare Bermuda? Nie, raczej nie.

- No właśnie. Cholera. - Przeczesał włosy palcami. - Może w domu seniora grają w bingo.

- Nie bądź wredny.

- Wredny? Czy masz pojęcie, ile razy zapędzili mnie do bingo, kiedy ostatnio tu byłem? Nawet nie chcę o tym myśleć. Bingo i warcaby.

- Przy tej ulicy nie mieszkają tylko emeryci, Jack.

- Wiem, ale nigdy nie widziałem tych młodszych. Pewnie ciężko pracują, żeby im starczyło na rachunki. - Nagle

zachichotał. - No, u Niedelmeyerowej drgnęły zasłony. Pewnie się zastanawia, czy chcemy się włamać.

- Chyba tak. - Tess mimo woli parsknęła śmiechem.

Akurat wtedy otworzyły się drzwi do garażu o dwa domy dalej. Po chwili wynurzył się z nich siwy mężczyzna z kosiarką.

- A jednak - Jack już szedł w tamtą stronę. - Życie istnieje.
- Szedł długimi krokami, Tess nie mogła za nim nadążyć. Naprawdę musi zacząć znowu ćwiczyć.

- Panie Castor! - krzyknął Jack, zbliżając się do mężczyzny z kosiarką. - Panie Castor, to ja, Jack Wright!

Mężczyzna zrezygnował z natychmiastowego uruchomienia kosiarki, podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Rzeczywiście - powitał go ciepło. - Gotów do partyjki warcabów?

- Może nie teraz - odrzekł pośpiesznie Jack i podał mu rękę. Tess dołączyła do nich zdyszana i zobaczyła, że Jack oddycha spokojnie. Wcale się nie zasapał. Nie, teraz to już naprawdę go nienawidzi.

- Dzień dobry - powitał ją pan Castor.

- Dzień dobry. Jestem Tess, córka Brigitte.

- Aha. Aha! Rzeczywiście. Dawno cię tu nie było! Podobno mieszkasz teraz w Chicago.

- Tak.

- Strasznie tam zimno, prawda? - Pokręcił głową. - U nas jest dobry klimat.

Tess, znowu spocona jak mysz, nie mogła przyznać mu racji, ale zachowała to dla siebie. Mruknęła tylko:

- Rzeczywiście, tu jest ciepło.

- Za gorąco jej - Jack wskazał ją palcem. - Wie pan, takie przeciwieństwo kwiatka cieplarnianego. Nie znosi upału.

Łypnęła na niego groźnie, ale pan Castor się roześmiał.

- Jest jeszcze młoda - stwierdził. - Kiedyś od zimna będą ją bolały kości.

Tess już przekonała się o tym na własnej skórze, bolały ją zwłaszcza te kości, które złamała spadając z drzewa, gdy miała dziewięć lat.

- Jak tam Brigitte i Steve? - Zapytał pan Castor. - Od dawna ich nie widziałem.

Jack i Tess wymienili spojrzenia.

- Cóż - zaczął Jack - właśnie mieliśmy o to zapytać.

- Mnie? To nie moja wina, że ich nie widziałem.

- Nie chciałem tego powiedzieć - zapewnił Jack pospiesznie.

- No i dobrze. To moi sąsiedzi, ale nie mam obowiązku ich oglądać.

- Oczywiście - Tess starała się go ułagodzić. - Wiemy o tym.

- Więc co mi macie do zarzucenia? Jack westchnął głośno.

- Panie Castor, nie chcemy panu niczego zarzucać.

- Więc czemu opowiadacie takie rzeczy? Jack spojrzał na Tess.

Tess wzięła głęboki oddech i oznajmiła:

- Panie Castor, nasi rodzice przepadli bez wieści.

- Kto? Gdzie? Jak?

Tess miała wrażenie, że trafiła do odcinka serialu Z Archiwum X. Jack wyjaśnił, robiąc długą przerwę po każdym słowie, żeby wszystko było zrozumiałe:

- Panie Castor, nie możemy znaleźć rodziców.

- Aha. Aha! Cóż, pewnie niedługo wrócą. Lubią się wybrać na plażę.

- Nie ma ich od ponad tygodnia - tłumaczył Jack cierpliwie.

Pan Castor po raz kolejny zrezygnował z zamiaru uruchomienia kosiarki.

- Od tygodnia. Od tygodnia, mówicie? A niby skąd wiecie? Nie było was tutaj, prawda?

Jack znowu zerknął na Tess. Było to nader wymowne spojrzenie.

- Pani Niedelmeyer dzwoniła do mnie i powiedziała, że nie ma ich od tygodnia.

- Cóż, czasami ludzie wyjeżdżają na urlopy.

- Wiem. Ale jest pewien problem.

- Skończyły im się pieniądze? A może mieli kłopoty z paszportem? Jak ja. O, tak. Miałem wizę do Tajlandii, ale na granicy jej nie uznali. Nie pozwolili mi nawet wyjść z lotniska. Innym razem miałem lecieć do Anglii, tylko że odwołali mój lot i wsadzili mnie do innego samolotu. Problem w tym, że ten nowy nie leciał wcale do Anglii. Wylądowaliśmy we Francji.

- Coś podobnego-wtrąciła Tess - ale...

- Więc - pan Castor opowiadał, jakby jej nie słyszał - wylądowaliśmy na lotnisku de Gaulle'a. Właściwie to żaden problem, nie? Powinni zaraz wsadzić nas do samolotu na Heathrow, prawda? Tylko że żabojady nie chciały nas wypuścić.

Tess zamrugnęła szybko.

- Co?

- Tak jest. Nie chcieli nas puścić na lotnisko Orly, skąd złapalibyśmy samolot do Anglii, bo nie mieliśmy francuskich wiz. Po pięciu godzinach zacząłem podejrzewać, że do końca życia będę siedział na lotnisku de Gaulle'a.

Tess spojrzała na Jacka, a on na nią.

- Chce pan powiedzieć, że przez przypadek trafili do Francji? - zapytał Jack.

- Kurczę, skądże, to nie był przypadek - obruszył się pan Castor. -Wiedzieli, że lecimy na de Gaulle'a. Ta cholerna linia lotnicza... Do dzisiaj nie wiem, czemu nas oszukali i powiedzieli, że lecimy do Londynu.

- To tłumaczyłoby, dlaczego mama powiedziała, że starają się złapać samolot do domu.

- Taak - Jack nie wydawał się przekonany.

- Oczywiście - poprawiła się Tess - nie mamy pewności, że to się zdarzyło we Francji.

- Pewnie, że we Francji - prychnął pan Castor. -Chyba wiem, gdzie byłem. Nie jestem głupi.

- Skądże znowu - zapewniła Tess pospiesznie. - Wcale tak nie uważamy. Mieliśmy na myśli Steve'a i Brigitte.

- A co, oni też utknęli we Francji?

- Nie wierny.

- Nie wiem, po co komu plażowe sukienki i okulary słoneczne o tej porze roku we Francji.

Serce Tess zatrzymało się na moment.

- A kto kupował plażówki i okulary słoneczne?

- Jak to kto? Brigitte, ma się rozumieć! - Pan Castor powoli tracił cierpliwość. - A któżby inny? Jakby nie miała ich dosyć, mieszkając tutaj. Wszystkie pokazała mojej żonie.

- Kiedy to było?

Wzruszył ramionami.

- Trzy tygodnie temu? Może dwa. Nie pamiętam. Cała ta głupia garderoba. Moja Belle zaczęła zaraz jęczeć, że też chce nowe ciuchy. Cholerny pokaz mody kosztował mnie prawie czterysta dolarów. A my się przecież nigdzie nie wybieramy.

Jack posłał Tess spojrzenie męczennika.

- Czy Brigitte wspominała, że chcą wyjechać? Staruszek zamrugał szybko.

- A niby po co kupowałyby tyle nowych ubrań?

- Ale czy panu to powiedziała? Zmarszczył brwi w namyśle.

- Nie pamiętam, czy powiedziała to ona, czy Belle..

- Pani Niedelmeyer nie powiedzieli, że wyjeżdżają, a nie widziała ich od tygodnia.

- Niedelmeyer? - Pokręcił głową. - Dlaczego ona uważa, że każdy ma się u niej meldować przed wyjazdem?

Tess złapała się na tym, że nerwowo zaciska zęby. Wydobyć informacji z pana Castora okazało się bardzo wyczerpującym zajęciem.

- Panie Castor, czy ma pan pojęcie, dokąd mogli się wybrać?

- Na plażę, tak myślałem. To znaczy jeszcze nie wrócili?

Tess stłumiła westchnienie.

- No właśnie. Jeszcze nie wrócili. Czy Belle albo Brigitte wspominały, dokąd się wybierają?

- Belle nigdzie nie jedzie.

Tess nie odezwała się więcej z obawy, że wrzaśnie na biednego staruszka.

- Panie Castor - Jack chyba czytał w jej myślach. - Proszę nam powiedzieć, czy Brigitte albo Steve wspominali, że wybierają się na urlop?

- Nie mnie.

Tess straciła resztki nadziei.

- Ale jedno wam powiem. Mam po dziurki w nosie Belle pytającej w kółko, czemu my nie możemy pojechać na Karaiby.

- Jezu, co za rozmowa! - Stwierdził Jack po powrocie do domu.

- Ale coś mamy! - Tess nie ukrywała podniecenia. - Wiemy, dokąd pojechali.

- Naprawdę? - Ruszył do kuchni.

- Wiemy, że pojechali na Karaiby - wyjaśniła, drepcząc za nim. - A to już coś.

- Pewnie, to wyklucza Majorkę, Południową Afrykę, Hawaje, Australię i kilka innych miejsc. - Zajrzał do spiżarni i wyjął kilka rzeczy: słoik sosu do spaghetti, torebkę makaronu.

- Umiesz zrobić sałatę?

- Oczywiście. - Westchnęła, zniecierpliwiona. - Wyeliminowaliśmy inne kraje. To już coś.

- Jasne. - Postawił produkty na stole. - Tess, kiedy ostatnio patrzyłaś na mapę? Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak wiele jest wysp na Karaibach?

- Sporo.

- Sporo? Pewnie myślisz o tych z plakatów biur podróży. Posłuchaj, ich jest więcej niż sporo. Dużo więcej. Nie tylko Barbados czy St. Croix, lecz także małe wyspki, o dziwnych nazwach typu Doskonała W y -spa Teda albo Łacha Boba.

- Czy zawsze jesteś pesymistą?
- Jestem realistą.
- Ale to i tak zawęża obszar naszych poszukiwań. Zresztą, nie wybraliby się na... Jak to powiedziałeś? Doskonałą Wyspę Teda. Wybraliby jakieś naprawdę piękne miejsce. St. Croix. Martynika.

- Martynika lada dzień wyleci w powietrze. Wulkany.
- Aha. Cóż, wiesz, co mam na myśli.
- I wiem, jak myśli mój ojciec. Rzeczywiście, Brigitte wolałaby St. Croix, ale mój ojciec wybrałby Łacchę Boba.

Nie pomyślała o tym. Czują, jak ogarnia ją zmęczenie.

- Jesteś okropny.
- Nie - powtórzył. - Jestem realistą. Stwierdzenie, że są na Karaibach, jest mniej więcej tak samo pomocne, jak rewelacja, że są w Europie.

- Ale przynajmniej wiemy, że nie wpadli w poważne kłopoty.

Jack westchnął tylko i pokręcił głową. Bez słowa podszedł do lodówki i wyjął sałatę.

- Sałata wygląda nieźle – mruknął pod nosem.-Dziwne, że ją zostawili.

- Dlaczego?

- Nie zostawiam w lodówce świeżych warzyw, jeśli wyjeżdżam na dłużej. - Ledwie to powiedział, wyprostował się gwałtownie. - Cholera.

- Co?

- Może wcale nie planowali wyjechać na dłużej. Serce Tess biło coraz szybciej.

- Nie, nie, mama nigdy nie zwracała uwagi na takie drobiazgi. Pewnie zapomniała. - Nie chciała uwierzyć, że może być inaczej. - Jack, dlaczego nie odpowiedziałeś, kiedy stwierdziłam, że nie wpadli w poważne kłopoty?

Zawahał się, położył sałatę na blacie, sięgnął po pomidor i ogórek.

- Powiedzmy tak: Karaliby nie są stuprocentowo bezpiecznym miejscem.

- Ale turyści jeżdżą tam cały czas!

- A od kiedy obecność turystów czyni jakieś miejsce bezpiecznym?

- Chciałam tylko powiedzieć, że gdyby wpadli w tarapaty, zawiadomiliby kogoś. Na przykład władze.

- To zależy.

- Od czego?

- Co im się stało.

- Przestań mówić zagadkami!

Znieruchomiał z ogórkiem w ręku.

- Czy ja wyglądam na miłośnika zagadek?

Najchętniej zdzieliłaby go w głowę tym ogórkiem. Podał go jej, co było tak bardzo po jej myśli, że z niedowierzaniem spojrzała na warzywo.

- Moim zdaniem trochę przywydły - stwierdził. - Jak uważasz?

Wyrwała mu go z ręki.

- Może być - burknęła, rzucając ogórek na stół. - Czy możesz mi w końcu odpowiedzieć?

- Nie przesadzaj, Tess.

- Nie przesadzam.

- Nie? Dla mnie wyglądasz jak ogrodniczka-zażartował.

Już miała wybuchnąć, ale uciszył ją ruchem ręki.

- Oszczędź mi tego i tak wiem, co o mnie myślisz. Posłuchaj, Karaiby mają pewne problemy, jak cała reszta świata. Wszystko zależy, dokąd pojechali, czy zatrzymali się w eleganckim hotelu, czy może pożeglowali...

- Pożeglowali?

- Ojciec uwielbia żagle. Może wynajęli jacht.

Nawet jej to na myśl nie przyszło.

- Może utonęli na pełnym morzu! Z westchnieniem zamknął drzwi lodówki.

- Uspokój się, Tess. Tylko bez hysterii.

- Co twój ojciec sobie myśli, zabierając moją matkę na jacht? Ona nawet nie umie pływać!

- Nie wiemy, czy gdzieś popłynęli. - Pstryknął palcami tuż przed jej oczami. - Wracaj na ziemię, Tess. Nie wiemy nic poza tym, że być może wybrali się na Karaiby. Zważywszy, że tym mianem określa się dziesiątki wysp i wybrzeża Kolumbii i Wenezueli, niewiele wiemy.

Tess po omacku sięgnęła po krzesło. Usiadła ciężko.

- Chyba mi niedobrze.

- Dlaczego? Nic się nie zmieniło. Wszystko jest jak przedtem.

- Nie bądź taki cholernie racjonalny.

Uśmiechnął się znużony.

- Głowa do góry, Mała. Jeszcze nie znaleziono zwłok.

- Jak możesz, ty... - Nie znalazła odpowiedniego określenia. Przez moment wydawało się, że Jack parsknie śmiechem, ale się opanował. Pochylił się nad nią, tak że patrzył jej prosto w oczy.

- Jestem medium - oznajmił.

- Co?

- Jestem medium. Zapewniam cię, gdyby nie żyli, wyczułbym to.

- Cóż, skoro jesteś medium, panie realisto, dlaczego nie wiesz, gdzie są?

Zła, zmęczona i przerażona jak nigdy w życiu, nie licząc rozvodu rodziców, zerwała się na równe nogi i wybiegła z kuchni.

Cóż, nie da się ukryć, zepsuł wszystko. Zły na siebie, zwymyślał się od ostatnich i wstawił sos do kuchenki mikrofalowej. Postawił wodę na makaron, dodał odrobinę oliwy i szczyptę soli.

Zabrał się za sałatę. Właściwie powinien ją porwać palcami, tak jak uczyła go Brigitte, ale machanie ostrym wielkim nożem pozwalało mu rozładować napięcie.

I co teraz? Głupio mu się wyrwało z tymi zwłokami, nie sądził, że Tess weźmie to na poważnie. Z drugiej strony, kiedy Tess zrozumiała go właściwie? Nigdy nie przyjmowali swoich słów za dobrą monetę. Nie wiedział, które z nich jest bardziej pokręcone. Może oboje mają nierówno pod sufitem.

To niewykluczone. Normalni ludzie nie zajmują się tym co on. Normalni ludzie nie są też kontrolerami w urzędzie podatkowym. W każdym razie nie ci, których on uważał za normalnych.

Ta myśl nieco poprawiła mu humor. Przestał się pastwić nad sałatą, wrzucił ją do miski, oplukał i pokroił pomidora.

No dobra, szanowni rodziciele zaginęli na Karaibach. Prawdopodobnie. To nie tak źle. Przynajmniej wiedzą, gdzie szukać. A dopóki jest nadzieja, i tak dalej. Wystarczająco długo żył na krawędzi, by się o tym przekonać.

Lecz Tess żyła inaczej. Powinien o tym pamiętać. Przestępstwa, z którymi ona ma do czynienia, to fałszywe dane w aktach, nie morderstwa i rozboje.

Zresztą martwił się tak samo jak ona. Może nawet bardziej, bo wiedział rzeczy, o których jej się nie śniło. Na przykład, że na Karaibach nadal grasują piraci. W dzisiejszych czasach nie polują na hiszpańskie galeony, tylko na łodzie, które można wykorzystać do przemytu narkotyków. Poza tym roi się od zwykłych rzezimieszków, którzy zabijają za kilka dolarów.

Większość wysp to spokojne miejsca, ale jeśli wybrali się do Cartageny w Kolumbii albo na Barranquilla? T a m czasami robi się gorąco.

Cholera. Cisnął pomidora do miski i zabrał się za ogórek. Może powinien skontaktować się z kilkoma przyjaciółmi, poprosić, żeby posłuchali, co w trawie piszczy.

Ogórek wylądował w misce z sałatą. Najwyższy czas wypłoszyć Tess z kryjówki. Ta cała sytuacja zakrawa na kpinę. Są dorośli i mają wspólny cel: odnaleźć Steve'a i Brigitte.

Ona ma trzydzieści, on trzydzieści sześć lat. Można by się po nich spodziewać dojrzałego zachowania. No dobra, Tess nie

lubi jego poczucia humoru. Nie podoba jej się, że żartuje, choć mają powody do zmartwień. Może powinna się dowiedzieć, że kiedy życie wisi na włosku, tylko poczucie humoru ratuje przed obłędem. Wszystko jedno. Najważniejsze, żeby przestali się kłócić jak rozpuszczone dzieciaki.

Postanowił działać. Stał pod jej sypialnią, uderzył pięścią w drzwi i zapytał:

- Mała? Zaczynasz się zachowywać jak dorosła?

Rozdział 4

Tess dosłownie sfrunęła z łóżka, jakby wściekłość dodała jej skrzydeł. Czy zaczniesz zachowywać się jak dorosła? Ona? Podbiegła do drzwi, otworzyła je z impetem, aż uderzyły o framugę.

- Czy ja zacznę zachowywać się jak dorosła? Ja?

Zdumiony, podniósł ręce na znak poddania.

- No dobrze, może niewłaściwie się wyraziłem.

- Niewłaściwie to za mało powiedziane, ty bezrobotny wyrzutku społeczeństwa.

- Wyrzutku społeczeństwa? - Wyraźnie go to zabolalo. - Jezu, Tess.

Zaczerwieniła się, zawstydzona.

- Och, może przesadziłam. Ale i tak jesteś denerwujący, niezdolny i arogancki.

- Cóż, z tym się mogę zgodzić, zwłaszcza że większość to prawda. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Posłuchaj, nie chciałem cię rozzłościć. Miałem na myśli nas oboje. Przestańmy się kłócić i zacznijmy zachowywać się jak dorośli. Nie musimy od razu się lubić, ale jako ludzie cywilizowani...

- ...Cywilizowani? - Obrzuciła go krytycznym wzrokiem, jakby sądziła, że nie ma w nim ani jednej cywilizowanej komórki. - Czy to nie za trudne słowo dla ciebie?

- Jezu! - Machnął ręką, zrezygnowany. - Nie przestajesz ani na chwilę, co? Odkąd mój ojciec ukradł twoją matkę...

- Chwileczkę! Co chcesz przez to powiedzieć? Ukradł moją matkę? Komu?

Na moment zamarł w bezruchu. Potem zbył ją szybko:

- Nic. Źle się wyraziłem.

- Czy mama miała romans z twoim ojcem, zanim rozwiodła się z moim?

Zmarszczył brwi.

- Czy ja wyglądam na wyrocznię delficką? Nie wiem. Pierwszy raz o niej usłyszałem, kiedy ojciec powiedział, że się żeni. Pamiętam tylko pierwsze spotkanie z wami. Pomyślałem wtedy, że Brigitte jest zbyt francuska, a ty zbyt zarozumiała. Wcześniej są tylko białe plamy.

Powoli skinęła głową. Wspomnienia tamtych czasów wyparły gniew.

- Zawsze się zastanawiałam, dlaczego odeszła od taty. Nawet się nie kłócili.

- To zły znak, jak ludzie się nie kłócą - powiedział miękko.

- Naprawdę?

- Pewnie. To znaczy, że nie ma w nich pasji.

Spojrzała na niego, lekko przechylając głowę, jakby nie wierzyła do końca, ale nie chciała się kłócić.

- Zajmijmy się kolacją, zanim woda całkiem się wygotuje - zaproponował. - Przygotowałem sałatę, tylko ją dopraw.

Poszła za nim tylko dlatego, że nie przychodził jej do głowy żaden powód, by zostać w pokoju. Poza tym zgłodniała, żołądek przypomniiał jej, że w ciągu ostatniej doby zjadła tylko orzeszki ziemne, poczęstunek od linii lotniczych.

- Posłuchaj - zaczął Jack w kuchni. - Musimy przestać kłócić się o każdy drobiazg.

- Zgadzam się.

- Dobrze.

- Nie pasujemy do siebie, ale jakoś sobie z tym poradzimy.

- Tak. Jakoś się z tym uporamy. Zajrzała do miski z sałatą.

- Coś ty zrobił? Wygląda jak po torturach.

Zajrzał jej przez ramię.

- Pokroiłem zamiast porwać. Nic takiego. Smak jest taki sam.

- Ale nie wygląd!

Zmiał przekleństwo pod nosem.

- Trudno przy tobie być cywilizowanym i dojrzałym.

- Dlaczego? Powiedziałam tylko, że sałata wygląda jak wyjęta z maszynki do mięsa.
- To uwłaczające.
- Owszem. Sałacie.
- Mnie, bo ja ją pokroiłem.
- Posiekałeś.
- No dobra, posiekałem. - Irytował się coraz bardziej, czego wcale nie chciał.

Wyjęła z miski listek sałaty i - choć niechętnie - musiał przyznać, że wygląda niezbyt apetycznie.

- Niech ci będzie - powiedział w końcu. - Trochę przesadziłem.

Uniosła brew.

- Trochę?
- Twoja wina. Wkurzyłaś mnie.
- Wkurzyłam? - Rzuciła sałatę z powrotem do miski. - To nie powód, żeby znęcać się nad sałatą.

- Nie znęcałem się. Ale jeśli tak bardzo ci to przeszkadza, wyrzuć ją. Zrobię brokoły.

- To marnotrawstwo.

- Więc przestań! - Gdzie się podziało postanowienie, że będzie się zachowywał jak dorosły? Nie minęły dwie minuty, a najchętniej zakneblowałby jej usta.

Sądząc po jej minie, zdawała sobie z tego sprawę. Chyba była zadowolona, że nie okazał się cywilizowanym człowiekiem. O nie, nie da jej tej satysfakcji. Wycodził przez zęby:

- Naprawdę, jeśli twoim zdaniem sałata nie nadaje się do jedzenia, chętnie przygotuję coś innego.

Zamrugła szybko. Już nie była taka zadowolona. Po chwili westchnęła cicho.

- Nie zniszczyłeś jej doszczętnie. Da się zjeść.

Jego zdaniem zbyt szybko się poddała. Czyżby miała łyzy w oczach?

Ostrożnie podszedł o krok bliżej.

- Ja... - Urwała, zaczerpnęła tchu. - Myślałam o Brigitte. Powiedziała mi mniej więcej to samo, kiedy po raz pierwszy zrobiłam dla niej sałatkę.

- Przez moment miałem wrażenie, że słyszę twoją matkę. - Nagle coś przyszło mu do głowy. - Tess... Ile miałaś lat, kiedy zrobiłaś dla niej tę sałatkę?

- Nie pamiętam, chyba osiem.

- I mówiła do ciebie w taki sposób? - Nagle ogarnęło go współczucie.

- Och, znasz Brigitte - wzruszyła ramionami. - Jest impulsywna. Popada w skrajności. Najpierw nazwie cię zabójcą niewinnej sałaty, a za chwilę powie, że cię kocha nad życie. Równowaga jest zachowana.

- Taak. - Wcale nie był o tym przekonany. Nie znał się na wychowaniu dzieci, ale znał się na ludziach. Z jego doświadczenia wynika, że ludzie przejmują się krytyką o wiele bardziej niż pochwałami. Nie wiadomo dlaczego, łatwiej im uwierzyć w krytykę niż w pochwały.

- W każdym razie - stwierdziła, biorąc się w garść - sałata na pewno jest dobra. Lubisz czosnek?

- Uwielbiam.

- To dobrze. Zrobię sos.

Wrzucił makaron do wrzącej wody i włączył mikrofalówkę. Przyglądał się, jak Tess szykuje sos z oliwy, octu winnego i ziół. Wielokrotnie obserwował Brigitte przy tej samej czynności. Czy Tess się to podoba, czy nie, rusza się tak samo jak matka. I ma takie same wielkie niebieskie oczy.

- Czasami - odezwała się nagle - mam wrażenie, że wstępuje we mnie mama. Poruszam się jak ona, powiem coś w jej stylu i... czuję się jak ona.

Podniosła głowę i dostrzegł łzy na jej rzęsach. Błyskawicznie znalazł się przy niej.

- Odnajdziemy ją, Tess. Odnajdziemy ich oboje. To pewnie tylko jedno wielkie nieporozumienie.

Skinęła głową. Srebrzysta łza spływała po policzku. Nie mógł się powstrzymać. Wziął ją w ramiona i przytulił.

I zorientował się, że ta okropna kobieta budzi w nim uczucia, których wcale nie chciał. Nie chciał jej chronić. Nie chciał myśleć o tym, jak idealnie jej ciało pasuje do niego, jakie ma miękkie piersi. Ale i tak poczuł to wszystko, zmieszane jeszcze z wyrzutami sumienia i dziwnym zadowoleniem.

- Posłuchaj - zaczął, delikatnie gładząc jej włosy. - Gdyby spotkało ich coś złego, na pewno bym o tym wiedział. Wczoraj dzwoniłem do departamentu stanu i pytałem, czy coś o nich wiedzą. Nic nie słyszeli, ale obiecali, że dadzą znać, jeśli się czegoś dowiedzą. A to oznacza, że nasi rodzice nie wpadli w żadne poważne kłopoty. Nawet gdyby ich porwano, prędzej czy później bandyci zażądaliby okupu.

Lekko skinęła głową.

- Innymi słowy, brak wieści to dobre wieści.
- W tej sytuacji tak.

Ponownie skinęła głową.

- Dobrze. Postaram się o tym pamiętać.
- Ja też. Może dzięki temu będzie łatwiej ze mną wytrzymać. Roześmiała się z trudem. Odsunęła się od niego.
- Ze mną też.

Zawieszenie broni trwało przez cały posiłek. Właściwie nie był to szczególny sukces, bo żadne z nich się nie odzywało. Nie byli też specjalnie głodni. Jedli, bo musieli. Kiedy posprząтали, czas zaczął się dłużyć. Tess przechadzała się nerwowo: z kuchni do salonu, przez hol, do pokoju, do gabinetu, z powrotem do kuchni.

- Tess?
- Tak?
- Kręci mi się w głowie, kiedy na ciebie patrzę.

Zatrzymała się. Kiedy się zarumieniła, zrobiło mu się ciepło na sercu.

- Przepraszam - mruknęła. - Nie mogę usiedzieć na miejscu ze zdenerwowania.

- Moim zdaniem jesteś przemęczona. Chodź, przejdziemy się. Może spacer dobrze ci zrobi.

Słońce już zaszło, ale Paradise Beach było dobrze oświetlone. Szli w stronę promenady i dziesiątków sklepów z pamiątkami. Myślała, że je miną, ale Jack miał inny pomysł.

- Chodź - zaproponował. - Zawsze mnie intrygowało, czy te sklepiki są w środku równie tandetne jak ich wystawy.

Weszli do sklepu z koszulkami. Wirujące jarzeniówki zapewniały doskonale oświetlenie, żeby klienci mogli dokładnie obejrzeć koszulki. Niektóre z nich powinno się sprzedawać w foliowym opakowaniu z napisem „tylko dla dorosłych”.

- Nie jest to sklep dla całej rodziny - zauważył Jack, podziwiając białą koszulkę z wizerunkiem nagiej kobiety.

- Zdecydowanie nie. - Tess weszła dalej, ciekawa, czy sprzedają tu coś oprócz koszulek. Odkryła kostiumy kąpielowe - przeważnie bardzo skąpe bikini, płetwy i maski z fajką, muszle i, o dziwo...

- Fajka wodna - stwierdziła.

Jack uniósł brew.

- Skąd wiesz? Chyba nie palisz trawy?

- Nie, ale moja współlokatorka z college'u paliła. Nie wiedziałam, że można to sprzedawać legalnie.

- W fajce wodnej można palić nie tylko narkotyki. Są na tym świecie miejsca, gdzie w ten sposób pali się tytoń.

Tess skierowała się do drzwi.

- To nie w moim stylu - mruknęła.

- Tak myślałem.

- A w twoim? – zapytała nagle.

- Nie, raczej nie.

Ale powiedział to w taki sposób, że odżyły stare podejrzenia. Plażowy obibok na pewno czasami zapali skręta. To do niego pasuje.

Co za szkoda. Tym razem było w tej myśli więcej smutku niż wyrzutu. Nagle złapał ją za rękę i wciągnął w ciemny zaułek między budynkami.

- Jack, co...

- Pst. - Położył jej palec na ustach i przycisnął do ściany swoim ciałem. Gdyby nie to, że co chwila zerkał na ulicę, pomyślałaby, że ma wobec niej nieczne zamiary.

- Co...

Przycisnął palce do jej ust, chcąc ją uciszyć. Ze złości, ugryzła go.

- Au! - Odskoczył. - Zwariowałaś?

- Nie znoszę, kiedy ktoś przygniata mnie do ściany i zatyka buzię.

- Nie zatkałem ci buzi!

- Właśnie że tak.

- Dwa palce. To były tylko dwa palce.

- Na jedno wychodzi. - Odepchnęła go. - Mam tego dosyć.

Nie przepadam za takim traktowaniem.

- Może dlatego, że nikt cię tego porządnie nie nauczył.

Zatrzymała się w pół kroku. Powinna się obrazić, ale te słowa nieoczekiwanie sprawiły, że przebiegł ją dreszcz rozkoszy. Aż nogi się pod nią ugięły. To nie może być prawda, powiedziała sobie. Niemożliwe, że podnieciła się, słysząc, że żaden mężczyzna jej odpowiednio nie potraktował. To po prostu niemożliwe.

Opanowała się i odwróciła się do Jacka, gotowa urządzić mu karczemną awanturę.

On jednak dał jej znać, że ma być cicho. Coś w jego oczach kazało jej posłuchać.

Zapytała ściszym głosem:

- Co się dzieje?

- Ktoś, kogo znam z Miami. I kogo wolałbym więcej nie oglądać. Zaciekawiona, wyjrzała na ulicę, ale nie miała pojęcia, kogo z tłumu turystów miał na myśli. Znowu stała między nim a murem, ale nie była już tak zdenerwowana.

- Z kim ty się zadajesz? - zapytała szeptem.
- Na pewno nie z takimi, którzy przypadliby ci do gustu.
Zadziwiająco, jakie to przykre, kiedy sprawdzają się twoje najgorsze obawy, pomyślała Tess.

- Wiesz - mruknęła po chwili - nigdy nie jest za późno, żeby zmienić swoje życie.

Gwałtownie odwrócił głowę i spojrzał na nią, zaskoczony.

- Co proszę?

- Zmienić swoje życie - powtórzyła. - Nigdy nie jest za późno.

- Czyżby? - Odsunął się o pół metra, choć Tess nagle wydało się, że dzielą ich kilometry. - Ty mówisz poważnie... - patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Oczywiście.

Powoli skinął głową. Miał dziwny wyraz twarzy, Tess odniosła wrażenie, że źle zrozumiał jej słowa.

- Wnioskuje więc - ciągnął niebezpiecznie powoli - że wszystkie obelgi, którymi mnie obrzucałaś... No, nie mówiłaś ich tak sobie, żeby mnie obrazić. Wierzysz we wszystko, co powiedziałaś.

Czuła, że płoną jej policzki, i miała nadzieję, że Jack nie widzi tego w ciemności.

- Nie do końca.

- Czyżby? Wiesz co, Mała? Nie obchodzi mnie, do końca czy nie. I gdyby nie było tak cholernie ciemno, kazałbym ci samej wracać do domu.

Nagle ogarnęła ją złość.

- O co ci chodzi, Jack? Chciałam powiedzieć ci coś miłego.

- Mówiąc, że mogę zmienić moje życie? Ładny mi komplement. Koniec spaceru, Mała, chodź, odprowadzę cię do domu.

- Nie zawracaj sobie głowy. Wróć sama.

- Posłuchaj, Tess - wycodził przez zęby. - Nieważne, za jakiego łajdaka mnie uważasz, zostało mi jeszcze tyle

przyzwoitości, że nie pozwolę, by kobieta sama wracała do domu o tej porze. Rozumiesz?

Nie zdążyła odpowiedzieć, a już ciągnął ją w stronę domu.

Zdecydowanie przesadza, pomyślała. Na ulicy roi się od turystów. Co ją tu może spotkać? Najwyżej wyrwą jej torebkę.

- Wiesz - wysapała, próbując za nim nadążyć - w Chicago sama wracam wieczorami do domu. Wiem, jak o siebie zadbać.

Spojrzał na nią z góry.

- Nie, nie wiesz. Po prostu miałaś szczęście.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Najwyraźniej nie masz pojęcia, jak o siebie zadbać.

Była gotowa się kłócić, ale doszła do wniosku, że to go tylko bardziej zdenerwuje, choć nadal nie miała pojęcia, czemu się wścieka. Powiedziała coś w dobrej wierze, a on najwyraźniej źle ją zrozumiał. Przed domem się rozstali.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim.

- Do swojego świata - odparł złośliwie. - Do szumowin i łajdaków. Tess zamknęła drzwi na zasuwę. Jeszcze długo zastanawiała się, co zrobić, żeby zmniejszyć przepaść między nimi.

Tak naprawdę było jej przykro, że Jack jest na nią zły. Pierwszy raz doświadczyła takich uczuć i bardzo ją to zaniepokoiło.

Odsunęła od siebie nieprzyjemne myśli. Poszła do kuchni, zaparzyła imbryk herbaty.

Najważniejsze, powtarzała sobie, to skupić się na Brigitte i Stevie. Nie pozwoli, żeby nieporozumienia z Jackiem stały jej na drodze.

Zaniosła filiżankę do gabinetu i otworzyła atlas na mapie Karaibów. Jack miał rację: strasznie dużo wysp, niektóre tak małe, że nawet nie mają nazw, przynajmniej nie w tym atlasie. Pewnie jest ich jeszcze więcej.

Lecz jeśli Steve i Brigitte wybrali się na Karaiby, mało prawdopodobne by udali się na taką drobinę. Jack twierdzi, że

jego ojciec wyruszyłby na Łacę Boba, ale to nie w stylu Brigitte.

Tylko że preferencje Brigitte niewiele im pomogą. Największe wyspy to znane kurorty turystyczne, od Kajmanów po St. Kitts. Nie sposób zawęzić obszaru poszukiwań. Co do jednego Jack się mylił: nie Martynika żyje pod wulkanem, tylko Montserrat.

Zamknęła atlas, odstawiła filiżankę i próbowała przeanalizować sytuację.

Matka zadzwoniła, że starają się złapać samolot do domu. Jak na Brigitte, to nietypowa wiadomość, co wywołało w niej pierwszy niepokój.

Oddzwoniła natychmiast i zostawiła na sekretarce rodziców wiadomość, żeby odezwali się zaraz po powrocie. Oni jednak milczeli. Po upływie kolejnej doby doszła do wniosku, że nie złapali samolotu. W tym momencie niepokój przerodził się w panikę.

Wracając do wiadomości od matki - nie była w stylu Brigitte. Po pierwsze, krótka. Po drugie, zawierała podejrzenie mało informacji. Brigitte nigdy nie kończyła, póki nie opowiedziała wszystkiego z najdrobniejszymi szczegółami i tuzinem dygresji - nawet jeśli rozmawiała z sekretarką automatyczną.

Więc coś było nie tak już wtedy, kiedy dzwoniła. Kłamała, albo z przymusu, albo z własnej woli. A z Brigitte jedno i drugie jest możliwe.

Z początku Tess zakładała, że stało się coś złego. Im więcej jednak myślała o tej wiadomości, tym bardziej nabierała przekonania, że coś tu nie gra.

Ale co? Dlaczego niby jej matka miałaby zostawiać nieprawdziwą wiadomość?

Nadal nad tym rozmyślała, gdy wrócił Jack.

Nie był sam.

Rozdział 5

Do gabinetu wszedł, deptając Jackowi po piętach, niski mężczyzna o rozbieganych ciemnych oczach. Miał na sobie kiczowatą koszulę w palmy, luźne szorty sięgające poniżej kolan i sfatygowane sandały, z których wystawały włochate stopy.

- Ej, stary, niezła chałupa - powiedział do Jacka. - Nie wiedziałem, że cię na to stać. Bierzesz?

- Zamknij się, Ernesto.

Tess chciała się wycofać.

- Przepraszam, już wychodzę... - zaczęła, ale Jack nie dał jej dokończyć.

- Nie tak szybko - mruknął z dziwnym błyskiem w oku. - Nie chcesz poznać jednego z moich przyjaciół łajdaków?

- Przyjaciół? - Ernesto zatrzymał się w pół kroku. - Hejże, człowieku, nie jestem twoim przyjacielem.

Jack wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: I co z tego? Tess jednak nadal zmierzała do drzwi.

- Baw się dobrze z przyjacielem - mruknęła.

Ernesto prychnął.

- Mam lepszy gust. Ten facet nie jest moim przyjacielem, paniusiu. Żałuję, że go w ogóle spotkałem. Więc jeśli nie masz pani nic przeciwko temu, już sobie pójdę.

Jack złapał go za kołnierz koszuli.

- Nie tak szybko, Ernesto. Mamy sprawy do załatwienia. Tess, przestań się skradać! Siadaj! W tej chwili!

Coś w jego głosie kazało jej posłuchać, więc grzecznie usiadła, jak najdalej jednak od Ernesta.

- Jakie sprawy? - zdziwił się Ernesto. - Jestem czysty, człowieku. Odsiedziałem swoje. Mam dość.

- Już to słyszałem. - Jack przysiadł na biurku, splótł ręce na piersi. - A dlaczego nie jesteś w Miami?

- Bo mam urlop.

- Ty? Urlop?
- Tak, ja. - Ernesto się naburmuszył. - Co w tym dziwnego? Ciężko pracuję. Mam robotę. Jak każdy frajer mam co roku dwa tygodnie wolnego.

- Tak?
- Tak.
- No, nie wiem - zastanawiał się Jack na głos. Spojrzał na Tess. -Wierzysz mu?

- Ja? - Zdziwiona, przeniosła wzrok na Ernesta. - A dlaczego miałabym mu nie wierzyć?

- Widzisz? - Ucieszył się Ernesto. - Wierzy mi. Słuchaj, człowieku, przyjechałem tu posiedzieć na plaży. Mówiłem ci już. Jeśli mi nie wierzysz, to twój problem.

- Ale mogę sprawić, żeby to był też twój problem.

Tess spojrzała na Jacka ze zdziwieniem. W jego głosie brzmiała groźba.

A Ernesto wcale nie był tym zdziwiony, co znaczy, że u Jacka to normalne. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Dobra, dobra - burknął Ernesto, na którym groźby Jacka zrobiły wyraźnie mniejsze wrażenie niż na niej. -I co zrobisz, człowieku? Zanudzisz się na śmierć, obserwując, jak robię z dzieciakiem babki z piasku.

- To rzeczywiście nudny widok - przyznała Tess.

Jack przewrócił oczami, a Ernesto zwrócił się do niej.

- Ej, tak to jest, jak się ma dzieciaki. Teraz mam same nudne zajęcia. Zmieniam pieluchy. Chodzę na spacer, żeby dzieciak się dotlenił. Jez, nawet bawię się klockami.

Tess skinęła głową.

- Ale lubi pan się bawić z dzieckiem, prawda?

- Cóż... - Ernesto się speszył. - Tak, chyba tak. No, znaczy, to brzmi głupio, ale z dzieciakiem jest... inaczej.

Jack zachnął się z niesmakiem.

- Czy możemy sobie darować ten kawałek o troskliwym tatusiu?

Tess zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? Przyprowadziłeś go przecież do domu. Chciałam tylko, podtrzymać rozmowę.

- Rozmowę? Z nim?
- A co z nim nie tak?

Ernesto pochylił się w jej stronę i wyznał konfidencjonalnie:

- Wolałaby pani nie wiedzieć. Zresztą on ma rację. To nie jest wizyta towarzyska.

Jack spojrzał mu w oczy.

- Nikt cię tu nie przysłał?
- Przysłał? - Ernesto zerwał się na równe nogi. - Jasne, człowieku. Żona. Żona mnie tu przysłała. Od lat jęczy, że chce tu przyjechać popływać. Powtarzam jej, że może sobie popływać w Miami, a ona w kółko, że tu jest inaczej. Więc, owszem, masz rację, przysłano mnie tutaj. A dokładnie mówiąc, przywleczono siłą. W Miami byłoby o wiele taniej.

- Chodzi mi o Steve'a i Brigitte Wright, nic o nich nie wiesz?

- A co, sprzedają? Nie mam z tym nic wspólnego. Chcesz ich przyłapać? Musisz poszukać sobie innego pomocnika. Człowieku, ja już nawet nie mam kuratora. Nic już nie muszę.

Ernesto zwrócił się do Tess.

- A ty, co robisz z tym gościem? On ściąga kłopoty. Poradzę ci coś: trzymaj się od niego z daleka.

Nie śmiał się, a ryczał. Ruszył do drzwi. Jack nie próbował go zatrzymać, tylko krzyknął:

- Daj mi znać, jeśli usłyszysz coś o Wrightach.
- Jasne, jasne - burknął Ernesto. Po chwili zamknęły się za nim drzwi. Tess zajrzała Jackowi w oczy.

- Kto to był i o co w tym wszystkim chodzi?
- Ernesto? Stary znajomy. Żywi do mnie urazę z przeszłości. Przyjęła to wytłumaczenie.

- Uważasz, że mógł coś zrobić rodzicom?
- Sądziłem, że jest małe prawdopodobieństwo, że mógłby coś wiedzieć, gdyby w ich zniknięcie byli zamieszani moi... dawni wrogowie.

Tess miała wrażenie, że serce w niej zamarło.

- Znasz ludzi, którzy mogliby kogoś porwać?
- Jezu, Mała, znam ludzi, którzy zabiliby za dolara. Co więcej, kilku z nich właśnie teraz szuka naszych rodziców.

Tess wstrzymała oddech.

- Żeby nam pomóc. Mają u mnie dług wdzięczności - wyjaśnił.

Oczywiście, najważniejsze to odnaleźć rodziców, choć Tess nie była pewna, czy chce, by pomagali im w tym ludzie gotowi zabić za dolara.

Już miała to powiedzieć Jackowi, ale dostrzegła w jego twarzy coś, co kazało jej trzymać język za zębami. To nie ten Jack, który przekomarzał się z nią kilka godzin temu. Ten nowy Jack przerażał ją. Wyglądał starzej i bardzo surowo. Jakby się obnażył i zobaczyła jego prawdziwe oblicze.

- Widzisz, Mała? - stwierdził po chwili. - Powinnaś uważać, czego sobie życzysz.

I już go nie było. Po chwili trzasnęły drzwi do jego sypialni.

Tess ze zdumieniem uświadomiła sobie, że widok prawdziwego Jacka za fasadą roześmianego, nonszalanckiego obiboka nie tylko przestraszył ją, ale też wzbudził współczucie, którego wcale nie chciała.

Jack Wright cierpi. A Tess wolałaby tego nie wiedzieć.

- Nie znoszę poranków - mruknęła, sypiąc kawę do ekspresu. Starła się nie zwracać uwagi na złoty blask słońca w kuchennym oknie. W domu, w Chicago, było ponuro i szaro, tutaj jest tak pogodnie, że aż trudno wytrzymać.

Kolejne spojrzenie w okno. Wierzchołki palm kołysały się na wietrze. Po lewej stronie rozciągała się błękitna Zatoka Meksykańska. Zdecydowanie za ładna, stwierdziła z goryczą. A cholerna kawa chyba nigdy się nie zaparzy.

W tym momencie do kuchni wszedł Jack. Nie był tak rzeński jak zwykle. Cienie pod oczami świadczyły, że spał jeszcze gorzej od niej.

- Cześć - burknęła.

Dzień dobry nie przeszło by jej przez gardło, to na pewno nie był dobry dzień.

- Gazeta? – mruknął pytająco.

- Nie ma. Chyba odwołali przed wyjazdem.

- Aha.

- Pójdę do kiosku.

Pokręcił głową.

- Kawa?

Zerknęła na ekspres.

- Za pięć minut.

- Aha.

Podrapał się w nieogolony policzek i wyszedł z kuchni. Po chwili zamknęły się za nim drzwi wejściowe. Pewnie poszedł po gazetę.

Kiedy wrócił, cisnął gazetę na stół, tak że Tess wyraźnie widziała olbrzymi nagłówek: UCIEKAJCIE! Przyjrzała się dokładniej i przeczytała: zarządzono ewakuację w rejonie zatoki w związku z nadciągającym huraganem Gaspar”.

Podniosła głowę i napotkała posepny wzrok Jacka. Trzymał kubek kawy dwoma rękami.

- To my - stwierdziła.

- Tak.

- Musimy się ewakuować?

- Jeszcze nie. Nie ta strefa. Ale musimy zabezpieczyć okna. Ponownie pochyliła się nad gazetą.

- To nic strasznego, kategoria jeden.

- Wystarczy. Musimy zabezpieczyć dom ze względu na rodziców.

- Wiem. Staram się tylko postrzegać to wszystko w pozytywnym świetle.

Jezu. - Najchętniej załamałaby ręce i załała się łzami. Nie wiedzą, gdzie się podziali rodzice, ale zabijają okna deskami? Co tu jest nie tak?

Nagle podniosła wzrok na Jacka.

- Gdzie oni są?
- Sam chciałbym to wiedzieć. - Usiadł naprzeciwko niej. -
Szczerze mówiąc, Mała, zaczyna mnie to wszystko wkurzać.
- Wkurzać?
- Owszem. Co im odbiło, żeby wyjechać tak bez słowa?
Skinęła głową.

- Zazwyczaj tego nie robią.
- No właśnie. Nie martwiłbym się, gdyby zawsze byli tacy, ale oni przesadzali raczej w drugą stronę. Do licha, przesyłali mi kserokopie planu podróży z numerami telefonów!
- Mnie też.
- No właśnie. Dziwne to wszystko. Dlatego wczoraj przycisnąłem Ernesto. Bo nie mieści mi się w głowie, że wyruszyli w zaplanowaną podróż, nie mówiąc nikomu ani słowa.

Głośno zaczerpnęła tchu.

- Myślisz, że Ernesto ich porwał?
- Mało prawdopodobne. Ernesto to nikt. To nie jego liga. Ale myślałem, że może coś słyszał. Podejrzana wydawała mi się sama jego obecność.

- Dlatego, że go znasz, tak?
- No, powiedzmy, że go znam. Nie powiedziałbym, że się przyjaźnimy. Właściwie Ernesto z przyjemnością poderznąłby mi gardło, gdyby nie był takim tchórzem.
- Wiesz - odezwała się Tess po chwili - łapię się na tym, że zastanawiam się, czemu mieszkam z tobą pod jednym dachem.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Jeśli się obawiasz, że oddychanie tym samym powietrzem wpłynie na twoje morale, przenieś się do motelu.

- Dlaczego ja? Może ty? Zwłaszcza jeśli nadal masz zamiar obcować z takimi typami jak Ernesto.

- Nie obcowałem z nim, chciałem go wypytać. To ty prowadziłaś z nim przyjacielską rozmowę o dzieciach. Czuję się jak na jakiejś cholernej herbatce.

- Chciałam być uprzejma.
- Wobec niektórych ludzi nie ma co się silić na uprzejmość. Na przykład wobec Ernesto.
- Właściwie dlaczego?
- To śmieć. Były więzień. Siedział za handel narkotykami.
- Och. - Wyděła wargi z dezaprobatą. - To mi duzo mówi.

Jack wzruszył ramionami.

- Nie o nim, o tobie.
- O mnie?
- Tak, o tobie. Skoro znasz kogoś takiego...

Spochmurniał.

- A co o mnie mówi fakt, że znam nadętą wiktoriańską damę? Powtarzam ci, nic o mnie nie wiesz.

Wstał. Szedł do drzwi.

- A czyja to wina, pytam? - zawołała za nim. Nie pozwoli, by ostatnie słowo należało do niego.

Zaskoczył ją, gdy się odwrócił i spojrzał na nią poważnie.

- Twoja - odparł.

A potem, niech go piekło pochłonie, odszedł, zanim zdążyła się odciąć.

Deski do okien były w garażu. Nic dziwnego, stwierdził Jack. Steve pewnie nieraz zabezpieczał dom przed huraganem w ciągu minionych piętnastu lat. Szybko policzył deski - było akurat tyle, ile okien.

Metodycznie je wynosił, jedna po drugiej, i przymierzał do poszczególnych okien. Układał je na ziemi wokół domu, żeby później przymocować. Na niebie słońce zniknęło za niskimi szarymi chmurami, zwiastunami burzy.

Huragan kategorii jeden to nic takiego. Trochę gorszy niż tropikalna burza, spowoduje krótkie przerwy w dostawie prądu, przewróci kilka drzew, zaleje niewielki obszar. Nie warto panikować. Dom stał na wydmie, nad zatoką, więc nie muszą się nawet obawiać, że woda dojdzie do nich.

Układał ostatnie deski wokół domu, gdy pojawiła się sąsiadka, Maudeen Mason. Miała na sobie pomarańczowe szorty, fioletową koszulkę i okulary słoneczne ozdobione sztucznymi klejnotami. Jack starał się na nią nie patrzeć z obawy, że oślepie.

- Jack! - Zawołała radośnie. - Nie wiedziałam, że przyjechałeś. Czy Steve i Brigitte już wrócili?

- Ee, nie, jeszcze nie. - Położył ostatnią deskę na ziemi i otarł pot z czoła. - Nie wie pani przypadkiem, na kiedy planowali powrót?

Pokręciła przecząco głową.

- Niestety nie. Nie powiedzieli. Ale wygląda na to, że wyjechali już dawno temu.

- Mówili, dokąd się wybierają?

- Jak to? Nie powiedzieli ci? - Maudeen cmoknęła z dezaprobatą. - Co to się dzieje na tym świecie?

Jack z trudem pohamował irytację.

- Szczerze mówiąc, w tej chwili mało mnie obchodzi świat. Martwię się tylko o rodziców.

- Cóż, gdziekolwiek są, nie muszą się przynajmniej obawiać huraganu. Pewnie to oni martwią się o nas.

Jack stłumił westchnienie.

- Mogliby przynajmniej zadzwonić.

- No, mogliby. - Maudeen zamrugała szybko, jakby nie do końca wiedziała, o czym rozmawiają. Bogiem a prawdą, Jack też tego nie wiedział.

- Więc nic pani nie wie o ich planach urlopowych? Maudeen zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nawet nie wiem, kiedy wyjechali. Ale dostałam od nich pocztówkę. Zamienił się w słuch.

- Naprawdę? Mogę ją zobaczyć?

- Niestety, wyrzuciłam. W moim wieku przekonasz się, że nie można przechowywać takich pamiątek. Utonęłabym w stosach listów i pocztówek.

Zmusił się, by zachować spokój.

- Kiedy ją pani dostała?
- Pocztówkę? Och... tydzień temu? Nie jestem pewna.

Może trzy, cztery dni temu.

Jack zazgrzytał zębami.

- Skąd?

Ku jego zdumieniu, Maudeen Mason wydawała się zmieszana i nieco przestraszona. Uciekała wzrokiem przed jego spojrzeniem, ba, cofnęła się o krok.

- Ja nie mogę... Nie... To znaczy... Nie pamiętam! W Jacku narastały dziwaczne podejrzenia.

- Niczego pani nie pamięta?

Znowu cofnęła się o krok.

- Powinieneś porozmawiać z Mary Todd - poradziła. - Tak, właśnie tak. Musisz porozmawiać z Mary.

- Dlaczego akurat z nią?

- Bo ona wie wszystko. - Maudeen Mason sadziła susami przez swój trawnik. Bezpieczna na swoim ganku, wyjrzała przez żywopłot i poprosiła:

- Pomożesz mi zabezpieczyć okna?

- Pewnie. Kiedy uporam się z tymi.

- Dzięki! - Zniknęła w domu. Jack odprowadzał ją wzrokiem. Nic z tego nie rozumiał.

- Coś nie tak?

Słyszając Tess, odwrócił się na pięcie.

- Nie, wszystko w porządku.

- Wyglądasz jakoś dziwnie.

- Zamyśliłem się. Przepraszam.

Pokręciła głową. Obserwował, jak ciemne włosy muskają policzki i ramiona. Ciekawe, czyjej włosy są tak jedwabiste, jak się wydaje. A skóra równie gładka?

- Nie przepraszaj. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Pomyślałam, że pomogę ci przy oknach.

- To świetnie. - Zdecydował się przyjąć gałązkę oliwną, choć nie padło słowo „przepraszam”. Przy jej pomocy szybciej

zabezpieczy okna. Sam będzie się z nimi mocował do nadejścia huraganu.

- Lepiej idź do garażu po rękawice ochronne - poradził, patrząc na jej drobne dłonie. - Chyba nie chcesz nabijać sobie drzazg.

Nie chciał, żeby narobiła sobie odcisków na miękkich rączkach. Jezu, co się z nim dzieje? Rozum mu odjęło, czy co? Nie chce patrzeć na Tess w ten sposób. Nigdy. Przenigdy.

Idąc za nią do garażu, udawał, że nie zwraca uwagi na jej rozkołysane biodra w białych szortach, na smukłe, gładkie łydki. Ze skupieniem szukał wiertarki pasującej do śrub przy ramach okiennych. Steve zabezpieczał okna co najmniej raz na rok, więc na wszelki wypadek śruby zawsze tkwiły w koszulkach. To znacznie ułatwiało pracę, a było o wiele tańsze niż specjalne okiennice zabezpieczające przed huraganem.

- Dobra - powiedział do Tess, gdy wykręcił pierwszą śrubę. - Zaczynamy.

Uśmiechnęła się lekko i pomogła mu dźwignąć pierwszą płytę. Była gruba i bardzo ciężka. Widział, że Tess z trudem sobie z nią radzi.

- Jeszcze tylko chwilka, Tess. Muszę wkręcić pierwszą śrubę.

- Jasne.

Po pierwszej śrubie zszedł z drabiny i zamocował na dole.

- Teraz puść.

Odsunęła się posłusznie, otarła dłonie w rękawiczkach o białe szorty i obserwowała, jak Jack mocuje dwie pozostałe śruby.

- Jeszcze tylko trzynaście okien - oznajmił radośnie.

- Tylko trzynaście?

- Traktuję drzwi na taras jak jedno okno, bo do siebie przylegają.

- Aha.

Zerknął na nią kątem oka.

- Teraz ty instalujesz śruby. To łatwiejsze niż dźwiganie desek. Powinien był od razu o tym pomyśleć.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Naprawdę? Pochlebiasz mi.
- Żartujesz?

Pokręciła głową.

- Nie, poważnie. Zdaniem większości mężczyzn kobiety nie umieją posługiwać się takimi narzędziami.

Nie zgadzał się z tym, ale nie wiedział, jak to powiedzieć, nie wywołując kolejnej awantury.

- Cóż... Ja do nich nie należę. Wiertarka jest prosta w obsłudze. - Ledwie to powiedział, zorientował się, że popełnił błąd.

- Ha, czyli pozwalasz mi, bo to proste? Nie spodobał mu się błysk w jej oku.

- Nie to miałem na myśli.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Więc co?

- Miałem na myśli, że każdy, mężczyzna i kobieta, umie posługiwać się wiertarką. Tylko tyle.

Staneła przy następnym oknie. Spojrzała na niego z dziwnym uśmiechem na ustach.

- Nieźle, Jack. Spociałeś się z wysiłku?

- Denerwuje mnie to całe gadanie o kobietach i mężczyznach.

- Tak? A czemu?

- Bo to głupota.

- Głupota?

- Głupota - powtórzył z uporem. - Ludzie to ludzie. Biologia to nie przeznaczenie. Nie wierzę, że chromosomy X i Y decydują o czymś poza tym, kto będzie dawcą spermy.

Z jej spojrzenia nie dało się nic wyczytać.

- Proszę, proszę. Co za świątły punkt widzenia.

Wzruszył ramionami.

- Więc decyduj: wiertarka czy deski?

- Cóż, chromosomy jednak o czymś decydują: mężczyźni mają silniejsze ręce.

Nie mógł opanować śmiechu.

- No dobra, będę dźwigał.

Wspięła się na drabinę i spróbowała wkręcić pierwszą śrubę. Wiertarka tylko ślizgała się po powierzchni.

- Hm - mruknął Jack. - Radziłbym ci wkręcać w odwrotnym kierunku.

- Och. - Zarumieniła się. Wyglądała z tym uroczo. Kiedy zabezpieczyli dwa kolejne okna, zapytał:

- Znasz przypadkiem Mary Todd?

- Prawie nie. Rozmawiałam z nią kilka razy. Czy to nie ona jeździ wózkami golfowymi w kolorze lawendy?

- Nie wiem. Ja jej nie znam.

- A czemu o nią pytasz?

- Bo nasza sąsiadka, Maudeen Mason, powiedziała, że musimy porozmawiać z Mary Todd.

Zatrzymała się w połowie drabiny.

- Dlaczego? Powiedziała dlaczego?

- Bo Mary Todd wie wszystko.

Tess roześmiała się gorzko.

- No tak. Nikt w całym mieście nie wie, gdzie się podziali, ale Mary Todd - owszem?

- Tu jest pies pogrzebany, Tess. Maudeen zachowywała się dziwnie. Powiedziała, że dostała od nich pocztówkę, ale nie pamiętała, kiedy. Twierdzi, że już ją wyrzuciła. Kiedy zapytałem, skąd była ta pocztówka, zaczęła coś zmyślać i wmawiać mi, że nie pamięta.

- Wiesz, ona się starzeje.

- Uwierz mi, to nie był napad sklerozy. To coś innego. A kiedy podsunęła mi pomysł rozmowy z Mary Todd wyglądała, jakby kamień spadł jej z serca.

- Cóż, nie wyobrażam sobie, co takiego Mary mogłaby nam powiedzieć. Z tego, co słyszałam, to największa naciągaczka w Paradise Beach.

- Porozmawiam z nią- dobrze sobie radzę z naciągaczami.

Ledwie to powiedział, zdał sobie sprawę, że nie postąpił mądrze. Tess pewnie zastanawia się teraz, gdzie się nauczył radzić sobie z naciągaczami i dochodzi do wniosków niezbyt dla niego pochlebnych.

Był zły na siebie. Zawsze go drażniło, że Tess ma o nim jak najgorszą opinię, a teraz sam umacniał w niej przekonanie, że jest nic niewart. Mruknął coś obraźliwego pod adresem deski i przestał się odzywać.

Drażniło ją jego milczenie. Natychmiast spróbowała wciągnąć go w rozmowę. Odpowiadał monosylabami. Nie obchodziło go specjalnie, dlaczego rodzice nie założyli okiennic. Kiedy nalegała, by podał powody takiej decyzji, burknął, że pewnie woleli wydać piętnaście tysięcy na coś przyjemniejszego.

Usiłowała wciągnąć go w rozważania, czy huragan uderzy prosto na nich, czy też skreśli bardziej na północ. Zbył ją wzruszeniem ramion: przecież nie jest meteorologiem.

Zastanawiała się, czy ewakuują całą wyspę. Przerwał milczenie by odpowiedzieć, że tak, jeśli huragan uderzy prosto na nich albo jeśli poziom morza podniesie się więcej, niż zakładano.

Chyba usatysfakcjonowała ją tak wyczerpująca odpowiedź, bo dała mu spokój i milczała do końca.

- Co teraz? - zapytała, gdy zabezpieczyli ostatnie okno.
- Obiecałem pomóc Maudeen Mason.
- Aha... - Tess była jakby zawiedziona.
- Bo co? - burknął. Wzruszyła ramionami.
- Myślałam, że pójdziemy do Mary Todd. A jeśli naprawdę przyjdzie huragan, powinniśmy zrobić jakieś zapasy, prawda?

- Jeśli chcesz, zajrzyj do Mary Todd i zrób zakupy. Ja idę do Maudeen. Obiecałem.

Po raz pierwszy tego dnia spojrzała na niego nieco ciepłej.

- Idę z tobą - zdecydowała. - Pomogę ci.

Gdyby odrzucił tę propozycję, byłby gburem i na dodatek głupcem.

Joe Mason gęsto się tłumaczył, że sam nie zabezpieczył okien, ale po wylewie nie mógł wejść na drabinę. Maudeen wmusiła w nich porcję domowej szarlotki z lodami, gdy skończyli.

Była już druga po południu. Nadal nie było nakazu ewakuacji. Prawie wszyscy uwijali się przy swoich domach, zabezpieczając okna i co się tylko dało.

- Czas odwiedzić Mary Todd - mruknął Jack.
- Dlaczego?
- Lada moment ktoś inny zapędzi nas do pomocy, a mój żołądek nie znieśie jeszcze jednej porcji lodów i ciasta.

Roześmiała się. Zauważyła jednak, że po drodze Jack pukał prawie do każdych drzwi i pytał, czy nie trzeba pomóc.

No dobra, więc nie jest kompletnym zerem. Zachował się bardzo porządnie. Właściwie nawet jej zaimponował, ale do świętego mu daleko.

- A w razie czego, dokąd będziemy się ewakuować? - zapytała ciekawie. Szli wzdłuż bulwaru. Było wyjątkowo pusto jak na tę porę roku. Większość wystaw już zasłonięto.

- W głąb łądu. Jak najdalej.
- Świetnie. Na drogach na pewno są straszne korki.
- Kto wie? Nie zanosí się na jakiś straszny huragan. Nie zdziwiłbym się, gdyby większość zdecydowała się go przeczekać.

- Moim zdaniem to fatalny zbieg okoliczności. Jak mamy szukać rodziców, skoro trzeba się ewakuować?

- Mówiłem ci już, że ich szukają.
- Ludzie pokroju Ernesto?

Zerknął na nią. Nagle w jego oczach błysnęła iskierka humoru.

- Lepsi niż Ernesto. Sprytniejsi. Bardziej bezwzględni.
- Tacy, którzy zabijają za dolara?
- Zależy od dolara, ale tak, mniej więcej tacy.

- Nie mieści mi się w głowie, że znasz takich ludzi.
- Dlaczego? Ty nie znasz? Już miała zaprotestować, kiedy uświadomiła sobie, że Jack ma rację.

Czasami w pracy spotykała się z ludźmi, którzy prawie na pewno byli zamieszani w ciemne interesy. - Ale się z nimi nie spotykam.

- Owszem. Jeśli tego wymaga twoja praca.

Rozmyślała nad jego słowami, gdy zatrzymali się przed domem Mary Todd. Wyglądał jak relikwiarz przeszłości. Wysoki na trzy piętra, z wieżyczką, był jednym z większych domów jednorodzinnych w okolicy. We wszystkich oknach miał ochronne okiennice.

- Może powinniśmy byli najpierw zadzwonić - zmartwiła się. - Nieładnie jest przychodzić bez zapowiedzi.

- Biorąc pod uwagę fakt, że zaginęli nasi rodzice, uważam, że możemy sobie darować konwenanse.

I to, zauważyła, kolejna ogromna różnica między nimi. Ojciec wychował Jacka po amerykańsku, swobodnie, podczas gdy Brigitte wpoila Tess bardziej surowe europejskie zasady. Czasami zazdrościła Jackowi.

Jack pokonał krótką ścieżkę, wszedł na ganek, który zatrzeszczał niebezpiecznie pod jego ciężarem, i zadzwonił do drzwi. Nawet z chodnika Tess słyszała staroświecki gong, jakże różny od współczesnych dzwonek.

Chmury gęstniały, zasłoniły resztki słońca. Wiatr wiał coraz silniej.

- Może lepiej wracajmy - zaproponowała. - Pani Todd pewnie wyjechała

- Pewnie tak. - Ale na wszelki wypadek zadzwonił jeszcze raz.

Po chwili oboje zaskoczył dźwięk otwieranych drzwi. W progu stanął elegancki pan koło siedemdziesiątki.

- Przykro mi - oznajmił stanowczo - ale nadciąga huragan, na wypadek gdybyście nie wiedzieli. Nie mamy czasu oglądać dzisiaj waszych towarów. Przyjdźcie w przyszłym tygodniu.

Chciał zamknąć im drzwi przed nosem, ale Jack wsunął dłoń w szparę.

- Niczego nie sprzedajemy. Szukamy pani Mary Todd.

- Mary jest bardzo zajęta - odparł mężczyzna. - Nie wiem, dlaczego zawsze odkłada na ostatnią chwilę pakowanie rupieci, które uważa za bezcenne rodzinne pamiątki. Ale chętnie was przyjmie za jakiś tydzień.

- Nie mamy tyle czasu - obstawał Jack. - Bardzo proszę. Nasi rodzice zaginęli, a Maudeen Mason powiedziała, że pani Todd coś wie na ten temat.

- O Boże - mruknął mężczyzna i zamknął drzwi mimo wysiłków Jacka. Po chwili usłyszeli, jak woła za zamkniętymi drzwiami:

- Mary, nie bawisz się w porwania, prawda?

Tess i Jack wymienili spojrzenia.

- Słyszałeś? - zapytała.

Rozdział 6

Skinął głową i wydał usta.

- Żartował.

- Jesteś pewien?

- Szczerze mówiąc, nie. Ale drobne staruszki na fioletowych wózkach golfowych nie wyglądają mi na zdolne do takich przestępstw.

- Racja - przyznała. - Chyba że mowa o oszustwach podatkowych.

- Oszustwa podatkowe i porwania to dwie różne rzeczy.

- Powiedz to Alowi Capone.

Mało brakowało, a roześmiałby się. Widziała to w napięciu mięśni wokół jego ust i w zmarszczkach w kącikach oczu.

- Punkt dla ciebie. Do licha, ciekawe, co tam tak długo robią?

- Ukrywają zwłoki?

- Boże! - Zerknął na nią. - Przyплыw czarnego humoru, Tess?

- A masz jakiś lepszy powód?

- Może Mary jest w piżamie i musi się ubrać.

- Taak - powoli skinęła głową. - Tylko że jest druga po południu.

- Może drzemała.

- Czy wówczas darłby się na całe gardło?

- Chyba nie. Dobra, co jeszcze? Może akurat coś gotuje i nie może odejść od kuchni.

- Może. - Ta zabawa podobała jej się coraz bardziej. - Ale mam lepszy pomysł.

- Tak?

- W tej chwili ucieka tylnymi drzwiami.

Przez ułamek sekundy na jego twarzy malował się autentyczny niepokój. Spiał się, jakby chciał puścić się biegiem, ale zaraz odprężył się.

- Nieźle, Tess. To było dobre.
Roześmiała się, zadowolona, że wygrała rundę.
Właśnie w tej chwili drzwi się otworzyły i starszy pan zaprosił ich do środka.
- Proszę, wejdźcie, Mary was przyjmie. Pozwolicie, że się przedstawię: Ted Wannamaker, przyjaciel Mary. A wy...?
- Jack Wright - Jack podał mu rękę. - Syn Steve'a. A to Tess Morrow, córka Brigitte Wright.
- Ach, tak. Znam Steve'a i Brigitte. Wspaniali ludzie. - Uścisnął im dłonie i zaprowadził w głąb domu.
- Moja droga Mary - wyjaśnił przez ramię - siedzi na werandzie na tyłach domu. Uwielbia wiatr przed burzą.
Szli za nim przez ciemny dom.
- Widzę, że jesteście nieźle przygotowani - zauważył Jack.
- Och, tak. Mary i ja widzieliśmy już wiele huraganów. Ten dom zdał egzamin. Nie ma się czego obawiać, przynajmniej tym razem. To maleństwo, ot, silniejsza burza.
- Podobno poziom wody podniesie się tylko nieznacznie.
- Podobno. O sto dwadzieścia centymetrów, o ile pamiętam. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, huragan uderzy w czasie odpływu i woda nic nam nie zrobi.
Zdaniem Tess założenie, że huragan „nic nam nie zrobi” było zbyt optymistyczne. Huragan to jednak huragan, nie jakaś tam zwykła burza.
O ile od frontu dom przywodził na myśl okolice plaży, z piaszczystym podwórkiem i kilkoma palmami, to na tyłach rozciągała się istna dżungla. Wokół werandy rosły bujne krzewy, olbrzymie paprocie i palmy.
Mary we własnej osobie siedziała przy stolyczku z kutego żelaza i sączyła herbatę z porcelanowej filiżanki. Była to wysoka, szczupła kobieta o pięknych siwych włosach. Miała koło osiemdziesięciu lat i ciemne, bystre oczy, czujne jak wzrok drapieżnego ptaka.

- Siadajcie, siadajcie - machnęła ręką, gdy Ted ich przedstawił, jak królowa podczas audiencji. - Podobno uważacie, że porwałam waszych rodziców, tak, Ted?

Tess się zarumieniła.

- Nie, to nie tak. To pan Wannamaker to zasugerował. Maudeen Mason powiedziała, że powinniśmy z panią porozmawiać. Nasi rodzice zaginęli. Może pani wie, gdzie są?

- Doprawdy? - Mary uniosła brew i upiła łyżeczek herbaty. - Ciekawe, skąd Maudeen przyszło coś takiego do głowy?

Ted zaniósł się kaszlem. Tess spojrzała na niego szybko, ale wyglądał jak ucieleśnienie niewinności. Ocierał sobie usta chusteczką.

- Proszę mi wybaczyć - mruknął. - Alergia.

Ciemne oczy Mary spojrzały na Tess.

- Moim zdaniem jest uczulony na mnie. Tym bardziej godne podziwu, że pałęta się koło mnie od sześćdziesięciu lat.

- Droga Mary - skłonił się szarmancko. - Uczulony? Na ciebie? Nigdy.

Mary prychnęła, jakby nie wierzyła w ani jedno słowo.

- Zawsze mówi to co trzeba. Wyobrażacie sobie, jakie to denerwujące? Jack był wyraźnie zainteresowany.

- Jak to? Chciałaby pani, żeby mówił nie to, co trzeba?

- Nie, to nie tak. Ale święci są okropnie nudni. - Zatrzepotała przy tym rzesami, żeby złagodzić wymowę tych słów. - Ted nigdy się do tego nie przyzna, ale w głębi ducha jest bardzo zadowolony, że nigdy nie przyjął jego oświadczyn. Wie, że zmieniałbym jego życie w piekło.

- Doprawdy, Mary...

Nie dała mu dokończyć.

- Oczywiście, nie przyzna się do tego za żadne skarby - to byłoby takie nieuprzejme. Ale to prawda, i tyle. Dla niego lepiej, że ma mnie w małych dawkach.

Zwróciła się do Tess, poufale poklepała ją po ramieniu, jakby były starymi przyjaciółkami.

- Tajemnica szczęścia, moja droga, to wyznaczyć granice w każdym związku. I nigdy nich nie przekraczać.

Tess pokiwała głową, choć nie wiedziała, czy właściwie ją rozumiała. Wiedziała natomiast, że Mary nie ma prawa udzielać jej życiowych rad. Mary jednak widziała to inaczej.

- Nieważne, jak blisko z kim jesteś, są pewne granice, których nie wolno przekraczać. Miejsca, do których nie można zajrzeć, jeśli sienie chce końca związku. O tym mówię, moja droga.

Tess znówu skinęła. Teraz wszystko rozumiała. I nie mogła się doczekać, kiedy Mary przejdzie do rzeczy.

- Ted - ciągnęła starsza pani - ma więcej szczęścia, niż mu się zdaje. Wiem, gdzie są granice. Pomyśl tylko: przed chwilą zapytał mnie, czy brałam udział w porwaniu. Jak myślisz, czy byłby szczęśliwy, mając za żonę kobietę, którą uważa za zdolną do porwania?

- Momencik, Mary! - obruszył się Ted. - Tylko żartowałem. Przecież wiem, że nikogo nie porwałam.

- Doprawdy? - Mary roześmiała się gardłowo. - Czy jesteś tego całkowicie pewien?

Nie dała mu szansy odpowiedzieć. Może to i dobrze, bo Tess podejrzewała, że nie odpowiedziałby szczerze.

- W każdym razie - Mary ponownie skupiła się na Jacku i Tess. - Nie porwałam waszych rodziców.

- Wcale pani o to nie podejrzewaliśmy - zapewnił Jack. - Ale, jak powiedziałem, Maudeen Mason uważa, że pani może coś wiedzieć.

- No, cóż. Mogę. Ale myślałam, że z jej słów wywnioskowaliście, że wiem wszystko.

- To nic nowego - wtrącił Ted.

- Och, cicho bądź - zganiła go Mary. - Twoim zdaniem jestem przyczyną każdej burzy w tym mieście.

- A nie jesteś? - odpowiedział pytaniem.

- Nie - wyprostowała się dumnie. - Ted ma złudzenia co do mojej wielkości. A jeśli chodzi o waszych rodziców... Cóż,

dostałam od nich pocztówkę. Może to wam pomoże. Chociaż nie pojmuję, czemu uważacie, że zaginęli. Może po prostu wyjechali na urlop?

- Być może - zgodziła się Tess. - Wszyscy są tego zdania.

- Więc w czym problem?

- Mama dzwoniła do mnie tydzień temu. Powiedziała, że starają się złapać samolot do domu. Do dzisiaj nie wrócili. A do Jacka zadzwoniła pani Niedelmeyer i powiedziała, że zaginęli.

- Madge Niedelmeyer? - Mary zmarszczyła brwi. - Wydaje jej się, że wie więcej niż naprawdę. Cóż, przykro mi, że się martwicie. Rodzice na pewno by tego nie chcieli.

- Gdyby tego nie chcieli, daliby nam znać, dokąd się wybierają - stwierdził Jack stanowczo. - Zawsze tak robią, tylko nie tym razem. Jeszcze ten tajemniczy telefon... Rozumie pani, że się niepokoimy.

- Rozumiem. - Mary z westchnieniem sięgnęła po hebanową laskę. - Poczekajcie, przyniosę wam tę pocztówkę.

Ted zaproponował im coś do picia, ale zgodnie odmówili. W końcu Mary wróciła na werandę z pocztówką w ręku.

- Niestety, niewiele się z tego dowiecie.

Jack trzymał pocztówkę tak, żeby i Tess ją widziała. Na zdjęciu widniała anonimowa plaża z palmami i turkusową wodą. Na odwrocie napisano: „Wreszcie wolni! Pozdrawiamy, Steve i Brigitte”. A stempel pocztowy był z...

- To kod pocztowy Tampa - stwierdziła Tess. - Wysłali kartkę przed wyjazdem.

Jack skinął głową.

- Skąd?

- Jak to skąd?

- No, z lotniska czy z portu? Albo poleciecieli samolotem, albo wypłynęli statkiem.

- Dobra myśl. Musimy to sprawdzić. Może data ze stempla zbiega się z datą wyjazdu i czegoś się dowiemy.

- A może wrzucili kartkę do pierwszej lepszej skrzynki pocztowej - zauważyła Mary sucho.

Tess spojrzała na nią, zirytowana. Tylko dobre wychowanie kazało jej ugryźć się w język.

Starsza pani jednak najwyraźniej nie miała żadnych oporów.

- A może wasi rodzice po prostu nie chcą, żebyście wiedzieli, gdzie są, nie przyszło wam to do głowy?

Tess aż zatkało z oburzenia. Spojrzała na Jacka. Sądząc po wyrazie jego oczu, zareagował podobnie.

- Ależ Mary - wtrącił się Ted . - Nie widzisz, że sprawiłaś przykrość tym młodym ludziom, mówiąc coś takiego? A nawet nie wiesz, czy masz rację.

- Może i nie wiem - prychnęła - aleja dostałam pocztówkę od Brigitte i Steve'a, nie oni.

Jack zaskoczył Tess, gdy wstał i oznajmił:

- Nie wiem, czy pani pamięta, że Brigitte dzwoniła do Tess. A to coś więcej niż pocztówka.

- Owszem - Mary skinęła głową. - Przepraszam, moja droga. Więc może po prostu zdecydowali w tym roku spędzić Święto Dziękczynienia gdzie indziej. Tak czy inaczej, nie mieli powodu, by wracać do domu.

Pięć minut później szli ulicą przy coraz silniejszym wietrze. Całe niebo zasnuły burzowe chmury.

- Co tu jest nie tak? - Jack zastanawiał się na głos.

- Nie tak?

- Właśnie, nie tak. - Kopnął złamany palmowy liść, który leżał im na drodze. - Chodźmy po zakupy. Musimy kupić coś do jedzenia i do uszczelniania

- Do uszczelniania? Po co?

- Zatkamy wanny i nalejemy wody.

- Aha.

- W każdym razie, coś mi tu nie gra. Moim zdaniem oni nie są w żadnych tarapatach.

- Też tak myślę. - Westchnęła. - Chyba powinnam wrócić do domu, do pracy. Wrócą, kiedy zechcą.

- Żartujesz? Poddasz się?

- Czemu?
- Ich manipulacji.

Tess aż przystanąła, zdziwiona.

- Jakiej manipulacji? To był tylko jeden głupi telefon.
- Jeden głupi telefon, z którego się niczego nie dowiedziałaś, ale który wystarczył, żebyś przejechała pół kraju i zaczęła ich szukać.

- No, tak. Jack, czy ty aby nie popadasz w paranoję?

Uniósł brwi.

- Ja? W paranoję? Pewnie, że tak. Ty też, szczerze mówiąc. Jezu, Tess użyj mózgu do analizy czegoś innego poza liczbami. Pomyśl tylko. Czy to wszystko nie wydaje ci się podejrzane?

Owszem. Ale Jack jest ostatnią osobą, której się do tego przyzna, zwłaszcza że zrobiło jej się głupio: wzięła urlop i przyjechała na Florydę tylko dlatego, że matka nie odbiera telefonu.

- Sama nie wiem - odezwała się w końcu. - Nie ma ich.
- Pewnie dlatego, że sami tego chcieli. A wiesz, co mi podsunęło tę myśl?

- Co?

- Święto Dziękczynienia. Pomyśl, Tess: oni chcą nas ukarać.

- Za co? - Chociaż już wiedziała. Jeśli na to spojrzeć z tej trony, wszystkie elementy układanki pasowały do siebie.

- Chcą nas ukarać, bo od lat nie przyjeżdżaliśmy na święta do domu. To głupota, przecież sami powtarzali, że mają po dziurki w nosie naszych ciągłych kłótni. Twierdzili, że psujemy im święta.

Tess opuściła głowę. Smutek ścisnął ją za serce.

- Chyba nie byliśmy aż tacy okropni - mruknęła.
- Cóż, też tak uważam. Oboje staraliśmy się trzymać język za zębami.

- No właśnie. Mogłam ci powiedzieć wiele strasznych rzeczy.

- I wzajemnie.
Spojrzała na niego i nagle zachciało jej się śmiać.
- Nie mieści mi się w głowie, że mówimy sobie to wszystko.

Wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Przecież to prawda. Żyjemy jak pies z kotem i nic na to nie poradzisz. To wzajemna antypatia.

Nie podobało jej się to, choć wiedziała, że Jack powiedział prawdę. Ale to tak, jakby przyznała, że coś z nią nie w porządku.

- Nie wiem, czy można to nazwać antypatią- sprzeciwiła się. - Po prostu nie rozumiemy się.

- Nie rozumiemy się, bo mnie nie cierpisz.

Zdenerwowała się, ale tylko troszeczkę.

- Ty mnie też.

- Tak jest. Więc to antypatia.

Sądząc po tym, jak silnie zaakcentował to słowo, napawał się swoim zwycięstwem.

- Czy zaraz powiesz: „A nie mówiłem”?

- Dzięki, daruję ci. - Błysnął zębami w uśmiechu. - I tak zrozumiałaś.

- Owszem, zrozumiałam. Czy możemy wrócić do sedna sprawy?

- Pewnie. Ale chodźmy dalej, dobrze? Wolałbym zrobić zakupy, zanim zacznie się huragan.

Poszli dalej bulwarem, do supermarketu. Wiatr dmuchał im w plecy, jakby poganiał.

- To jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? - spytała Tess.

- Święto Dziękczynienia jest za pięć dni, tak?

- Tak. I co z tego?

- Moim zdaniem zorganizowali to tak, żebyśmy przyjechali do domu na święto.

Odwróciła głowę. Patrzyła na ołowiane chmury, na chodnik pod stopami.

- Naprawdę tak myślisz? - Wykrztusiła w końcu.
- A co, masz inny pomysł?
- Nie uważasz, że to trochę za dużo zachodu, żeby ściągnąć nas do domu na Święto Dziękczynienia? Wystarczyło zadzwonić i powiedzieć, że nam nie wybaczą, jeśli nie przyjedziemy, prawda?

- Może.

- Żadne „może” - warknęła. - Ja przyjechałabym na pewno.

- Jasne. Tak samo jak przez ostatnie trzy lata.

- To nie to samo. Nie nalegali, tylko pytali, czy przyjadę.

- Och, Tess, kiedy rodzice zadają takie pytanie, to co innego, niż kiedy znajomi dopytują się, jakie masz plany na weekend.

Łypnęła na niego gniewnie.

- Czy ty się kiedykolwiek mylisz?

- Czasami.

- Zrobisz coś dla mnie?

- Pewnie.

- Powiedz, kiedy ci się to znowu zdarzy. Zaznaczę to sobie w kalendarzu.

- O, cios poniżej pasa - stwierdził, ale w jego oczach dostrzegła isierki rozbawienia. - Czy będziemy się bić tutaj, na środku ulicy, w biały dzień?

- Nie dam ci tej satysfakcji.

Jack przestał się droczyć i wrócił do głównego problemu. - Jestem przekonany, że Święto Dziękczynienia ma coś wspólnego z całym tym zamieszaniem.

- Cóż, zobaczymy w czwartek, prawda? Jeśli nie wyskoczą z szafy jak diabeł z pudełka, mamy problem. A tymczasem postaram się nie myśleć, że coś mogło się im stać.

- Znowu wyciągasz pochopne wnioski?

- Co to ma znaczyć?

Westchnął.

- Tess, wyciągasz wnioski pochopnie, jak dziecko. Nawet jeśli podejrzewam, że to ich pomysł, nie przestanę ich szukać.

- Aha. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego wietrzysz spisek.

Doszli do sklepu. Jack się zatrzymał, więc Tess zrobiła to samo. Oszklone drzwi rozsunęły się z cichym szumem.

- Brigitte.

Wszedł do środka. Tess, chcąc nie chcąc, podążyła za nim. Nie chciała tego przyznać, ale niewykluczone, że Jack ma rację.

- To proste, Mała - wyjaśnił, kiedy go dogoniła. - Kiedy Brigitte macza w czymś palce, wszelkie rachuby idą do kosza.

- Zwolnij, dobrze? - poprosiła.

- Spraw sobie dłuższe nogi. - Ale kiedy wziął wózek, zwolnił, żeby nie musiała go truchtem.

- I nie mów do mnie „Mała”.

- Muszę. Dzięki temu zachowuję emocjonalny dystans - odparł poważnie.

Co chciał przez to powiedzieć? Bała się pytać. Jeśli chodzi o Jacka, pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. A do nich należy to, co naprawdę o niej myśli.

Pomagała mu pakować do wózka zapasy nie psującej się żywności na pięć dni. Nie mieli dużego wyboru, bo na półkach zostało niewiele.

Kiedy skończyli, okazało się, że nie doniosą wszystkiego do domu.

- Weźmiemy wózek - zdecydował Jack. - Potem go odprowadzę.

- To kradzież!

- Tutaj ludzie są innego zdania.

- Niemożliwe!

- Ależ tak, skarbie. Tutaj mieszka tyle starszych osób, które postępują właśnie w ten sposób, że przy niektórych osiedlach są punkty, gdzie można zostawiać wózki.

Nie uwierzyła.

- Żartujesz, prawda?

- Słowo honoru. Pokażę ci, jeśli chcesz. Pracownicy sklepu zbierają je co kilka dni. Uwierz mi, nie będą mieli nic przeciwko temu, pod warunkiem że go odprowadzę.

I tak Tess wędrowała główną ulicą, w biały dzień, i pchała wózek sklepowy. Wprost nie mogła w to uwierzyć. Ona, pracownica urzędu podatkowego, właśnie popełniła kradzież, a przynajmniej tak to wyglądało.

Jednak nikt ich nie aresztował.

- Widzisz? - W głosie Jacka była tylko szczypta złośliwości. - Gromy nie padały z jasnego nieba, nikt nie będzie cię ścigał listem gończym.

- Wcale o tym nie myślałam.

- Nie? No popatrz, mógłbym przysiąc, że masz wypisane „kara śmierci” na czole.

- Daj spokój, Jack.

- Wiesz co? Mam propozycję: rozpakuj zakupy, a ja uspokoję twoje sumienie i zwrócę wózek. Przy okazji zerknij na prognozę pogody. Może chociaż tam, dla odmiany, czekają dobre wieści.

Tess posłusznie włączyła telewizor w kuchni. Niestety, wiadomości były złe. Huragan Gaspar przybierał na sile i niewykluczone, że zanim dotrze do lądu, osiągnie kategorię dwa. Informację tę przekazała sympatycznym głosem sympatyczna spikerka o sympatycznym uśmiechu. Dodała także, że poziom wody podniesie się bardziej, niż początkowo przypuszczano.

Myśli Tess wciąż jednak krążyły wokół rodziców. Wersja Jacka wydawała się całkiem prawdopodobna. Brigitte nie cofnie się przed niczym, żeby osiągnąć cel. Steve jest zupełnie inny, spokojny i opanowany. Lecz nawet Steve dawał się czasami wciągnąć w jakąś szaloną historię.

Tess nadal rozmyślała o matce, gdy wrócił Jack.

- I jaka prognoza?

- Coraz gorzej. Możliwe, że kategoria dwa.

- Chcesz wyjechać? Jeśli tak, zaraz wyruszymy.

Kilka godzin wcześniej zapewne ochoczo przystałaby na taką propozycję.

Teraz jednak nie chciała wyjeżdżać. Za bardzo przypominałoby to ucieczkę.

- Nie, dzięki. Przeczekam tutaj.

- Ja też. - Nieoczekiwanie poklepał ją po ramieniu. - Ale ostrzegam cię, Mała. Powoli się wkurzam. A kiedy jestem wkurzony, nie zawsze nad sobą panuję.

Podniosła na niego wzrok. Dziwne, że do tej pory nie zauważyła, ile otuchy niosą jego duże dłonie.

- Co cię wkurza?

- Oni. Szanowni rodziciele. Którzy według mnie zaplanowali to, żeby dać nam nauczkę.

Westchnęła.

- Sama nie wiem, Jack. To chyba zbyt radykalne, nie uważasz? Ale z drugiej strony... Cóż, może i zaplanowali, ale na pewno nie planowali huraganu. Będą mieli za swoje!

Uśmiechnął się.

- Masz rację, ślicznotko. Wyobrażam ich sobie, jak siedzą na tropikalnej wyspie i zastanawiają się, czy jeszcze tu siedzimy, czy już wyjechaliśmy.

- Taak. - Spróbowała wyobrazić sobie Steve'a i Brigitte na plaży, jak sączą egzotyczne owocowe drinki i rozmawiają o dzieciach i huraganie.

- Chodź, uszczelnimy wanny - zaproponował.

- Najpierw je umyję.

Wanny były i bez tego nieskazitelnie czyste. Mimo to Tess wyszorowała je środkiem bakteriobójczym i wypłukała starannie. Potem Jack zabrał się za uszczelnianie.

Patrzyła, jak pochyła się nad wanną. Miało to zaskakujący wpływ na jej libido. Nie mogła nie zauważyć, że od tyłu Jack wygląda bardzo atrakcyjnie. Speszona swoją reakcją, szybko odwróciła wzrok, by po chwili zerknąć jeszcze raz.

I napotkać wzrok Jacka w lustrze. Uśmiechnął się znacząco. Już to było okropne, ale jeszcze dodał:

- Podoba ci się, co?

Miała ochotę go udusić gołymi rękami, ale tylko cisnęła ręcznikiem i wybiegła z łazienki. Na korytarzu słyszała jego śmiech.

Najchętniej wyjechałaby w tej chwili. Niestety, nadciąga huragan, a nie uśmiecha się jej kilka godzin w taksówce, w sznurze samochodów, w bałaganie, jak zwykle podczas ewakuacji. Zresztą, teraz już na pewno zamknęli lotnisko.

Więc musi tu zostać. Z Jackiem. Z Jackiem, którego serdecznie nie znosi, od pierwszej chwili, gdy zapytał, skąd wzięła takie durne imię: Tess. Z Jackiem, który był przekleństwem jej życia, ledwie znalazł się trzy metry od niej.

Co robić? Ostatnią dobę przetrwali jak ludzie w miarę cywilizowani, ale wątpiła, czy powtórzą ten sukces.

Cóż, będzie siedziała w swoim pokoju. Jeśli będzie trzeba, zabarykaduje się.

Okna zasłonięte deskami nie przepuszczały światła dziennego i w domu było ciemno. Nie wiadomo dlaczego światło lamp, które wieczorem rozjaśniało mrok, teraz zdawało się mdłe. Może dlatego, że jej wewnętrzny zegar wiedział, że nadal jest dzień.

Nagle poczuła, że musi zobaczyć dzienne światło, choćby przez chmury. Wyszła na dwór. Odetchnęła z ulgą, patrząc na obłoki pędzące po niebie.

Wiatr smagał ją silnymi podmuchami. Obeszła dom dookoła, żeby spojrzeć na morze. Patrzyła na szeroką pustą plażę i białe grzywy fal na Zatoce Meksykańskiej. W nocy poziom wody się podniesie. Plaża zniknie, fale będą waliły w urwisko.

Wiatr i morze były tak głośne, że nie słyszała, jak ktoś nadchodzi. Przestraszyła się, czując dłoń na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła Jacka.

- Przepraszam - podniósł głos, żeby go słyszała. - Nie chciałem cię przestraszyć. Ani wypłoszyć z domu.

- Miałam przyływ klaustrofobii.

- Mam tę właściwość, że przy mnie nawet duże pomieszczenia wydają się małe.

Nie wiedziała, śmiać się czy odpowiedzieć wyniośle. Zdecydowała się na to drugie, bo uznała, że tak będzie bezpieczniej.

- No tak, twoje ego nie zostawia miejsca dla zwykłych śmiertelników.

- Dobrze, że wiesz, gdzie twoje miejsce.

Nie wytrzymała. Roześmiała się.

- Chodź, Mała, schowaj się. Nie chcę się tłumaczyć przed Steve'em i Brigitte, że wiatr cię porwał, bo mam za duże ego. Brigitte może mi wybaczyć, ale ojciec? Nigdy.

- Na pewno tak. Jesteś jego oczkiem w głowie.

- Nie. Faworyzuje ciebie.

Coś w jego głosie kazało jej sądzić, że to nie jest tylko żart. Chciała go o to zapytać, ale nie wiedziała jak, nie po tylu latach antypatii, jak to powiedział. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że dla Jacka związek ich rodziców mógł być równie trudny do zaakceptowania jak dla niej.

Od początku założyła, że to co innego, bo jego matka umarła przed laty, a jej rodzice się rozwiedli i wciąż się łudziła, że jeszcze do siebie wrócą. Ślub Steve'a i Brigitte położył kres tym złudzeniom. Jack nie miał tego problemu.

Niechętnie poszła za nim do domu. Wiatr przybierał na sile. Lada chwila będzie naprawdę groźny.

- Co z rodzicami, Jack? - zapytała. - Co zrobimy?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Rozegramy to po ich myśli i zobaczymy, co będzie dalej. Jeśli coś zaplanowali, prawda wkrótce wyjdzie na jaw. Jeśli naprawdę zaginęli... Cóż, w tej chwili nic nie możemy zrobić.

- Więc co? Będziemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż huragan przejdzie?

- Właściwie - zaproponował z szatańskim uśmiechem - moglibyśmy zagrać w pokera. Rozbieranego.

Rozdział 7

Jej odpowiedź stłumiły zamknięte drzwi sypialni.

- Akurat!

Jack stał pod drzwiami i zastanawiał się, co takiego zrobił, że los pokarał go taką upartą, pruderyjną i wkurzającą siostrą przyrodnią. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin poczuł do niej odrobinę sympatii, zdołał sobie wmówić, że właściwie nie jest taka zła. A teraz jeden głupi żart i zabarykadowała się w sypialni.

- Jesteś wariatką, wiesz? - wrzasnął.

- Wariatką, bo uwierzyłam, że potrafisz się zachowywać jak człowiek cywilizowany!

- A jak, twoim zdaniem wygląda człowiek cywilizowany? Nosi kaganiec?

- Jeśli jest wściekły, tak!

Jezu! Zamknął oczy i starał się zrozumieć, co on tu właściwie robi. Co go obchodzi, czy Tess zostanie w swoim pokoju do końca świata? Czy naprawdę mu zależy, by najbliższe kilka godzin spędzić w towarzystwie jej ostrego języka? Może powinien odejść i zostawić ją? Niech się kisi we własnym sosie!

Nie, bo... Bo miał wyrzuty sumienia - źle ją traktował przez minione lata. Bo jeśli jego teoria jest słuszna, rodzice będą głęboko rozczarowani, jeśli on i Tess nie dojdą do porozumienia w ciągu najbliższych dni.

- Tess?

- Idź sobie!

- Nie mogę. Na dworze szaleje huragan.

- Więc leć!

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie musisz ukrywać się w sypialni. Szczerze mówiąc, moja droga, nie zagrałbym z tobą w rozbieranego pokera nawet gdybyś była ostatnią kobietą na ziemi.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- A ja nie zagrałabym z tobą, choćbyś był ostatnim mężczyzną! - rzuciła mu w twarz.

- Powiedzmy, że nie mogę pozbierać się z rozpaczy. - Wzruszył ramionami na znak, że nic go to nie obchodzi i oddalił się w stronę salonu. Osiągnął cel - Tess wyszła z sypialni.

Najlepiej, gdyby na tym się skończyło, ale oczywiście to zbyt wiele szczęścia. Poszła za nim.

- Jesteś niemożliwy - poinformowała go.

- Nie, tylko nieprawdopodobny. Niemożliwe nie istnieje.

- W takim razie jesteś wyjątkiem.

- O, to z pewnością. - Choć wcale tego nie chciał, doskonale się bawił podczas tych słownych potyczek. - Wiele osób mi mówi, że jestem wyjątkowy.

- Nietrudno mi w to uwierzyć. Pracujesz nad tą bezczelnością czy to wrodzone?

- Wrodzone. Jak oddychanie. - Z trudem powstrzymywał śmiech. Widziała to i złościła się jeszcze bardziej, co z kolei tylko pogłębiało jego rozbawienie. - Daj spokój, Tess. Zawsze jesteś taka trzeźwa i drażliwa?

- Drażliwa? - To słowo nie chciało jej przejść przez gardło. - Przecież zrobiłeś mi niemoralną propozycję.

- Niemoralną? Żartowałem, na rany boskie. Kiedy amputowano ci poczucie humoru?

- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy doszłam do wniosku, że mężczyźni nie mają prawa zwracać się do mnie w ten sposób.

- W jaki sposób? Wzięła się pod boki.

- Nie rozumiesz, ty zboreźniku? Jesteśmy tu sami!

- I co z tego?

Wtedy zrozumiał. Parsknął śmiechem.

- Co w tym takiego zabawnego? - dopytywała się.

Nie od razu odpowiedział, bo ciągle się śmiał. Myślał, że Tess wybiegnie i znowu zamknie się w sypialni, ale się przeliczył. Najwyraźniej szybko się uczyła.

- Więc? - powtórzyła, coraz bardziej zdenerwowana. - Co cię tak bawi?

- Ty - odparł. - Twoje podejście. Jezu, Tess, urodziłaś się o sto lat za późno.

Poczerwieniała.

- Zapewniam cię, że nie.

- Nie? - Uśmiechnął się szeroko. Starał się ugryźć w język, ale doprowadzała go do szału samą obecnością. - Więc o co chodzi? Obawiasz się, że cię nie wykorzystam?

Głośno wciągnęła powietrze. Rumieniec wędrował ku linii włosów.

- Nie wiedziałem, że można się aż tak zaczerwienić - zauważył. - Uspokój się, Tess. Żartowałem. Tylko nie dostań wylewu, dobrze?

- Ty bezczelny, niepoprawny, bezużyteczny... - Zabrakło jej obelg.

- Święta racja. - Kiwał głową. - Ale przysięgam, nie wiem dlaczego nie mogę przestać się z tobą drażnić.

Ku jego uldze policzki Tess stopniowo przybierały normalny kolor.

- Takie żarty - wyjaśniła wyniośle - to akceptowany społecznie wyraz wrogości.

- Naprawdę? - Nie przypadło mu to do gustu. - Tylko wrogości? Bo tak naprawdę nie jestem do ciebie wrogo nastawiony. Czasami mam wrażenie, że wyzywasz mnie na pojedynek, ale nie chcę ci niczego amputować ani nawet cię kneblować.

- Na pojedynek?

- Oczywiście w przenośni. Ale naprawdę, Tess, nie czuję do ciebie wrogości. Więc nie dlatego się z tobą drażnię.

- Nie czujesz? - Nie dowierzała mu.

- Ani trochę. Ale uwielbiam się z tobą drażnić. Jesteś pewna, że to nie oznacza czegoś innego?

Odpręża się, zauważył. Pozwala, by opadł gniew, a to już dobrze.

- Może także oznaczać napięcie - powiedziała w końcu. - I stres.

- To bardziej do nas pasuje, żyjemy w ciągłym napięciu i stresie, jeśli musimy razem przebywać. Wiesz co? Nie jedliśmy nic od rana, a to zdecydowanie pogarsza humor. Przygotuję kolację, póki mamy prąd i bieżącą wodę. Ty tymczasem napełnisz wanny wodą. Co ty na to?

- Dobrze.

- Dzięki. Idę do kuchni.

Tess ze wstydem przyznała, że przesadziła. Napełnianie wodą trzech wanien dało jej aż za dużo czasu. Mogła gruntownie przemyśleć swoje zachowanie. Niestety.

Przesadnie zareagowała na uwagę Jacka, że mogą zagrać w pokera rozbieranego. Takie rzeczy proponuje się albo kochance, albo po pijaku, a Jack był trzeźwy. Niesmaczny dowcip, tak, ale nie karygodny postępek, a przecież tak zareagowała.

Siedząc na zamkniętym sedesie, starała się zwalczyć uczucie upokorzenia.

Dlaczego Jack zawsze tak na nią działa? Gdyby zaproponował jej coś takiego ktokolwiek inny, odpowiedziałaby dowcipnie, a nie oburzyła się jak urażona dziewczyna. A przecież nie jest sztywną pruderyjną nudziarą, za jaką Jack ją uważa. Jest tylko... opanowana. Musi być, zważywszy na swój zawód. Kontroler podatkowy, który traci panowanie nad sobą, nie zagrzałby długo miejsca w pracy. Nieraz obrzucano ją wyzwiskami, przy których zarumieniłyby się żołnierz piechoty morskiej. Ledwie jednak znalazła się w pobliżu Jacka, jej opanowanie ulatniało się bez śladu. Ba, zachowywała się jak rozpuszczony bachor, to ją denerwowało i zachowywała się jeszcze gorzej. Błędne koło.

Nie wiedziała, jak się z tego wyrwać. Właściwie przez ostatnie lata rzadko widywała Jacka. Niedługo po ślubie rodziców skończył studia i przepadł. Pojawiał się tylko na święta.

A za każdym razem, gdy sobie przysięgała, że będzie dla niego miłsza, kiedy znowu się pojawi, zachowywała się tak samo jak poprzednio.

Wanna była pełna. Zakręciła kurek i poszła do drugiej łazienki. Oparta o toaletkę, patrzyła, jak wanna napelnia się stopniowo. Przy Jacku gardzi sobą, bo denerwuje jajej zachowanie. I żadne postanowienia tu nie pomogą, bo sam jego widok załazi jej za skórę.

I jeszcze śmiał zasugerować, że ona oczekuje jego erotycznych awansów. Ha! Nie w tym życiu! Oczywiście, powiedział to tylko po to, żeby ją zdenerwować. Wcale nie mówił poważnie. A może? Nie! Drażnił się z nią tylko, jak zwykle.

Jack niemal uporał się z kolacją, zanim napelniła wszystkie trzy wanny. Poprosił, żeby nakryła do stołu. Zgodziła się chętnie.

Usiedli do kanapek i klopsów, dań nie figurujących w menu Tess. Po jednym kęsie zastanawiała się, dlaczego.

- Pyszne! Jakim cudem zrobiłeś je tak szybko?

Uśmiechnął się.

- Mrożone klopsy, sos do spaghetti ze słoika i ser. Żadna sztuka.

- Mrożone klopsy? To dobra nowina. Nigdy nie wiedziałam, jak się je robi.

- Tego nie wie nikt.

- Mama tak.

Jack przecząco pokręcił głową i oznajmił z komicznie smutną miną:

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, droga Tess... - Położył rękę na sercu. - Pewnie pozbawiam cię złudzeń, ale Brigitte podaje gotowe klopsy. Właśnie takie. Wyjąłem je z zamrażarki.

- Naprawdę? Nigdy mi nie powiedziała.

- Pewnie. Czemu miałyby zdradzać sekrety? - Lekko przechylił głowę. - Wiesz, teraz przyszło mi do głowy, że

powinniśmy dokładniej przyjrzeć się zamrażarce. Bóg jeden wie, co jeszcze tam znajdziemy.

Roześmiała się.

- Albo wczorajszy sos. Zawsze go podaje, a to zwykły sos ze słoika.

- Ależ ona świetnie gotuje!

- Czyja twierdzę, że nie? Moim zdaniem dowody rzeczowe są na stole, nieważne, skąd pochodzą, z puszki, słoika czy ogródka za domem.

- Bardzo pragmatyczne podejście.

- Pragmatyczne? - Zmarszczył brwi. - Czy to obelga?

Żartuje sobie z niej; tym razem dostrzegła błysk w jego ciemnych oczach.

- Nie. Komplement.

- Och, Mała, współczuję ci, jeśli uważasz pragmatyzm za pozytywną cechę.

- Jestem dumna z tego, że jestem pragmatyczna.

- Beznadziejny przypadek, co?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Silny podmuch wiatru uderzył w dom z taką siłą, że zatrzęszczały deski w oknach. Na dachu bębnił deszcz.

- Gaspar przyszedł - oznajmił Jack, patrząc na sufit. - Chodź, zobaczymy, co mówią w telewizji.

Wyciągnął rękę do telewizora, gdy rozległo się walenie w drzwi.

- Nie mów, że nas ewakuują - mruknął. - Za słabo wieje.

Tess podążyła za nim. Nie chciała, by coś ją ominęło, zwłaszcza że mogło to mieć związek z przetrwaniem.

Na progu stał pulchny mężczyzna po sześćdziesiątce. W zębach ścisnął fajkę, równie przemoczoną jak on. Miał na sobie jaskrawą, całkiem mokrą koszulę w hawajskie wzory, szorty, czarne skarpetki i sandały.

- Przepraszam bardzo - odezwał się, wyjmując fajkę z ust.

- Hadley Philpott. Profesor Hadley Philpott. Przysłała mnie Mary Todd.

Jack i Tess wymienili spojrzenia.

- Podczas huraganu? - zapytał Jack. Philpott westchnął.
- Nie zna pan Mary. Wiadomo coś o rodzicach?
- Proszę wejść. - Tess złapała go za ramię i wciągnęła do domu. -Może napije się pan kawy?
- Szczerze mówiąc, bardziej zależałoby mi na ręczniku. A filiżanka gorącej kawy lub herbaty to już szczyt marzeń.
- Pójdę po ręcznik. - Jack zniknął w głębi korytarza.

Tess wprowadziła Hadleya Philpotta do salonu, zanim jednak poszła po kawę, zapytała:

- Czy miał pan jakieś wieści od naszych rodziców?
- Niestety nie. Mówię to z przykrością. Nadzieja, która narastała w niej, od kiedy powiedział, że przysłała go Mary , zawaliła się z hukiem. Niewykluczone, że wie coś, co zdaniem Mary jest ważne, ale po wcześniejszej rozmowie ze starszą panią Tess nie była już niczego pewna.

Nalała gorącej kawy z ekspresu, ustawiła na tacy cukiernicę i dzbanek śmietanki i zaniósła wszystko do salonu. Tymczasem Jack wrócił z ręcznikiem i Hadley Philpott z zapalem straszyl na głowie resztki włosów.

- Głupiec ze mnie, że wyszedłem bez parasola - stwierdził Philpott. - W takiej sytuacji aż się prosi, by użyć tego okropnego określenia, które dzisiaj jest na ustach wszystkich: frajer.

Jack zachichotał, nawet Tess się uśmiechnęła. Postawiła tacę na stoliku.

- Proszę bardzo, profesorze. Może kawy?
- Dziękuję, moja droga.
- Pyszna - stwierdził, gdy już posłodził kawę. - Najlepsza mieszanka z Kostaryki.
- Nie do wiary - zdziwił się Jack. - Brigitte trzymają w słoiku bez żadnych naklejek.
- Muszę zapytać, gdzie ją kupuje. Pyszna.
- Dobrze ją pan zna? -zapytała Tess.
- Znam. - Philpott zaszczycił ją uśmiechem. - Mary to moja stara przyjaciółka, a ona zna wszystkich w Paradise City.

Jeśli się spędza z Mary wystarczająco dużo czasu, prędzej czy później poznaje się także jej znajomych.

- Poznał pan Steve'a i Brigitte przez Mary?
- Można tak powiedzieć.

Tess niecierpliwiła się coraz bardziej. Spojrzała na Jacka. Jego ta cała sytuacja chyba bawiła.

Ponownie skupiła się na Philpocie.

- Mówi pan, że Mary go do nas przysłała? Z wiadomością o rodzicach?

- Och, tak. Podobno obawiacie się, że zostali porwani?

- Przyszło nam to do głowy - przyznał Jack. - Jeśli pan woli, powiedzmy, że... zniknęli.

- Ale skąd wam to przyszło do głowy?

Więc Tess i Jack wytłumaczyli wszystko jeszcze raz.

- Cóż - stwierdził Hadley Philpott. - Rozumiem, czemu wyciągacie pochopne wnioski. Skoro zawsze informowali was, dokąd i na jak długo wyjeżdżają...

- Zawsze - potwierdziła Tess.

Skinął głową.

- Ale czy na pewno zawsze?

- Tak.

- A właściwie skąd ma pani tę pewność? Może zdarzało się już, że rodzice wyjeżdżali, nic nikomu nie mówiąc, tylko wy nigdy się o tym nie dowiedzieliście?

Tess już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili spojrzała na Jacka. Wzruszył ramionami.

- Nie twierdzą, że się mylicie - ciągnął Hadley Philpott. - Musicie mi wybaczyć. Wykładałem filozofię i do dziś staram się rozważać wszelkie alternatywy.

- Dlaczego Mary pana do nas przysłała? - dziwił się Jack. - Dowiedziała się czegoś?

- Nie, nie sędzę.

Jack westchnął. Nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia.

- Profesorze, jesteśmy zaszczytzeni pana wizytą, ale jest chyba jakiś powód, dla którego Mary wysłała pana do nas w środku huraganu, w ulewnym deszczu?

- Oczywiście, jest powód.
- Czy mógłby pan nam go zdradzić?
- Przecież po to tu przyszedłem, czyż nie?
- Też się nam tak wydaje.

Philpott skinął głową.

- Mary uznała, że powinniście wiedzieć, co Brigitte powiedziała mi przed paroma tygodniami. Moim zdaniem nie jest to istotne, ale Mary się uparła. - Westchnął. - Czasami ta kobieta jest nie do zniesienia. Ale tylko czasami.

Tess była o krok od tego, żeby zerwać się z krzesła, do diabła z dobrym wychowaniem, i zażądać, by zdradził, co wie. Nie zdążyła jednak, przeszkodziło jej walenie w drzwi.

- Przepraszam bardzo. - Jack wstał z fotela. - Pójdę sprawdzić, kto się do nas dobija.

- Rzeczywiście, dosyć energicznie, prawda? - Philpott napił się kawy. - Chyba ten ktoś jest nieco zdenerwowany.

- Może nas ewakuują.

- Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby do tego doszło. Nie spodziewają się wysokiego poziomu wody. Jak na razie ewakuacja jest dobrowolna. - Odstawił filiżankę.

Tess przerwała milczenie.

- Zawsze mi się wydawało, że przed nadejściem huraganu ewakuuje się wszystkich.

- To zależy od siły huraganu. Poza tym, główne uderzenie pójdzie na południe od nas, więc chyba nie mamy się czego obawiać.

Z holu dochodziły głosy dorosłych i płacz dziecka. Ciekawość wzięła górę. Przeprosiła Philpotta i wymknęła się do holu. A tam zastała Jacka, Ernesta i młodą ciemnowłosą kobietę z dzieckiem na ręku.

- Mówię ci, człowieku - tłumaczył Ernesto. - Nie mamy dokąd pójść. Mosty są zamknięte, nie możemy się stąd wydostać. Skąd miałem wiedzieć, że wyrzucą nas z motelu?

- A inne motele? - zapytał Jack.

- Nie przyjmują nikogo. Dzwoniłem do wszystkich, co do jednego. Więc co mam robić? Siedzieć z dzieckiem na ulicy?

- Nie mieści mi się to w głowie - mruknął Jack.

- Mnie też nie - przyznał Ernesto. - Kurczę, tu nawet nie ma schronu!

- Schrony są na łądzie. - Jack zerknął na Tess.

- Przecież mogą zostać tutaj - powiedziała. Miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać niepewności. W końcu to nie jej dom. Choć była pewna, że Steve i Brigitte postąpiliby tak samo, nie podobało jej się, że podejmuje taką decyzję bez ich wiedzy.

Przekonał ją wygląd nowo przybyłych. O ile na Ernesta nie zwracała uwagi, inaczej miała się sprawa z kobietą i dzieckiem. W ciemnych oczach kobiety widziała strach. Była bardzo drobna, dziecko wydawało się zdumiewająco duże w porównaniu z nią, choć miało najwyżej pół roku.

- Gdzie ich umieścimy? - zapytał Jack.

- W mojej sypialni.

- A ty?

- Prześpię się na kanapie.

- Akurat. - Westchnął głośno. - Jezu, kto by pomyślał, że oddam łóżko człowiekowi, którego wsadziłem za kratki. Chodź, Ernesto. Przenocujecie w mojej sypialni.

Tess odprowadzała ich wzrokiem. W jej głowie kłębiły się pytania. Człowiek, którego wsadziłem za kratki? Nie do wiary. Gdyby był policjantem, nie ukrywałby tego.

Może jest informatorem?

Boże, kogo ona zaprosiła pod dach rodziców?

Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Przecież nie zostawiłaby nikogo na pastwę huraganu. Mimo wszystko jednak...

Informator? Poczula  lowiany cięzar w żołądku. Nie tak chciała myśleć o Jacku. Nie jest chyba szpiclem, który węszy za plecami innych, ściąga na nich kłopoty. Jak szkolny donosiciel. Zapewne informatorzy odgrywają ważną rolę w pracy policji, a ludzie, którzy dostarczają informacji to nie to samo co szkolni donosiciele, ale...

To takie nieładne. Podstępne. Nie tak chciała myśleć o Jacku. To głupie, przecież w ogóle nie chce myśleć o Jacku, tak czy siak. Po kilku minutach pojawił się w holu ze swoją walizką.

- Dlaczego wyrzucono ich z motelu? - zapytała.

- Zatrzymali się w taniej budzie przy samej plaży. Zalewa ją przy każdej burzy.

- Mary walczy o zamknięcie tych moteli - odezwał się Hadley Philpott od progu.

Tess podskoczyła.

- Och! Przepraszam! Zupełnie zapomniałam, że pan tu jest.

- Ja też - przyznał Jack. - Przepraszamy.

- Nie ma sprawy. - Philpott wsunął fajkę między zęby. -

Nie ma powodu do pośpiechu, jako że wszystko wskazuje na to, że i ja zostanę tu na noc.

- Pan? - Tess spojrzała na niego tępo.

- Niech pani tylko wyjrzy na dwór.

Jack przekręcił klamkę w drzwiach wejściowych. Podmuch wiatru niemal go przewrócił. Ułamany palmowy liść wleciał do środka.

Z trudem zamknął drzwi. Szybko opuścił dwie zasuwę. Wyprostował się, odgarnął włosy z czoła i zwrócił się do Philpotta:

- Ma pan rację. Wszyscy zostajemy tu na noc.

Rozdział 8

Wtedy zgasły światła. Jack nadal stał na progu, profesor Philpott przy W drzwiach do salonu, a Tess... a Tess była nie wiadomo gdzie. Nie cierpiała ciemności. Dostała gęziej skórki. Wydawało jej się, że czuje macki potworów czających się w mroku.

- Jack? - Jej głos zdradzał więcej, niżby chciała. - Jack?

- Tu jestem, skarbie. - Czyjaś ręka dotknęła jej barku.

Drgnęła. - To tylko ja, Tess.

Odwróciła się ku niemu po omacku i trafiła na jego pierś, twardą jak skała. Po chwili otoczyły ją jego ramiona. Przyciągnął ją do siebie.

Na dworze szalał huragan. Nie był to pierwszy huragan w jej życiu, ale zapomniała już, że wiatr wyje jak dzika bestia, zdaje się drapać pazurami w dom, szarpie okiennicami, chce zerwać dach.

- Wiesz - szepnął jej Jack do ucha. - Mógłbym cię tak długo trzymać.

Przeszył ją zaskakująco przyjemny dreszcz, a huragan nagle zszedł na drugi plan.

- Jednak byłoby lepiej - Jack bezlitośnie zniszczył nastrój – gdybym znalazł jakąś latarkę.

Cofnęła się o krok i oznajmiła chłodno, oficjalnie:

- Ależ oczywiście.

- Królowa śniegu - mruknął na tyle cicho, że usłyszała go tylko ona.

Rozważała, czy nie nadepnąć mu z całej siły na nogę, ale porzuciła ten pomysł, bo po ciemku trudno byłoby trafić. Hadley Philpott odchrząknął.

- Cóż, rzeczywiście, światło bardzo by się przydało. W końcu korytarza otworzyły się drzwi.

- Ej! - wrzasnął Ernesto. - Macie tam latarkę?

- Chwilę! – odkrzyknął Jack.

- Pospiesz się, człowieku. Strasznie tu ciemno.
- Mam go zabić teraz czy później? - Jack zastanawiał się na głos.

- Och, zdecydowanie później - poradził Philpott. - Przecież chce pan mieć pewność, że satysfakcja z dokonania zabójstwa będzie warta konsekwencji. A to wymaga namysłu.

- Jeśli będę się namyślał, popełnię morderstwo z zimną krwią - stwierdził Jack. - A jakoś nie widzę siebie jako wyrachowanego zabójcy.

- Otóż to! - wykrzyknął Philpott jak nauczyciel zadowolony z wypowiedzi ucznia.

- Ej, szybciej z tym światłem, dobra? - odezwał się Ernesto. Dziecko zaczęło płakać.

Jack zaklął. Jego głos dochodził z daleka i Tess domyśliła się, że wyruszył na poszukiwanie światła.

Znowu była sama w ciemności. Nie pamiętała, by kiedykolwiek znalazła się w takim mroku. Znikąd nie dochodził nawet najmniejszy promyk światła, nie było gwiazd, nie było księżyca, ulicznych latarni, nawet czerwonego czy zielonego poblasku od budzika. Nic.

Powróciła gęsia skórka. Miała wrażenie, że leci w dół.

Rozległ się głuchy łomot i soczyste przekleństwo, gdy Jack na coś wpadł. Dziecko krzyczało coraz głośniejszym, przeraźliwym wysokim piskiem.

- Cholera - burknął Ernesto. - Gdzie światło?

- Powoli - odparł Jack. - Próbuję znaleźć latarkę i nie zabić się przy tym.

- Cierpliwość to cecha godna podziwu - stwierdził Philpott.

- Szkoda, że mam jej tak mało - syknęła Tess kwaśno. - Więc po co Mary pana do nas przysłała?

- Mary? Ach, tak... - Urwał, gdy Jack zaklął ponownie, ale potem Tess słyszała, jak otworzył drzwi do kuchni. Latarki były w spiżarni. Dopiero teraz dotarło do niej, że nie jest to najlepszy schowek.

- Profesorze? Co miał pan mi powiedzieć?
- O czym?
- O rodzicach!
- Ach. A niby czemu miałbym mieć pani coś do powiedzenia o jej rodzicach?

- Przecież po to pan tu przyszedł. Podobno Mary pana przysłała, bo pan coś wie.

- Ach, tak. Tylko widzi pani, ja właściwie nic nie wiem.

- Nie?

- Nie. Tess zastanawiała się poważnie, czy aby nie umknęło jej coś ważnego, bo na razie nic z tego nie rozumiała.

Potężny podmuch wiatru uderzył w dom. Wydawało się, że budynek zadrżał w posadach. Oczywiście wiedziała, że to niemożliwe, przecież dom zbudowano z cegieł. Ale jeśli to dach... Instynktownie spojrzała w górę i uświadomiła sobie, że niczego nie zobaczy. Jeśli wiatr zerwie dach, zorientuje się po deszczu i gradzie odłamków.

- Więc co takiego, czego pan nie wie, ma mi pan powiedzieć? - zapytała.

- Ach, tak. Przepraszam, ale ciągle wdaję się w dygresje. To skutek nadmiernej samotności, moja droga. Przywykłem, że wędruję myślami i nie zwracam uwagi na innych. Muszę zacząć się kontrolować.

Tess zaraz pęknie z niecierpliwości. Albo ze złości na ten swój irracjonalny strach przed ciemnością. Odezwała się ostro:

- Czy może mi pan to w końcu powiedzieć?

- Co takiego, moja droga?

Zabije go. Naprawdę, zaraz przebiegnie ciemny hol, zaciśnie mu ręce na gardle aż... Przerażona, odepchnęła tę wizję od siebie. Nie, co też jej chodzi pogłowie!

- O Stevie i Brigitte - wyjaśniła.

- A dokładnie? Ach, tak. Tak! Przepraszam, znowu się zamyśliłem. Pomyślałem, jak bardzo pani głos przypomina mi moją drogą żonę nieboszczkę.

Tess była ciekawa, czy żona nieboszczka miała kiedyś ochotę zamordować małżonka. Bardzo prawdopodobne. Podobieństwo między nimi polega chyba na nucie irytacji w głosie.

- Więc Steve i Brigitte - kontynuował. - Znam ich. Poznałem ich u Mary.

- Tak, już pan to mówił.

Ernesto znowu wydarł się, żądając światła. Tess miała tego dosyć.

- Zamknij się, Ernesto. Czekaj cierpliwie, to dostaniesz latarkę.

Nieoczekiwanie do rozmowy włączył się Jack.

- W sumie byłoby lepiej, gdyby w latarkach były też baterie.

- A lampy naftowe?

- Bez latarki nie znajdę zapalek. Tess, pamiętasz, gdzie trzymają baterie?

Musiała się zastanowić.

- Zdaje mi się, że w lewej szufladzie w kredensie w kuchni. Przynajmniej kiedyś je tam widziałam.

- Zobaczę. Niech się nikt się rusza. Już dwa razy mało brakowało, a skręciłbym sobie kark. Nie chcę, żeby ktoś rozbił sobie głowę. Wątpię, czy pogotowie zareaguje na wezwanie.

Philpott przerwał ciszę.

- Może i pan powinien zastosować się do tej rady.

- Jeśli tak zrobię, nigdy nie zdobędziemy światła.

Coś ciężkiego upadło na dach z głuchym łoskotem.

- Błagam, Jack - Tess ze zdziwieniem słuchała własnego głosu. - Światło. Jakiegokolwiek. To straszne.

- Staram się, Mała. Naprawdę.

W końcu korytarza dziecko zaniósło się czkawką i umilkło. Teraz przynajmniej Tess słyszała zawrozczenie wiatru i wiedziała, że jeszcze nie zerwał im dachu nad głową.

Po chwili od strony kuchni pojawił się promień światła.

- Proszę bardzo - odezwał się Jack. - Latarki dla wszystkich. Zaraz przyniosę lampy naftowe.

Wcisnął latarkę w dłoń Tess. Włączyła ją natychmiast, wdzięczna za tę odrobinę światła, które odpędzało strachy czające się ciemności. Jak się przekonała, Hadley Philpott nadal stał w progu salonu. Jack oddalał się w stronę pokoju Ernesta.

- Dzięki, człowieku.-Ernesto był znacznie bardziej uprzejmy niż przedtem.

Jack wrócił do holu.

- Nie palcie ich zbyt długo. Nie wiemy, w jakim stanie są baterie. Lampy naftowe są o wiele lepsze.

Dziesięć minut później w salonie stały trzy lampy naftowe. Czwartą zabrał Ernesto dla żony i dziecka. Hadley Philpott wrócił na sofę i dopił stygnącą kawę.

- Pozwolę sobie zauważyć, że kawa jest nadal ciepła. Być może to ostatnia ciepła kawa w ciągu najbliższych dni, więc gdybym mógł dostać jeszcze jedną filiżankę...

- Już podaję - Tess zerwała się z miejsca. - Jack? Tobie też?

- Czemu nie. Coś mi mówi, że tej nocy nikt z nas nie pośpi zbyt długo.

Pewnie nie, pomyślała w drodze do kuchni. Wzięła dwie filiżanki, dzbanek i nalała kawy dla wszystkich.

Kolejny podmuch zatrzęsł domem w posadach, jakby tuż obok przejechał pociąg towarowy. Tess wydawało się, że widzi, jak ściany drżą.

- Czy możemy w końcu dowiedzieć się, co miał pan nam powiedzieć o Stevie i Brigitte? - zwróciła się do Hadleya.

- Ach tak! - Odstawił filiżankę. - To niewiele i szczerze mówiąc nie rozumiem, czemu Mary nalegała, żebym wam to powtórzył. Chodzi o coś, co Brigitte powiedziała kilka tygodni temu. Powiedziała, choć nie ręczę, że dokładnie zapamiętałem jej słowa, że gdyby mogła, zamknęłaby was dwoje w jednym pokoju i nie wypuściła, póki nie wyjaśnicie sobie wszystkiego. Czy to coś tłumaczy?

Jack i Tess wymienili spojrzenia.

- Ee... - Jack się zawahał. - Być może.

- Cóż - stwierdził Hadley. - Moim zdaniem to nieistotne, ale Mary postawiła na swoim. Jak zawsze.

Tess zerknęła na Jacka i powiedziała:

- Moja matka nie może wywołać huraganu.

- Nie, oczywiście że nie. - Coś dziwnego dzieje się z jego ustami, jakby czał się tam uśmiech, który nie ma odwagi się ujawnić. - Ale może zniknąć.

To z całą pewnością. I choć to nielojalne wobec własnej matki, Tess bez trudu wyobraziła sobie, jak Brigitte to aranżuje. Czasami bycie jej córką okazywało się ciężarem ponad siły.

- Taak. - Jack zdawał się czytać w jej myślach. - Zastanawia mnie tylko, jak wciągnęła w to ojca.

- Twój ojciec nie jest święty - odcięła się. - Nie zapominaj, że jest z nią od piętnastu lat, i to mimo jej licznych wad, które tak cię oburzają.

- Czy ja powiedziałem, że mnie oburzają? Bo tak naprawdę, Tess, wcale mnie nie oburzają. I uważam, że twoja matka wniosła szczęście do życia mojego ojca. Ale mimo wszystko... on zazwyczaj nie daje się wciągnąć w takie wariactwa.

- Jakie wariactwa? - Uznała, że musi bronić dobrego imienia matki. -Jakie wariactwo? Zniknęli i tyle.

- Nie zapominaj, że do ciebie dzwoniła.

- Powiedziała tylko, że chcą złapać samolot. Jack wstał.

- Chwileczkę. Mówiłaś, że chcieli złapać samolot do domu.

- Cóż, może źle ją zrozumiałam. Tak mi się wydawało, ale nie dałabym sobie uciąć ręki.

- Wygodne luki w pamięci, co? - Uśmiechnął się ironicznie.

- Co to ma znaczyć, ty...

Hadley Philpott odchrząknął głośno.

- Przepraszam bardzo - wtrącił się - ale to was do niczego nie doprowadzi.

Tess ugryzła się w język, ale wymagało to wielkiego wysiłku, mniej więcej takiego jak powstrzymanie powodzi zwykłą zaporą.

Jack rzucił się na Hadleya.

- Dzięki, niepotrzebny nam rozjemca. Klóćmy się od dawna i zniosę z jej ust każdą obelgę.

Profesor podrapał się po głowie i przesunął fajkę w kącik ust.

- Nie wiem, czy jest się czym chwalić - odparł.

- Dlaczego? - zdziwił się Jack. - Jesteśmy w tym dobrzy.

- Jezu! -jęknęła Tess. - Dlaczego w twoich ustach to brzmi jak wybór kariery?

Jack spojrzał na nią z błyskiem w oku.

- A tak nie jest?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, i zaraz je zamknęła. Znowu otworzyła. Zamknęła.

- Zaniemówiła - poinformował Jack nie wiadomo kogo. - Nie przypuszczałem, że tego dożyję.

- Och, zamknij się - prychnęła.

- Nie, nie zamknę się. Mamy coś pilniejszego do roboty, mianowicie poszukiwania szanownych rodziców.

- Po co sobie zawracać głowę? Według mnie tylko sprawimy im tym satysfakcję. Kiedy pogoda się poprawi, wracam do domu. Jak już się znudzą, wyjdą z kryjówki.

- Tess, Tess, Tess - Jack potrząsnął głową. Przysiadł na stoliku naprzeciwko niej i wyciągnął rękę.

Cofnęła się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie, ty wieprzu.

- Dobrze. Ale posłuchaj. Czy naprawdę chcesz, żeby uszło im to na sucho? Przerazili nas śmiertelnie. Zamartwiamy się od kilku dni. Wszystko po to, żeby nas tu ściągnąć, żebyśmy nauczyli się ze sobą rozmawiać?

- Przesadzili, co?

- Tak - przyznał. - Więc znajdziemy ich i odpłacimy tą samą monetą. Wybijemy im z głowy takie numery na przyszłość.

To się jej spodobało. Ba, im więcej o tym myślała, tym bardziej przychyliła się do jego pomysłu.

- Więc jak ich znajdziemy?
- Sana Karaibach, tak?
- Może. To tylko założenie.
- Najlepsze, jakie na razie mamy.

Westchnęła.

- Chcę ci tylko przypomnieć o wszystkich problemach, które sam wyliczałeś. Od kiedy jesteś takim optymistą?

- Odkąd ty stałaś się pesymistką.

W tej chwili zrozumiała, że ujął w słowa to, co leży u źródeł ich sprzeczek.

- Chcesz powiedzieć, że sprzeciwiasz się z zasady?
- Tylko tobie. - Uśmiechnął się isticie szatańsko.

Nie, naprawdę go nie lubi.

- Rozumiem, że to komplement - odparła wyniośle.
- Och, absolutnie - wtrącił się Hadley Philpott. Trzymał fajkę w dłoni i jakimś cudem wyglądał czcigodnie i naukowo mimo hawajskiej koszuli, kościstych kolan i czarnych skarpetek.

- Absolutnie? - Jacka zbulwersował sam pomysł.
- Oczywiście - powtórzył Philpott. - Sprzeciwianie się dla zasady wymaga ogromnego wysiłku. Większość z nas nie zawraca sobie głowy, chyba że uznamy, że to ważne.

- Ha! - Tess właśnie zaczęła się dobrze bawić. - Dokładnie tak, jak przypuszczałam.

Philpott usiadł z powrotem na fotelu, bardzo z siebie zadowolony. Jack natomiast miał minę, jakby przełknął coś obrzydliwego.

- Właściwie to nie zgadzam się z Tess, bo nigdy nie ma racji - wyjaśnił.

- Akurat. - Nie dała się wyprowadzić z równowagi. Philpott rozsądnie się nie odzywał.

- W każdym razie - ciągnął Jack - musimy opracować plan poszukiwań. Zaczniemy, kiedy tylko ustanie huragan.

- Jasne - Tess traciła cierpliwość. - Wynajmiemy łódź i będziemy pływać od wyspy do wyspy, aż ich znajdziemy.

Posłał jej zabójcze spojrzenie.

- Wspaniałe wakacje - wtrącił się Hadley. - Chętnie bym się wybrał w taki rejs.

- Już widzę, jak mój szef daje mi dwa miesiące urlopu - rzuciła Tess zgryźliwie. - Nie rozumiem, co mógłby mieć przeciwko temu.

- Co cię ugryzło? - zdziwił się Jack. - Musimy poważnie porozmawiać.

- O czym? Rozmawiamy poważnie od wczoraj, i ustaliliśmy tylko, że prawdopodobnie sana Karaibach i że chyba to wszystko zaplanowali. Naprawdę mam ochotę wygarnąć im, co myślę o takim zachowaniu, ale prawdopodobieństwo, że ich znajdziemy, jest równe zeru. Widzisz, ty może nie musisz zarabiać na życie, ale mnie nie stać na wielomiesięczne poszukiwania.

- Chcesz powiedzieć, że rezygnujesz?

- Tak jest.

Potrząsnął głową.

- Rozczarowałaś mnie, Tess.

- A czym niby?

- Brakiem pomysłu.

- Słucham? - Stary gniew powracał.

- Pomyśl, Tess. Skoro chcą, żebyśmy ich szukali, chyba zostawili tyle śladów, że zdołamy do nich dotrzeć.

Prychnęła. Z wdziękiem, jak dama, tym niemniej prychnęła.

- Za dużo tych przypuszczeń. Może wcale nie chcą, żebyśmy ich znaleźli. Może za kilka dni wkroczą tu ciekawi, czy ktoś z nas przeżyło.

- E tam.

- E tam?

- E tam. Za pięć dni jest Święto Dziękczynienia.

- I co z tego? Co z tego?

Jack ciągle kręcił głową.

- Wiem, że twoja matka nigdy nie uważała tego dnia za najważniejsze święto w roku, i nie mam jej tego za złe, biorąc pod uwagę, że jest Kanadyjką, do tego z Quebecu...

- Chwileczkę - Tess wpadła mu w słowo. - Zawsze obchodziła Święto Dziękczynienia.

- Owszem, ale z jej uwag można było wywnioskować, że nie uważa tego święta za ważne.

Wstała.

- Wiesz, Jack, jedna z twoich największych wad to sposób, w jaki szkalujesz ludzi.

- Nikogo nie szkaluję.

- Owszem. Moja mama to porządna kobieta i od trzydziestu lat piecze indyka na Święto Dziękczynienia. A ty sugerujesz, że nie jest Amerykanką.

- Bo nie jest. Jest Kanadyjką. Z Quebecu. Czy powiedziałem, że to przestępstwo?

Hadley odchrząknął.

- Czy to ważne?

Tess się zarumieniła. Nawet Jack miał tyle przyzwoitości, że lekko się spieszył.

- Nie bardzo.

- Nie - przyznała. Jakim cudem Jack to robi? Dlaczego sprzeciwia się wszystkiemu, co powie? I dlaczego czuje się przy nim jak nastolatka?

- Szczerze mówiąc - odezwał się Jack po chwili - nie pamiętam, od czego się zaczęło.

Tess usiłowała sobie przypomnieć.

Uratował ich Hadley.

- Coś o Święcie Dziękczynienia i o tym, że Brigitte nie uważa tego za najważniejsze święto w roku.

- Tak! - Jack pstryknął palcami. - Dzięki, Hadley.

- Nie ma sprawy. - Profesor zbył jego podziękowania machnięciem fajki.

- Chciałem powiedzieć - Jack ponownie zwrócił się do Tess - że choć twoja matka nie uważa Święta Dziękczynienia za najważniejsze święto w roku, zawsze je obchodzi.

- Och. - Zrobiła jej się głupio, że pochopnie wyciąga wnioski i zrobiła Jackowi awanturę o coś, czego nie powiedział.
- Masz rację.

- Pewnie - zgodził się z męską bezczelnością. - Powinnaś dać mi dokończyć, zamiast od razu się kłócić.

- A ty powinieneś lepiej dobierać słowa.

Philpott westchnął głośno. Jack i Tess popatrzyli najpierw na niego, potem na siebie.

- Przepraszam - zaczął Jack.

- Ja też.

- Dobra. - Jack urwał na chwilę. - Zgadząmy się, że Brigitte zawsze starała się zorganizować rodzinne Święto Dziękczynienia. Wątpliwe więc, żeby odpuściła sobie w tym roku. Prawdopodobnie chce, żebyśmy w tym roku świętowali wszyscy razem, a nie jak ostatnie kilka lat.

Tess znowu się zarumieniła. Dotychczas to ona nie przyjeżdżała na święta.

- Więc może po prostu wróć.

Jack pokręcił głową.

- Wątpię.

- Czemu?

- Za mało dramatyczne jak na Brigitte.

Hadley Philpott potwierdził ruchem głowy.

- Zgadząm się. Tess zerknęła na niego, ciekawa, czemu ciągle wtrąca się do rozmowy.

- Moim zdaniem - ciągnął Jack - mamy ich znaleźć. Stary odruch, by się z nim sprzeczać, brał górę, ale opanowała go.

Starała się przemyśleć jego słowa. Starała się spojrzeć na matkę obiektywnie, czego dotychczas nie robiła.

- Masz rację - przyznała w końcu. - W zupełności. Byłaby wniebowzięta. Prawdopodobnie teraz zrywa boki ze śmiechu na samą myśl, w co nas wpakowała.

Jack nagle parsknął śmiechem.

- Wiem. Jezu, uwielbiam ją. Przy niej nie sposób się nudzić.

Tess, która w dzieciństwie nie miała nic przeciwko kilku chwilom nudy, zdecydowała się zachować to dla siebie. Ciągłe kłótnie z Jackiem już ją męczyły.

- To podchody - stwierdził.

- Chyba tak - zgodziła się ponuro. - A to już na pewno w stylu Brigitte.

- Teraz musimy się tylko zastanowić, gdzie szukać wskazówek. Nie zdążyli, bo w progu stanął Ernesto.

- Jesteśmy głodni - zakomunikował. - Macie tu coś do żarcia?

Rozdział 9

Nie do wiary. Na dworze szaleje huragan, nie ma światła, a ja zyskuję posiłek dla obcych ludzi przy lampie naftowej.

- Doskonale to ujęłaś, mój skarbie - zgodził się Jack.

- Nie jestem twoim skarbem.

- Chyba nie - przyznał łagodnie, ale nawet w mdłym świetle lampy naftowej dostrzegła błysk w jego oku. - Ale wracając do rzeczy...

- No właśnie. Wracajmy do rzeczy. Na przykład do człowieka, który, tak się składa, jest twoim przyjacielem.

- To nie jest mój przyjaciel. - Podniósł ręce, jakby odpychał sam pomysł. - W żadnym wypadku.

- Myślałam, że znasz go z Miami.

- Znam wiele osób, Mała. Większości nie nazwałbym przyjaciółmi.

- Więc dlaczego zaprosiłam go do domu?

- Bo masz miękkie serce? - podsunął. - Chociaż muszę przyznać, że miękkie serce nie pasuje do kontrolera urzędu podatkowego.

- Przestań się nabijać z mojej pracy! Wybrałam ją, bo...

- Więc to był wybór? - Przerwał jej, udając przerażenie. - A ja myślałem, że wyrok.

Najchętniej cisnęłaby w niego czymś ciężkim, ale w mdłym świetle nie widziała nic odpowiedniego.

- Daj spokój, Jack.

- Dobrze.

Łypnęła podejrzliwie, ale przybrał minę niewiniątka.

- To i tak nie tłumaczy, dlaczego go zaprosiłam. Wzruszył ramionami.

- A po co ci tłumaczenie? Przecież jest huragan i nie mogłaś pozwolić, żeby ten śmieć, jego żona i dziecko zostali na ulicy. Dobra Samarytanka z ciebie, i tyle. To niegroźne, Tess. Kilka seansów ze specjalnym psychiatrą mającym rekomendację

urzędu podatkowego i pozbędziesz się resztek ludzkich odruchów.

Wyjęła właśnie paczkę zielonego groszku z lodówki. Odwróciła się i cisnęła nią w Jacka. Złapał w locie.

- Dobry rzut!

Zignorowała go, zainteresowała się zawartością lodówki. Najrozsądniej będzie najpierw zjeść szybko psujące się produkty, których nie trzeba gotować.

Szybko ułożyła na talerzach wędlinę, ser, sałatę i pieczywo.

- Jak myślisz, to wystarczy?

- Niech się cieszą, że cokolwiek dostaną- odparł stanowczo.

- Powiem szczerze: dziwnie się czuję, szykując kolację dla kogoś, kogo podejrzywałeś o porwanie rodziców.

Speszył się.

- Rzeczywiście, chyba trochę przesadziłem. To odruch.

- Co?

- No, założenie, że jeśli spotykasz znajomą twarz w niewłaściwym miejscu, sądzisz, że cię śledzą.

Tess odłożyła pomidora na talerz.

- Właściwie dlaczego sądzisz, że ktoś miałby cię śledzić?

Zastygł w bezruchu, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. A potem, jakby ktoś włączył pstryczek, wzruszył ramionami, niedbale oparł się o ścianę i uśmiechnął szeroko.

- Po prostu mi odbija.

Nie uwierzyła mu i złapała się na tym, że obserwuje go kątem oka, gdy robił kanapki. Co to miało znaczyć? Tylko jedno przychodziło jej do głowy, a mianowicie, że dla Jacka bycie śledzonym to żadna nowina. No, chyba że przywykł do życia w strachu, że go śledzą.

I jedno, i drugie może oznaczać straszne rzeczy.

W pewnym momencie, tam, w kuchni, patrząc, jak układa plasterki szynki i salami, dostrzegła go w całkiem innym świetle. Zamiast okropnego starszego brata, który nie znosi jej z całego serca, widziała obcego człowieka.

I serce jej się ścisnęło.

Jack jest sam. Całkowicie, boleśnie sam. Ale zawsze trzymał się z boku, odkąd sięga pamięcią.

Może ma to coś wspólnego ze śmiercią jego matki. Miał wówczas dwanaście lat. Kiedy Tess go poznała, prawie dziesięć lat później, Jack nauczył się już radzić sobie sam. Mieszkał w domu, z ojcem, choć to się zmieniło niemal natychmiast po ślubie Steve'a i Brigitte. Nigdy nie przyprowadzał kolegów do domu, nigdy się z nikim nie umawiał. Wtedy uznała go za beznadziejnego kujona.

Teraz jednak, z perspektywy lat, dostrzegając, że i ona postępowała podobnie, jakby chciała wynagrodzić matce trudne chwile po rozwodzie. Może Jack robił to samo: starał się wypełnić luki w życiu ojca.

Nie było to zbyt rozsądne, przyznała dzisiaj. Ani Steve, ani Brigitte nie uporali się z rozpaczą, gdyby się nie spotkali.

Ale może właśnie dlatego Jack jest taki zamknięty w sobie. Przecież ona jest taka sama.

- Czy ty masz jakichś przyjaciół? - zapytała prosto z mostu. Podniósł głowę znad kanapek.

- A co to za pytanie?

- Szczere. Czy ty masz przyjaciół, Jack? Z którymi przesiadujesz godzinami w knajpie i dobrze się bawisz?

- Pewnie. Ty nie?

- No, tak.

- Więc skąd przypuszczenie, że ja nie?

- Czy ja to powiedziałam?

Z westchnieniem ułożył liść sałaty na kromce.

- Nie wiadomo dlaczego zawsze jesteśmy po przeciwnych stronach barykady. Spróbujemy jeszcze raz?

- Byłam tylko ciekawa, czy masz przyjaciół - tłumaczyła się. - Myślałam, że może uda nam się pogawędzić o czymś innym niż nasi rodzice i ta cała katastrofa.

Znowu podniósł wzrok. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nie była pewna, czyjej się to podoba. Był to uśmiech niemal... drapieżny. A już z pewnością męski.

- Och, Tess - zaczął. - Jeśli dobrze rozumiem, chcesz mnie lepiej poznać?

No proszę, tacy są mężczyźni. Ona mu współczuje i chce szczerze porozmawiać, a ten się zachowuje, jakby go podrywała.

- Nie - odparła lodowato. - Nie przychodzi mi do głowy ani jeden powód, dla którego chciałabym cię lepiej poznać... Byłam tylko ciekawa, czy naprawdę jesteś wyizolowanym nieudacznikiem, na jakiego wyglądasz.

- Bravo! - Rozszerzył oczy w podziwieniu, ale błysk zdradzał, że nie mówi poważnie. - Wyizolowany nieudacznik. Niezły epitet. Skąd go wzięłaś? Z poradnika psychologicznego?

Zacisnęła zęby. Nie, nie zdzieli go salami.

- Wyraziłam tylko zainteresowanie twoim życiem. Chciałam być miła. Zakładałam, że miałeś kiedyś okazję zapoznać się ze znaczeniem słowa „miła”?

- No, tak - zgodził się szybko. - Niestety, nie miałem okazji użyć go w stosunku do ciebie.

- Proszę, a ja sądziłam, że to niewiedza.

- Błąd. Wiedzy mi nie brakuje, czego nie można powiedzieć o tobie. Oczywiście, mając Brigitte za matkę...

- Nie mieszaj w to mojej matki.

- Bardzo chętnie, gdyby nie drobiazg: mam przecucie, że to przez nią tkwimy tu teraz. I wycofuję, co powiedziałem wcześniej, że nie mogła wywołać huraganu. Jestem święcie przekonany, że tam, na wyspach, znalazła jakiegoś szamana, który specjalnie dla niej ściągnął ten cholerny huragan tylko po to, żebym nie mógł stąd odlecieć najbliższym samolotem.

Zamiast odwarunknąć, Tess poczuła, że jej się ściska serce. Tak tylko troszeczkę. Ale jednak troszeczkę za bardzo, by to zignorować. Boże drogi, niemożliwe, żeby było jej przykro, bo Jack Wright chciałby być jak najdalej od niej? Absolutnie

niemożliwe. Przecież uciekłyby stąd w tej chwili, gdyby tylko mogła.

- Co się stało? - zainteresował się. - Ugryzłaś się w język? A może jesteś za bardzo zła, żeby się do mnie odzywać?

Opuściła wzrok na salami.

- Nie jestem zła - odparła niewyraźnie. Co się z nią dzieje? Chyba nie polubiła tego strasznego człowieka?

- Hej, Tess - głos Jacka był bardzo łagodny. - Co się stało? Nie chciałem sprawić ci przykrości, żartując z Brigitte.

Uśmiechnęła się z trudem i wzruszyła ramionami.

- Niewykluczone, że sama ściągnęła huragan - stwierdziła ze sztucznym ożywieniem. - Sprawdź, czy zabrała miotłę ze sobą.

- Miotłę... - Jack zrozumiał po chwili. Parsknął śmiechem. - Aha.

Najchętniej ukryłyby się w łóżku, z kołdrą naciągniętą na głowę, jak najdalej od tego wszystkiego, tymczasem musiała zająć się jedzeniem.

- Skończmy te kanapki. Gdzie położymy Hadleya?

- No tak, nie możemy wysłać go do domu w taką pogodę. - Jack z westchnieniem posmarował ostatnią kromkę majonezem. - Kanapa to też łóżko, prawda?

- Tak, ale jeśli on będzie tam spał, to gdzie ty? W sypialni rodziców? Wzruszył ramionami.

- Coś wymyślę. Zauważyła, że nie powiedział, czy skorzysta z sypialni Steve'a i Brigitte.

Zabawne, też by tak zareagowała. Może dlatego, że Steve nie jest jej krewnym.

Podali kanapki w salonie. Tess wzięła dziecko od Julii, żony Ernesta, żeby i ona mogła coś zjeść.

Dziewczynka miała na imię Guadalupe - wspaniałe imię dla istotki z wielkimi ciemnymi oczami i kosmykiem czarnych włosów. Poprzednie strachy minęły. Guadalupe nie płakała już, wodziła po wszystkich bystrym wzrokiem i machała rączkami.

- Śliczna - powiedziała Tess do Julii.
- Tak - Ernesto wydawał się niemal tak dumny jak jego żona.

- Gdzie pracujesz, Ernesto? - zapytała Tess. Było to zwykłe, towarzyskie pytanie, ale miała nadzieję, że odpowiedź powie jej coś więcej o Jacku.

Jack zeszywniał, jakby się obawiał odpowiedzi Ernesta, ten jednak tylko burknął:

- Jestem mechanikiem.
- Pracuje w zakładach mercedesa - dodała Julia z dumą. - Niedługo kupimy dom.

Ernesto się rozpromienił.

- Tak. Już go sobie upatrzyliśmy. Ładny mały bungalow. Dwie sypialnie. I ogródek, żeby mała miała się gdzie bawić.

- To miło - stwierdził Philpott. Okruszek chleba przykleił mu się do brody. - Bardzo miło.

Tess, rozczarowana, że nie dowiedziała się o Jacku niczego więcej, zastanawiała się, dlaczego tak go nie lubi. Oczywiście, miał paskudny charakter, ale to nie wszystko. Irytowało ją, że jest taki tajemniczy. Prawie nic o nim nie wiedziała. Mnóstwo pytań, żadnych odpowiedzi.

Przez ostatnią godzinę tak przywykła do zawrota głowy, że zabrakło jej czegoś, gdy nagle zapanowała cisza.

Wszyscy przy stole zastygli w bezruchu. Rozglądali się niespokojnie, pewni, że coś się stało.

Pierwszy odezwał się Jack.

- Wygląda na to, że jesteśmy w środku. Dziwne, tak szybko?

- To możliwe - włączył się Hadley. - Choć rzeczywiście szybko. Myślałem, że dojdzie do nas w nocy, koło drugiej.

- Może huragan przyspieszył - podsunęła Tess.

- Może.

Cisza była dziwna. Niepokojąca. Groźna. Tess, która i tak nie była głodna, odsunęła od siebie talerz. Dziecko poruszyło się w jej ramionach.

- Nie podoba mi się to - powiedziała.
- Mnie też nie - zawtórowała Julia. Ernesto natychmiast objął ją ramieniem. Po chwili wzięli dziecko od Tess, która zaraz zateśkniła za ciepłym ciałkiem.
- Już niedługo - zawyrokował Philpott, sięgając po kolejną kanapkę. - To nieduży huragan. Zaraz znowu zawieje.

Jakby na potwierdzenie jego słów podmuch wiatru uderzył w ścianę.

- Widzicie? - Philpott był z siebie bardzo dumny.
- Tess i Jack spojrzeli na siebie. Jack przewrócił oczami.
- Nie przeszkadzajcie sobie, jedzcie dalej - powiedział Jack po chwili. - Tess i ja musimy coś załatwić.

Już miała zapytać, o co mu chodzi, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Opanowała ciekawość, mruknęła:

- Przepraszam - i odeszła od stołu. Poszła za Jackiem do sypialni rodziców. Zamknął za nią drzwi.
- To było niegrzeczne - pouczyła go.
- Niegrzeczne? To nie są nasi goście. To śmiecie, które sztorm wyrzucił na nasz brzeg.
- Śmiecie? Na brzeg? - Nie wiedziała, oburzyć się czy roześmiać. Chociaż właściwie, w pewnym sensie, Jack ma rację.
- Ale...

- Żadne ale. Ernesto praktycznie się tu wprosił. Philpott właściwie też.

- To dziwne - stwierdziła po chwili. - Nie sądzisz?
- Co? - Uniósł brew.
- Wizyta Hadleya Philpotta. Nie sam fakt, że przyszedł, ale kiedy przyszedł - tuż przed burzą. Dziesięć minut później nie dotarłby do nas, dziesięć minut wcześniej wysłalibyśmy go do domu.

Westchnął.

- Teraz ty masz manię prześladowczą. To tylko zbieg okoliczności.

- Jesteś pewien? - Zmarszczyła czoło. - Zobaczymy.
- Jezu, nie myślisz chyba, że i on uczestniczy w spisku?

- W spisku? - Tym razem to ona uniosła brew. - Chyba za daleko się posuwasz, twierdząc, że zamieszane jest w to całe Paradise Beach, nie sądzisz?

- Sam nie wiem. To miasto to dom wariatów i bez twojej matki. Wymień, gdzie jeszcze mieszkańcy nosili obroże na znak protestu.

- Fakt - przyznała, uśmiechając się pod nosem na wspomnienie tamtego wydarzenia.

- I gdzie jeszcze komendant policji umawia się z wróżką?

- Och, to było dawno - wyjaśniła pospiesznie. - Oboje znaleźli sobie potem nowych partnerów.

- Tak? Kiedy?

- On się ożenił jakoś w tym samym czasie co protest z obrożami. Rainbow chyba trochę później.

- Rainbow. Tęcza. Boże, co za imię. - Z westchnieniem przysiadł na skraju łóżka.

Zdaniem Tess sypialnia rodziców wyglądała jak francuski burdel - różowa satyna i czarne koronki. Cała Brigitte.

- Ciarki mnie przechodzą w tym pokoju - stwierdziła.

- Tak, mnie też. - Jack rozejrzył się dokoła. - Ciekawe, czy ona ma pojęcie, co to przypomina.

- Owszem.

Spojrzał na nią ciekawie.

- Powiedziała ci?

- Nie ja jej.

Oczy Jacka rozszerzyły się. Po chwili parsknął śmiechem.

- Jezu, szkoda, że tego nie słyszałem!

- Nic ciekawego. - Tess przysiadła na foteliku w stylu Ludwika XV, różowym, ma się rozumieć. - Spojrzała na mnie, jakbym była opóźniona w rozwoju, i powiedziała:

- Ależ oczywiście, chérie.

Jack roześmiał się jeszcze głośniejsze.

- Pst! - Położyła palec na ustach. - Zaraz wszyscy tu przylecą, ciekawi, co się dzieje.

Posłusznie zakrył usta dłonią, ale nie przestał chichotać. Ależ on jest uroczy, kiedy się śmieje, zauważyła Tess.

- Właściwie po co tu przyszliśmy? - zapytała, kiedy już się uspokoił.

- Pomyślałem, że zaczniemy szukać wskazówek.

- Szukać? - N a samą myśl zrobiło jej się słabo. To sypialnia jej matki. Świętokradztwo.

- Sama nie wiem, Jack.

- Dlaczego? Przecież chcieli, żebyśmy ich szukali. Niby jak to sobie wyobrażali? Że siedzimy bezczynnie z palcem w... ee, nosie? - o mały włos nie wyraził się dosadniej.

Zarumieniła się. Takie powiedzonka stanowczo nie były w jej guście.

- No nie. Ale to... Posłuchaj, przeszukaliśmy biurko. Już wtedy posunęliśmy się za daleko. A teraz.. .Może po prostu nie dostrzeżliśmy wskazówek. A może nie mamy czego szukać. Może oni po prostu przyjadą do domu na Święto Dziękczynienia.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne, i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Przestań co chwila zmieniać zdanie. Zgodziłaś się przecież, że Brigitte wołałaby, żebyśmy ich znaleźli.

To prawda. W głębi serca wiedziała, że właśnie tak jest. Brigitte nie zadałaby sobie tyle trudu, żeby potem po prostu się pojawić.

- Zresztą, jeśli zorganizowała to, żebyśmy przestali się kłócić, a zaczęli współpracować, nie może tak po prostu wrócić. To nie zdałoby egzaminu. Nie musielibyśmy współpracować.

Niechętnie przyznała mu rację.

- Tak, ale przeszukiwanie ich sypialni...

Drwiąco uniósł brew.

- O co chodzi, pani kontroler? Nagły przyływ nieznanych dotychczas oporów moralnych?

- To co innego, i wiesz o tym doskonale. A ty nie masz żadnych oporów przed naruszeniem ich prywatności?

- Oczywiście, ale nie martwię się tym, skoro to oni zaaranżowali taką sytuację.

- Przecież moglibyśmy po prostu nic nie robić! Prędzej czy później wrócą.

- Owszem. Prędzej czy później. Za sześć tygodni, sześć miesięcy, nieważne. Ale bezczynność odpada z dwóch powodów.

- Jakich?

- Po pierwsze, nie odmówię sobie przyjemności wyrównania z nimi rachunków. A po drugie, jeśli naprawdę zaginęli?

- Boże, przecież zgodziliśmy się, że raczej nie! Może w końcu się zdecydujesz?

- Już to zrobiłem. Dostaną za swoje. To oznacza, że przeszukam sypialnię.

Powinna była wyjść. Nie zrobiła tego. Siedziała i obserwowała, jak Jack szpera w szufladach.

Nagle coś ją uderzyło w tym widoku.

- Dobrze ci to idzie - stwierdziła. Podniósł głowę znad komody.

- Dzięki.

- Często robisz ludziom rewizje? Chyba zaniepokoiło go coś w jej głosie, bo nagle się wyprostował.

Patrzył na nią z góry.

- O co ci chodzi?

- Że świetnie to robisz. Pewnie nikt się nawet nie zorientuje, że zaglądałeś do tych szuflad.

- Do czego zmierzasz?

- Och, do niczego, zastanawiam się tylko, czy przypadkiem nie jesteś złodziejem biżuterii.

Wyglądał jak rażony gromem. A potem się roześmiał.

- Jezu, co za wyobraźnia. Mała, gdybym był złodziejem, wiódłbym leniwe życie na południu Francji.

Skinęła głową.

- No tak. Ja też.

- Ty? Naprawdę? Spodziewałem się, że wybierzesz Anglię. Wiktoriańską.

- Widać kiepsko mnie znasz. - W głębi duszy snuła marzenia, że kiedyś porzuci szary żywot urzędniczki. Nikomu jednak o tym nie mówiła, bo i po co? - Naprawdę nie jestem pruderyjna.

- Naprawdę? Coś takiego, dałem się nabrać. Ciągłe sobie ciebie wyobrażam jako wiktoriańską guwernantkę w gorsiecie tak ciasnym, że nie możesz oddychać.

- Aha.- I nagle wstąpił w nią diabeł: - Takie ci się podobają?

- Co, skręca cię z ciekawości?

Ze zdumieniem stwierdziła, że rzeczywiście skręca ją z ciekawości. Wiele rzeczy chciałaby wiedzieć o Jacku. Poczynając od tego, jak zarabia na życie. Ta myśl ściągnęła ją na ziemię.

Otworzył dolną szufladę komody i zamarł. Gwizdnął cicho.

- Co? - zainteresowała się.

Gwizdnął ponownie, wyjął coś i pokazał jej.

Patrzyła z niedowierzaniem. Poczowała, jak na twarz wypełza jej gorący rumieniec.

- O Boże - szepnęła z trudem. - Czy to...

- Kajdanki - dokończył. - Właściwie skórzane bransolety. Z miękkiej skóry, szerokie, żeby nie powstrzymywać krążenia krwi...

Nie mogła tego słuchać.

- Przestań! Nie chcę znać szczegółów. - Jej serce biło jak szalone. Nie mogła złapać tchu.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się złośliwie. - Przecież sama zapytałaś.

- Dosyć tego. Nie chcę tego wiedzieć.

- Nie interesuje cię ani troszeczkę?

- Nie!

- Dlaczego? Bo należą do twojej matki, czy dlatego, że jesteś sztywna i pruderyjna?

I jak ma odpowiedzieć, na Boga? W końcu burknęła:

- Nie mamy prawa wtykać nosa w ich prywatne sprawy. Zwłaszcza w takie. To nie ma nic wspólnego z ich zniknięciem.

- Może tak, może nie. - Cisnął kajdanki z powrotem do szuflady. Zajrzał głębiej i gwizdnął ponownie.

- Ho, ho. To wkurzające, że tatuś bawi się lepiej ode mnie.

Tess czuła, że policzki jej płoną.

- Jack, proszę.

- Prosisz? O co? - Zamknął szufladę i odwrócił się w jej stronę. Dzielilo ich niecałe pół metra. Uwodzicielsko zniżył głos.

- O co prosisz? Żebym nie mówił, jak to jest? Nie zastanawiałaś się nigdy, jakie to uczucie, być całkowicie na łasce kochanka? Nie móc nic zrobić, tylko przyjmować pieśczozy, jakimi zechce cię obdarzyć?

- Jack! - Ale słowa utkwily jej w gardle. Nie mogła na niego patrzeć. Serce biło jej coraz szybciej. Poczula jak narasta w niej pragnienie, które zazwyczaj lekceważyła.

Mówił niskim, zmysłowym głosem:

- Czy kochanek ci to kiedyś zrobił, Tess?

- Nie miewam kochanków. - Wypluła te słowa bez namysłu, pośpiesznie, żeby zdążyć, zanim za jego sprawą straci panowanie nad sobą.

Znieruchomiał, by po chwili usiąść na podłodze naprzeciwko niej.

- Jezu - mruknał. - Przesadzasz.

Skuliła się. Nie odpowiedziała. Akurat jemu nie przyzna się za żadne skarby, że jest tak bardzo niedoświadczona. No, za wyjątkiem tamtej randki z pierwszym chłopakiem, gdy odzyskała zdrowy rozsądek w ostatniej chwili.

- Ty nie przesadzasz - stwierdził po chwili. - Tess... czy ty jesteś... dziewczcą?

- Nie twoja sprawa - odparła cicho.

- Masz rację, nie moja. Zresztą, właśnie odpowiedziałaś na to pytanie.

Po chwili milczenia wstał.

- Sprawdzę szafę. Możemy udawać, że nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.

Jak na niego, była to bardzo przyzwoita propozycja. Gdyby chciał, mógłby z niej kpić miesiącami.

Zniknął w garderobie, co dało jej czas, by opanować rozszalały puls. Niestety, także czas do namysłu. Do rozmyślań o miękkim, ciepłym pożądaniu, które rozkwitło w niej i nie chciało odejść. O tym, jak jego głos zdawał się gładzić zakończenia jej nerwów. O tym, co powiedział: przyjmować od kochanka każdą pieszczotę, którą zechce ją obdarzyć...

Jej serce waliło ciężko, ciało pulsowało, narastało pragnienie, by Jack wreszcie wyszedł z tej szafy i jej dotknął.

Nie wyszedł z szafy, i całe szczęście. Tymczasem Tess próbowała wziąć się w garść. Nienawidzi go, upomniała się. Nienawidzi od lat. A żeby to zmienić, trzeba czegoś więcej niż seksualnego napięcia.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Rozdział 10

Nie będziesz spał w moim pokoju! - Tess stała w progu i patrzyła na Jacka z niedowierzaniem.

- A gdzie? Tu przynajmniej jest kanapa.
- W sypialni rodziców! Pokręcił głową.
- Nie zmrzyłbym tam oka po tym, co znalazłem w szufladzie. Niedobrze, że o tym przypomniał. Naprawdę niedobrze, bo ledwie to

powiedział, powrócił ten ciepły głód.

- Śpij na podłodze w salonie - poradziła.
- Hadley Philpott chrapie. Zagłusza nawet huragan.

Dopiero teraz Tess zdała sobie sprawę, że huragan znacznie ucichł.

Najwyraźniej najgorsze już za nimi. Co nie znaczy, że pozbędą się gości -w każdym razie, nie przed świtem.

- W porządku - zgodziła się. - Ja pójdę do salonu.
- Proszę bardzo. - Przesunął się i skłonił, gdy wychodziła.

Wyrwała mu koc, poduszkę i latarkę i pomaszerowała do salonu.

Niestety, nie przesadzał, jeśli chodzi o przeraźliwe chrapanie Hadleya. Przez chwilę słuchała straszliwych odgłosów. Może powinna iść do sypialni rodziców Nie, nie zaśnie tam. A już szczególnie nie teraz. Nie zmrzy oka. Z jękiem odwróciła się na pięcie. Wróci do siebie i pogodzi się z obecnością Jacka. I wykonałaby ten zamiar bez trudu, gdyby nie deptał jej po piętach.

Stał za drzwiami salonu, jak zwykle opierał się o framugę z rękami na piersi. Patrzył na nią i uśmiechał się, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem”?

- Za głośno, Tess? - zapytał niewinnie.
- Nie ciesz się, że wyszło na twoje - warknęła.

- Dlaczego nie? To jedna z większych przyjemności w życiu. Minęła go, cisnęła mu poduszkę i koc, ale zachowała latarkę.

- Śpij gdzie chcesz. Tylko mnie nie budź.

- Nie śmiałym - odparł z przesadną pokorą.

W sypialni wślizgnęła się pod kołdrę w ubraniu. Prędzej ją piekło pochłonie, niż przebierze się w koszulę nocną w jednym pokoju z mężczyzną. Zwłaszcza z Jackiem.

Teatralnie rozłożył koc na kanapie, poprawił sobie poduszkę, zgasił lampę naftową i położył się. Słyszała jak sprężyny zaskrzypiały pod jego ciężarem.

Starła się skupić na odgłosach z zewnątrz - były bezpieczniejsze niż to, co słyszała w domu - na przykład przyspieszone bicie swego serca.

Wiatr zelżał, nie wył już jak potępieniec. Dom także nie trzeszczał już w posadach. Do rana będzie po wszystkim.

Zawsze spała sama, w oddzielnej sypialni. Nawet w college'u, gdy wynajęła z dwiema koleżankami mieszkanie.

Mimo zawodzenia wiatru słyszała oddech Jacka. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że on też nie śpi. Co jakiś czas wzdychał niecierpliwie, wiercił się niespokojnie.

- Cholera - powiedział nagle.

- Co jest?

- Sprężyny gniotą mnie w nerki.

- Straszne! - Co miała zrobić? Zaprosić go do łóżka? Ta myśl, zamiast oczekiwanej irytacji, rozbudziła zupełnie inne uczucia.

Nie fair, krzychał głos rozsądku, gdy jej wyobraźnia zapuszczała się w rzadko odwiedzane tereny. Tereny, których nie chciałyby zwiedzać z Jackiem. Cóż, chciała czy nie, pożądanie rozpałiło jej ciało i umysł, budziło przerażająco silne pragnienia.

Nie chciała tak bardzo pragnąć nikogo, a zwłaszcza Jacka. Symbolizował najgorszy okres w jej życiu, gdy matka odeszła

od ojca i związała się z innym mężczyzną. To małżeństwo oznaczało dla niej tylko jedno: rodzice już nigdy się nie zejdą.

Nienawdziła matki, przynajmniej przez pewien czas. A z rozpędu nienawdziła także Jacka i jego ojca, bo to przez nich matka podjęła taką decyzję. Lecz na Steve'a nie mogła się długo gniewać. Powitał Tess z otwartymi ramionami, jak długo oczekiwaną córkę. Szybko uległa jego urokowi.

Za to Jack... Jack to co innego. Miał wówczas dwadzieścia jeden lat, wystarczająco dużo i zarazem wystarczająco mało, by uprzykrzać jej życie ciągłymi złośliwościami.

Gwoli sprawiedliwości musiała przyznać, że to w dużym stopniu jej wina. Nie pozostawała dłużna, odpowiadała pięknym za nadobne, wyładowała na nim złość na cały świat. Właściwie zasłużyła na jego uwagi.

Z perspektywy lat widziała, że Jack prawdopodobnie podzielał jej zdanie o małżeństwie rodziców. On jednak miał drogę ucieczki. Kilka tygodni po ślubie spakował się i wyruszył w nieznaną. Wracał tylko na wakacje i święta. W miarę jak dorastali, z dziecinnych kłótni zrodziła się głęboka niechęć. Tak, nadal się kłócili, zadając sobie coraz głębsze rany.

Ciekawe dlaczego. Zanim przemyślała to lepiej, Jack się poruszył.

- Zaraz wyrzucę tę cholerną kanapę przez okno - oznajmił.
- Ej, niektórzy chcą spać.
- Naprawdę? Myślałem, że walczysz z kołdrą.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że cały czas wierci się niespokojnie, szukając wygodnej pozycji.

- Za gorąco mi - powiedziała. - A poduszka jest za twarda.
- Zupełnie jak ta kanapa, pożałuj się Boże. To izba tortur. W

duchu przyznała mu rację, choć z całkiem innych powodów. Była

zirytowana i przewrażliwiona, jak księżniczka na ziarnku grochu, ale to nie miało nic wspólnego z niewygodnym pościeleniem. Ani z upałem. Ani z poduszką.

- Wiesz - rzuciła kwaśno - zasnąłabym szybciej, gdybym nie musiała słuchać, jak się wierzisz i przeklinasz.
- Nie wierzę się i nie przeklinam. Zmuszałem się, by leżeć bez ruchu.
- Akurat.
- Naprawdę. Dopóki nie znudziło mi się słuchanie, jak ty się wierzisz i uznałem, że nie muszę odgniać sobie nerek, skoro ty się rzucasz.
- Nie rzucałam się.
- Nie? A jak to nazwiesz? Zapasy z prześcieradłem? Wspinaczka po płaskiej górze?
- Och, zamknij się!

Zamknął się. Ale nadal słyszała jego oddech. Wiatr ucichł i słyszała, jak oddycha. Jak może oddychać tak głośno?

Rozważania, dlaczego on ciężko dyszy sprawiły, że znowu stanęła w ogniu. Zapragnęła, żeby tak dyszał jej do ucha. Z bliska. Bardzo bliska. Przeszył ją dreszcz rozkoszy. A wszystko dlatego, że sobie wyobraża, jak Jack Wright dyszy jej do ucha. Boże, to okropne.

Co z tego, że ta słabość budziła w niej niesmak. Nie zdołała się opanować. Przypomniała sobie, jak Jack wygląda w koszulce polo i szortach. Szerokie barki. Naprawdę szerokie barki. Silne, opalone ręce. I wąskie biodra...

Nie wiedziała nawet, że wstrzymała oddech, myśląc o jego biodrach. Co się z nią dzieje? Nagle pragnęła tylko jednego - oprzeć dłonie na jego biodrach. Poczuć ich twardość i siłę. Przyciągnąć je do siebie...

Naciągnęła poduszkę na twarz i przycisnęła do ust. Niemożliwe, że o tym myśli. O kajdankach w sypialni matki. Że się zastanawia, jak to jest, mieć je na rękach. Jak to jest, założyć je Jackowi.

Bała się poruszyć. Pulsujące napięcie było nie do zniesienia. Jeszcze chwila i rzuci się na Jacka jak nimfomanka.

W myślach drwiła z samej siebie, ale nic nie skutkowało. Miała wrażenie, że ciało ją zdradziło, a umysł dołączył do

spisku. I pomyśleć, że śmiała się z ludzi, którzy twierdzili, że nie mogą się opanować.

Jack jest tak blisko. Chciała go zawołać, powstrzymała ją jedynie mglista świadomość, że po wszystkim zostanie upokorzenie.

Nagle materac ugiął się pod ciężarem. Podskoczyła, odrzuciła poduszkę z twarzy. Latarka wypełniła pokój mdłym żółtym światłem. Jack siedział obok niej.

- Dzięki Bogu - odezwał się. - Już myślałem, że się udusiłaś.

O, nie, jest zbyt blisko.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - ciągnął - szedłem do łazienki i zobaczyłem cię z poduszką na głowie. Co to było? Próba samobójstwa?

Oszalał czy co? Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Co gorsza, dyszała ciężko. Umarłaby ze wstydu, gdyby nie pulsujące pożądanie. Gdyby nie czuła się tak bezbronna.

- Wszystko w porządku? - Mówił ochryple, niewyraźnie. Jakby czuł to samo co ona. Ostrzegawczy sygnał w głowie był cichy, łatwo go zignorować.

- Jesteś okropna - stwierdził, ale gorąca nuta w głosie pozbawiła słowa wszelkiego jadu.

- Ty też - wykrztusiła z trudem. Teraz także język odmawiał współpracy.

- Przynajmniej w jednym się zgadzamy. - Pochylił się niżej i zajrzał jej w oczy. Światło latarki słabło z każdą chwilą, ale i tak dostrzegła płomień w jego oczach. Czuła na sobie jego gorące spojrzenie.

- Wydaje mi się - szepnęła, a każde słowo zdawało się drażnić zakończenia jej nerwów - że zgodzimy się jeszcze w innej kwestii.

Miała wrażenie, że jego myśli biegną tym samym torem. Jęknęła cicho, zanim jej mózg rozpułynał się zupełnie. Nie mogła się ruszyć. Mogła tylko czekać. Mieć nadzieję. Pragnąć.

Jego twarz była coraz bliżej, oddech pieścił policzki... A potem, cud nad cudy, poczuła na wargach jego usta, silne i ciepłe, odpowiedź na jej prośby. Jego zapach. Jego dotyk. Nieogolony policzek przy jej skórze. Jego usta: szukają, ale nie żądają, jego zapach, jego cudowny ciężar, gdy pochylił się jeszcze niżej...

Pragnęła coraz więcej. Pragnęła go całą sobą. Zapomniała kim jest, kim jest Jack. Nieważne, ile toporów wojennych muszą zakopać. Wiedziała tylko, że chce, by ta chwila trwała wiecznie.

Niestety, szybko podniósł głowę. Światło latarki zgaśnie lada chwila, ale widziała kontury jego twarzy. Dotknął jej policzka, odgarnął kosmyk za ucho.

- Proponuję zawieszenie broni - szepnął ochryple.

A potem, zanim zdołała wykrztusić choćby słowo, wstał i wrócił na kanapę.

Leżała bez ruchu i słuchała, jak się wierci. W końcu zasnął. Ona nie zmrużyła oka przez długi, długi czas. Właśnie zdała sobie sprawę, że wpakowała się w straszne tarapaty.

Ranek przyniósł szare chmury i monotonną mżawkę. Jack wstał pierwszy i poszedł zobaczyć, jak się przedstawia sytuacja na dworze. Był w ponurym nastroju; złościł się na siebie, że wieczorem nie miał tyle przytomności umysłu, by zabrać czyste ubranie z pokoju rodziny Ernesta. Teraz oddałby wiele za bliskie spotkanie z gorącą wodą i szczoteczką do zębów.

Ciepłej wody nie było, bo nadal nie włączyli prądu. Prowizorycznie wyszorował zęby palcem i poczuł się odrobinę lepiej. Wyszedł na dwór.

Świat był odmieniony. Na schludnym, dopiero co skoszonym trawniku, poniewierały się kawałki plastiku i papieru, połamane liście palmowe, gałęzie drzew. Nic poważnego, zwykły bałagan.

Wyjrzał na ulicę. Wygląda nieźle, jeśli nie liczyć połamanych gałęzi i wody stojącej w każdym zagłębieniu. Wszystkie dachy sana miejscu, okna zabite deskami.

Na rogu wiatr wyrwał dąb z korzeniami, ale na szczęście drzewo upadło na jezdnię, nie na dom. W sumie Bluebird Lane wyszła obronną ręką z huraganu. Ciekawe, jak wygląda plaża.

Zastanawiał się, w jakiś sposób pozbędą się Ernesta, teraz, gdy minęło niebezpieczeństwo. Philpottem się nie przejmował: pewnie sam już chce do domu. Ernesto to co innego.

Zatrzymał się, by spojrzeć na dach domu. W tej chwili nowa myśl przyszła mu do głowy. Jednak Ernesto tu, w Paradise Beach to dziwny zbieg okoliczności. I trudno uwierzyć, że wyrzucono ich z motelu już po zamknięciu mostu.

Nie, powiedział sobie stanowczo. Zbyt wiele wskazuje na to, że Steve i Brigitte wyjechali na urlop i zaaranżowali całą tę sytuację. Zresztą Ernesto to tylko mała płotka, nie ma takich powiązań. Gdyby w grę wchodził kartel z Kolumbii, o, to co innego. Ale Ernesto? Ernesto, drobny dealer, który zaopatrywał się u niewiele większego handlarza w jasnozielonym cadillaku seville, rocznik 1987? Nie, Ernesto nie mógłby mieć nic wspólnego z porwaniem.

Może jednak Tess miała rację, zarzucając mu manię prześladowczą. I co z tego? Może styl życia rzucił mu się na mózg. Może powinien to wszystko jeszcze przemyśleć: czy warto oglądać się za siebie do końca życia?

A może po prostu traci rozum. To bardzo prawdopodobne, zwłaszcza, że wczoraj pocałował Tess. Trudno o lepszy dowód obłąkania.

Wyciągnął z garażu pojemnik na śmiecie i zabrał się za sprzątanie. Przynajmniej uniknie spotkania z Tess. Po tym nieszczęsnym pocałunku na pewno miałyby ochotę obedrzeć go ze skóry albo żywcem ugotować w gorącym oleju. Kobiety jej pokroju nie pozwalają, by takie zuchwalstwo uszło płazem.

Zuchwalstwo? Jezu, w życiu nie używał takich słów. Brzmi zupełnie jak jeden z jej epitetów. Czy wyzwala go kiedyś od zuchwalców? Nie pamiętał, ale to zdecydowanie obelga w jej stylu.

Zebrał dwa pojemniki śmieci. Rozważał właśnie, czy nie zakraść się do domu po worki, gdy drzwi otworzyły się i Tess stanęła na progu.

Przebrała się i uczesała, ale chyba była w równie kiepskim humorze jak on.

- Strasznie wilgotno - mruknęła, podchodząc do niego. - W domu też, zauważyłeś? Jak w namiocie.

- Może niedługo włączą prąd.

- Oby tylko słońce nie wyszło, bo ugotujemy się żywcem.

- Tak.

W końcu spojrzała mu w oczy.

- Wiesz, że mokniesz?

- Ty też.

- Cóż... - Wahala się, splotła ramiona na piersi, utkwiała wzrok w ziemi.

- Zastanawiałam się, co ci się stało. No wiesz, zobaczyłam, że nie ma cię w domu, wyszłam, a ty stoisz na deszczu i mokniesz... - Urwała, jakby zdała sobie sprawę, że mówi zbyt dużo.

Nie mógł nic na to poradzić. Naprawdę chciał być spokojny i delikatny, jak prawdziwy współczesny mężczyzna, ale poczuł tylko szczerze zadowolenie. Rozpromienił się.

- Szukałaś mnie!

Podniosła na niego wzrok. Na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka - zapewne podatnicy błędą ze strachu na ten widok.

- Wcale nie!

- Nie?

- Nie! Chciałam tylko zapytać, co twoim zdaniem mamy zrobić ze śniadaniem dla bandy.

- Śniadaniem? Chciałaś mnie zapytać o śniadanie? Jestem załamany.

Przez chwilę wydawało mu się, że widzi błysk rozbawienia w jej oczach.

Wbrew sobie nie posiadał się z zachwytu.

- O śniadanie - powtórzyła skromnie. - Nie mamy prądu, za to bandę głodnych ludzi do wykarmienia. Chciałam się poradzić.

- Mam pomysł. - Otrzeptał ręce z brudu. - Chodź.

Zawahała się, jakby rozważała, czy się nie sprzeciwić. W głębi ducha Jack miał nadzieję, że znów się pokłóca. Wtedy łatwiej by było zachować bezpieczny dystans. Ona jednak tylko wzruszyła ramionami i poszła za nim.

Ernesto i jego żona siedzieli w salonie, za stołem, przy lampie naftowej, jakby na coś czekali.

- Jesteśmy głodni - oznajmił Ernesto.

- Gdzie dziecko? - zapytał Jack.

- Śpi.

- Dobrze. Zakładajcie buty.

- Buty?

- Chcecie jeść, musicie pomóc.

- Ej, chwilę, człowieku...

Jack spojrzął na Ernesta lodowatym wzrokiem.

- To nie hotel, Ernesto. Nie masz co liczyć na nocleg i wikt za darmo. Jeśli chcecie jeść, musicie pomóc.

- Oczywiście - odezwał się Hadley Philpott za ich plecami. Nie słyszeli, kiedy wszedł. - Co mamy zrobić?

Jack wcale nie chciał, by starszy pan coś robił, ale nie wiedział, jak to powiedzieć, nie sprawiając mu przykrości. - Musimy zdjąć deski z okien, żeby nie było tu tak ciemno. Później pomyślimy o śniadaniu.

- Niewolnicza harówka - burknął Ernesto.

- Wcale nie - Philpott poklepał go po ramieniu. - Handel wymienny. Jedzenie za pracę. Stare jak świat.

Jack wyprowadził swoich pomocników na dwór. Tess poszła za nimi, ale poradził, żeby lepiej zapędziła Julię do zmiany pościeli.

Sąsiedzi zajmowali się tym samym i Jack bez skrupułów zagonił swoją drużynę do pomocy, gdy uporali się już z domem Wrightów.

- A śniadanie? - jęczał Ernesto.
- Zaostrzamy sobie apetyt - pocieszył Hadley.
- Chcę tylko wiedzieć, co wiecie o moich rodzicach - odezwał się Jack.

Zdejmowali właśnie ostatnie deski z okien w domu Masonów. Także pozostałe domy przy ich ulicy wyglądały już normalnie.

- Wracamy do tego? - Ernesto aż tupnął. - Nie do wiary! Już ci mówiłem, że nic nie wiem o żadnym porwaniu!

- Porwaniu? - Philpott zaniepokoił się wyraźnie. - Czy ich porwano? Myślałem, że po prostu pojechali sobie na Arubę czy St. Kitts.

Jack był przy nim w mgnieniu oka.

- Gdzie? Gdzie pan powiedział?

Zaskoczony, Philpott zamrugał szybko.

- No właśnie. Nie wiem, dokąd się wybierali. Pamiętam tylko, że gdzieś na Karaiby, ale tam jest tyle tych wysp... Ja osobiście wolę Europę. Brigitte przyznała mi rację w tym względzie, choć ona kocha Paryż, a Steve woli Londyn.

- Więc dlaczego polecili na Karaiby? - zainteresował się Jack.

Philpott smutno pokręcił głową.

- Naprawdę nie wiem. Za to pamiętam, że zdziwił mnie entuzjazm Brigitte dla tego pomysłu.

- Dlaczego nam pan tego wczoraj nie powiedział?

Wzruszył ramionami.

- Mary kazała mi powiedzieć to, co już wiecie. Uznała, że tylko to jest ważne.

I może miała rację, przyznał Jack.

- Czy rodzice mówili Mary o planowanej podróży?

- Nie mam pojęcia.

- Ale jest pan pewien, że powiedzieli St. Kitts albo Aruba?

- Nie, właśnie nie. Jeśli o mnie chodzi, to mogło być St. Croix. Dla mnie to wszystko jedno. - Philpott westchnął głośno.

-Naprawdę mi przykro, Jack, ale właściwie nie wiem nawet, czy w ogóle wymienili konkretną wyspę.

Jack poczuł się jak przekłuty balon.

Zanieśli deski do garażu Masonów, wysłuchali wylewnych podziękowań i wrócili do domu Wrightów.

Julia dąsała się, bo Tess zapędziła ją do pracy. Jack był już pewien, że Ernesto z rodziną wyjedzie przy pierwszej okazji.

O to właśnie mu chodziło. Nie miał nic przeciwko udzieleniu im schronienia, ale okazali się bardzo wymagający jak na nieproszonych gości. Już on zadba, by nie zostali ani chwili dłużej niż trzeba.

Okazało się, że przy świetle dziennym życie jest o wiele prostsze. Wyszedł na patio i rozpałił grilla. Brigitte, dzięki Bogu, wolała kawę po turecku od tej z ekspresu, więc bez problemów zagotowali garnek wody i wkrótce każdy dostał kubek gorącego napoju. Humory zaraz się poprawiły, choć gorąca kawa nie jest może najlepszym napojem na duszny, parny ranek.

- Takie huragany nie zdarzają się zazwyczaj o tej porze roku - zauważył Philpott.

- Tak, ale pamięta pan huragan Bez Imienia? - Przypomniał Jack.

- Prawda. Święta prawda. Huragan w marcu. Sparaliżował całe Wschodnie Wybrzeże.

Tess odstawiła kubek na stół i zniknęła w głębi domu. Wróciła po kilku minutach z wielką patelnią.

- Nie wiem jak wy, ale ja umieram z głodu. Ktoś mi pomoże?

Nie brakowało chętnych. Nawet Ernesto był gotów pomóc, jeśli chodziło o jedzenie.

Godzinę później zajadali jajecznicę z kiełbaskami i tosty odgrzane na patelni. Niezły posiłek. Byli zadowoleni i spokojni. I właśnie wtedy Ernesto zapytał:

- Więc co takiego zrobiliście, że rodzice od was uciekli?

Rozdział 11

Miał rację, wiesz o tym - stwierdziła ponuro Tess trochę później. Ona i Jack zmywali w kuchni naczynia. Philpott poszedł do domu, gdy tylko pogoda się poprawiła. Ernesto i jego rodzina poszli zobaczyć, jak wygląda sytuacja w motelu.

- Kto?

- Ernesto. Kiedy zapytał, co takiego zrobiliśmy, że rodzice od nas uciekli.

- Nasi rodzice uciekli z domu - powtórzył Jack, jakby chcąc usłyszeć te słowa na głos. - Brzmi nieciekawie, przyznaję.

- Okropnie.

- Więc może to nie to.

Spojrzała na niego przez ramię. Stał przy szafce, wycierał filizankę.

- Wiesz - zauważył - zimna woda nie nadaje się do zmywania. Nie można później porządnie wytrzeć.

- Nie będę czekała, aż wszystko zaschnie.

- Więc - ciągle na niego patrzyła. - Co to ma znaczyć: może to nie to?

- Nie wiem, już tracę głowę. - Pokręcił głową, sięgnął po talerz. - Najpierw dowiadujemy się, że zniknęli. Może wpakowali się w kłopoty gdzieś na końcu świata. Ale gdyby tak było, wiedzielibyśmy już.

- Jesteś pewien?

- Tak. Do tej pory zwróciliby się już do kogoś z prośbą o pomoc. Zresztą, czy naprawdę mogli się wpakować w coś poważnego?

Tess pomyślała o matce i wzdrygnęła się.

- Lepiej nie pytaj.

- No tak, ale Steve jest z nią. Sama wiesz, że jeśli chce, potrafi okiełznać twoją matkę.

Skinęła twierdząco głową, choć wcale nie była taka pewna.

- Mam po dziurki w nosie kręcenia się w kółko - oznajmił.
- Wałkujemy wciąż te same dane i nic z tego nie wynika. Wiemy, że polecili samolotem, bo tak ci powiedziała Brigitte. Są na Karaibach, potwierdziły to dwa niezależne źródła.

- O ile możesz to nazwać potwierdzeniem. Wzruszył ramionami.

- Nie mamy nic więcej. To nam musi wystarczyć.

- W porządku.

- Pojechali na urlop na Karaiby. Niepokojące, że nie przesłali nam planu podróży, że w ogóle nam o tym nie powiedzieli.

- Tak.

- Czyli mieli powody, by nas nie informować. I tym sposobem wracamy do naszego przyjaciela Hadleya Philpotta i tego, co powiedziała mu Brigitte.

Tess umyła ostatni talerz, położyła go na suszarce. Wytarła rękę w mały ręcznik.

- To mi wygląda na spisek - powiedziała w końcu. - I na robotę Brigitte.

- No właśnie. I według mnie, albo nie znaleźliśmy wszystkich wskazówek, które nam zostawili, albo Brigitte coś schrzaniła.

Tess się najeżyła.

- Zakładasz, że to pomysł mojej matki?

Jack się uśmiechnął.

- Słuchaj, Mała, kocham ojca, ale wiem, że nigdy w życiu nie wpadłby na taki plan. Ten facet zawsze trzyma się wyznaczonych granic.

- A moja matka nie - przyznała ze smutkiem. W domu, w Chicago, o wiele łatwiej było docenić fantazję matki. Łatwiej niż teraz, gdy sama stała się obiektem jej rozgrywki.

- Poza tym - dodał Jack - to wszystko, co mamy. I właśnie to mnie doprowadza do szału - że nie mamy nic więcej. Hadley wymienił St. Kitts i Arubę, ale to zbyt proste.

Tess odsunęła krzesło od stołu i usiadła, opierając podbródek na rękę.

- Dlaczego? Czemu mieliby wymyślić coś trudniejszego?
- Coś na tyle trudnego, żebyśmy przestali walczyć, a zaczęli współpracować.

- Przecież to robimy.

Uniósł brew.

- I ty w to wierzysz? No, nie. Ale miała dosyć zamknięcia w domu bez klimatyzacji - to cud, że jeszcze nie porosła pleśnią, bez światła, prądu, ciepłej wody, telewizji. Miała dosyć rozważań, czym zasłużyła na taką karę.

- Zabiję ją - oznajmiła.

- Może ci pomogę. - Rzucił ścierkę na stół, odsunął sobie krzesło i usiadł koło niej. - Moim zdaniem nie byliśmy tacy najgorsi.

- Pewnie że nie.

- Porządna kłótnia czasem dobrze robi.

- Jasne. Poprawia krążenie. Cholera! - wybuchła. - Zepsuli mi Święto Dziękczynienia!

- A miałaś jakieś plany? - zapytał z widocznym zdumieniem.

- Tak, miałam - warknęła. - Z grupą znajomych z pracy wynajęliśmy dom w Wisconsin, nad jeziorem. Chcieliśmy jeździć na biegówkach, siedzieć przy kominku, upiec wielkiego indyka... A teraz nic z tego.

- Możesz pojechać - zaproponował. - Ja będę dalej szukał. Nie ma sensu, żebyśmy siedzieli tu oboje.

Nie posiadała się z oburzenia.

- To żart? Zwariowałeś? Nie mogę sobie tak po prostu wyjechać, nie wiedząc, co się z nimi stało!

- Przecież jesteśmy prawie pewni, że robią nam psikusa.

- A jeśli nie? Miejże trochę wiary we mnie, Jack.

- Ależ wierzę w ciebie - zapewnił pospiesznie - tylko że jesteś tutaj zbędna.

- Zbędna! - Spojrzała na niego z oburzeniem. Wydawało jej się, że dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach.

- No tak. Robimy dokładnie to samo, więc jedno z nas może sobie darować.

- O Boże! - Jęknęła. - Czy ty aby na pewno nie pracujesz dla urzędu podatkowego?

Umilkł na chwilę.

- Owszem, przez cztery czy pięć miesięcy w roku. Jak wszyscy w tym kraju.

- Och, daj spokój, to nieistotne, tylko przestań gadać jak liczykrupa.

- Liczykrupa! - W jego oczach migotało rozbawienie. - Ja? A gdzie plażowy obibok? I kryminalista?

Łypnęła wrogo.

- Może po prostu powiesz mi, jak zarabiasz na życie, i rozwiejesz wszystkie wątpliwości.

- Ale właśnie o to chodzi - wyjaśnił, pochylając się w jej stronę - że gdybym ci powiedział, nie byłoby to takie zabawne.

Dawniej od razu połknęłaby przynętę, ale tym razem milczała. Był tak blisko, że czuła jego oddech na policzku. Nagle cofnęła się w czasie, leżała w łóżku, jak poprzedniej nocy, i czuła jego usta na swoich.

Zmienił się wyraz jego twarzy. Widziała, kiedy to się stało, i wiedziała, że czyta w jej myślach jak w książce. Ogarnęła ją panika, ale nawet wtedy nie wyzwoliła się spod jego uroku.

- Znajdziemy ich, Tess. Nieważne, jakim kosztem. Obiecuję - powiedział.

Jego głos zdawał się o oktawę niższy i miękki. Zmysłowy. Uwodzicielski.

Skinęła głową. Nie zapytała nawet, na jakiej podstawie składa takie obietnice. Wpatrywała się w niego jak zauroczona nastolatka. Jack zamrugał gwałtownie i odsunął się, jakby i on odzyskał zdrowy rozsądek.

Staął przy piecu.

- Zawieszenie broni - powiedział desperacko. - Ogłosmy zawieszenie broni, przynajmniej tymczasowo.

- Dobrze. - Nie stać jej na nic więcej.

- A jeśli chodzi o szanownych rodziców... - Pokręcił głową. - Na pewno zostawili jakieś wskazówki. Inaczej to wszystko nie ma sensu.

- Już to mówiłeś. Przeszukaliśmy ich sypialnię. - Zarumieniała się na samo wspomnienie. - I nic. Zero.

- To znaczy, że szukaliśmy w niewłaściwym miejscu. Pamiętasz, jak Brigitte urządziła przyjęcia z szukaniem skarbów? Z szatańską satysfakcją ukrywała wskazówki w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach.

- Fakt. Mnie się najbardziej spodobała rura wydechowa.

- Ja wolalem rynny.

Pokręciła głową.

- Nie, zawsze się bałam, że ktoś spadnie.

- Czy ty aby na pewno nie pracujesz dla towarzystwa ubezpieczeniowego?

Zirytowana, zarumieniała się.

- Może zajmijmy się ważniejszymi sprawami?

- Myślałem, że właśnie to robimy. Niestety, Brigitte jest nieprzewidywalna. Wszystkiego można się po niej spodziewać.

Spojrzała na niego spod oka.

- No dobra, więc co proponujesz? Sprawdzić rynny? Strych? Garaż?

- Wszystko.

Nie wiedziała, płakać czy uciekać. Ale nie spocznie, póki nie znajdzie rodziców, choć to tylko głupia zabawa.

A jeśli Brigitte naprawdę to wszystko wymyśliła, nigdy jej nie daruje. Nigdy.

- Nie jest tak źle - pocieszył Jack. - Zajmę się najbrudniejszą robotą.

- Nie obawiam się brudu!

- Nie? - Przyjrzał się jej dziewiczo białym szortom i żółtej bluzeczce. - Więc czego?

- Po prostu nie mam ochoty.
- Ja też nie, Mała. Ja też nie.

Najpierw przeszukali rezerwuary w toaletach.

- Nigdy bym na to sama nie wpadła - stwierdziła Tess.
- To doskonała kryjówka - wyjaśnił. - Ludzie chowają tam narkotyki. Oczywiście, teraz, kiedy to powszechnie znane, nie jest to już najlepsze miejsce.

Nie zapytała, skąd to wie. Woląla nie wiedzieć. Uznała za to, że Jack posuwa się za daleko, gdy zaproponował, że rozkręci rury pod zlewem, żeby sprawdzić i tam.

- Daj spokój - zniecierpliwiła się. - Wyobrazasz sobie Brigitte przy czymś takim? Połamałaby sobie paznokcie.

- Ona tak, ale nie Steve. Myślisz, że nie dałby się namówić? Pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Nie, tego już za wiele. W zlewie na pewno nic nie ma. Jack wydawał się rozczarowany, jakby chciał rozkręcić całą hydraulikę w domu.

- No dobra. Zostawię to na koniec.

Zajrzeli pod poduszki na kanapie, potem, z wielkim wysiłkiem, przewrócili sofę do góry nogami.

- Za ciężko - zawyrokowała Tess, gdy mocowali się z solidnym meblem. - Nie zrobili tego.

- Może rzeczywiście nie. - Wytarł pot z czoła. - Jezu, oddałbym wszystko za klimatyzację.

Ona też. Ubranie kleiło się jej do ciała.

Pod kanapą nie było nic. Tess posłała Jackowi spojrzenie z serii: „A nie mówiłam?”. Odpowiedział wzruszeniem ramion.

Zajrzeli do szuflad, odwracali je do góry dnem. Przerzucali tygodniki strona po stronie, wytrząsali je, aż całą podłogę usłały ulotki i reklamy. Zaglądali pod krzesła w jadalni, przetrząsnęli szafki kuchenne, włązili nawet w krzaki i na drzewa.

W końcu został im tylko garaż. Byli zmęczeni, zniechęceni i głodni.

- Nie obchodzi mnie, czy ich znajdziemy - mruknęła Tess i opadła na ogrodowy leżak.

- Jakie to małoduszne.
- Nie bardziej niż ich numer. Przysiadł na sąsiednim leżaku.

- Królestwo za odrobinę lodu.
- Zobacz, może w lodówce jeszcze coś zostało.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

Akurat wtedy zza rogu wyłonił się lawendowy wózek golfowy z Mary Todd za kierownicą. Zatrzymała się tuż przed nimi, aż na asfalcie pozostały ślady opon.

- Dzień dobry - powitała ich, badawczo rozglądając się dokoła. – Znaleźliście ich?

Jack i Tess wymienili spojrzenia.

- Cześć, Mary - mruknął Jack.
- Cześć, Mary - zawtórowała Tess.
- Cześć, cześć - rzuciła Mary kwaśno. - Więc co ze zgubami? Wiecie gdzie są?

- Nie, nie wiemy - wysapała Tess.

- Niestety, nie - powtórzył Jack grzecznie.

- Hmm. - Mary oparła się na hebanowej lasce, wysiadła z lawendowego pojazdu i usiadła obok nich na leżaku.

- Ale Hadley przekazał wam wiadomość, tak? W Tess narastały podejrzenia. Mary za bardzo interesuje się tą sprawą.

- Tak. Był u nas przez całą noc, bo złapał go huragan.

- Phi! - zachnęła się Mary. - Mówiłam mu, żeby się nie ociągał, bo nie zdąży przed burzą. A swoją drogą, nie ma poważnych szkód. Przed chwilą jechałam bulwarem. Plaża jest chwilowo nie do użytku, ale niestety nie zalało nikogo nad samym morzem.

Zachichotała.

- To nawet nie był huragan. Porządny huragan zmiotłby z powierzchni ziemi ten cholerny motel, którego usiłuję się pozbyć. Niech to szlag.

Tess roześmiała się ze zdziwieniem.

- Ciekawe, czy to ten, w którym zatrzymał się Ernesto.

- Ernesto? - Mary spojrzała bystro.

- Znajomy Jacka.
- Ej, chwila! - Oburzył się. - To nie jest mój znajomy.
Poznałem go w pracy. Niestety.

- Więc co z nim? - Mary puściła jego słowa mimo uszu.
- No, nic - odparła Tess. - Nocował u nas z żoną i dzieckiem, bo wyrzucono ich z motelu. Podobno właściciel obawiał się, że ich zaleje. Tylko że zamknięto już most i nie mieli gdzie się podziąć.

- Hm - Mary przekrzywiła głowę. - Cały Dave Carr. Wpada w panikę w ostatniej chwili, gdy jest już za późno, i wyrzuca ludzi na bruk. To jeden z wielu powodów, dla których chcę się pozbyć tego motelu z mojej ziemi. Przez tego faceta okolica traci reputację. Ba, całe miasto.

- Nie możesz go po prostu wyrzucić? - Zdziwił się Jack. - Nie przedłużyć umowy dzierżawy?

- Niestety - Mary wzdrygnęła się z obrzydzeniem - w młodości byłam głupsza niż teraz. Lubiłam go, więc wydzierżawiłam mu teren na pięćdziesiąt lat. Minęło dopiero trzydzieści.

- Cóż - Jack uśmiechnął się złośliwie. - Jest nadzieja, że zmiecie go następny huragan.

- Liczę na to od trzydziestu lat. A on ciągle stoi. - Zatrzymała badawczy wzrok na Tess. - No, dziewczyno, jak słyszę, nadal się kłócisz z tym tu młodym ogierem.

Policzki Tess płonęły żywym ogniem. - Słucham? - odezwała się sztywno.

- Ha! - Spojrzenie Mary stało się jeszcze bardziej badawcze, o ile to w ogóle możliwe. - Nie zachowuj się wobec mnie jak wiktoriańska dama, dziewczyno. Nie robi to na mnie wrażenia.

Jack prychnął.

- Tobie też kojarzy się z epoką wiktoriańską?

Tess łypnęła na Jacka takim wzrokiem, że sama się zdziwiła, że nie stanął w płomieniach. Tylko się uśmiechnął.

Lecz teraz wzrok Mary skupił się na Jacku. Kolej na niego.

- Więc uważasz, że jest wiktoriańska, tak?
- Tylko przyznałem ci rację.
- Doprawdy? - Mary uniosła starannie wyskubaną brew. - Z doświadczenia wiem, że jeśli młody ogier zarzuca kobiecie wiktoriańskie zwyczaje, to dlatego, że ona nie wpuszcza go do łóżka.

Tess obawiała się, że jej policzki zaczną zaraz skwierczeć, tak były gorące. Jednak warto było pocierpieć, bo oto po raz pierwszy w historii rumieniec pojawił się także na twarzy Jacka. Trafiła kosa na kamień.

- I nie wmawiaj mi, że o tym nie myślałeś, chłopcze - upomniała Mary surowo. - Znam mężczyzn i wiem, że myślą wcale nie głową.

Tess czuła, że się dusi, nie wiedziała tylko, ze śmiechu czy ze złości.

- Wydaje mi się - Jack starannie podkreślał każde słowo - że już z tego wyrosłem.

- Czyżby? Więc czemu uważasz Tess za wiktoriańską damę?

- Mary, jeśli powiem jeszcze jedno słowo, zabije mnie.

Mary parsknęła suchym śmiechem.

- Dobrze. Doceniasz siłę kobiety.

- A jakże - przyznał. - Chodzi oto, żeby wodzić faceta za nos. A ty? Ilu masz pod ręką?

Mary zamrugała szybko, wyraźnie zdumiona, że ktoś odpłaca jej tą samą monetą.

- Nadajesz się - stwierdziła po chwili.

- Odpowiedz mi... chyba że się obawiasz.

- Och, skądże znowu - uśmiechnęła się szeroko. - Nie obawiam się. Owinęłam sobie biednego Teda dookoła palca, i to już sześćdziesiąt lat temu. Ale on to lubi.

- Albo tylko udaje - mruknął Jack. - Niewiele znam osób, które naprawdę lubią być wodzone za nos.

Uśmiechnęła się znacząco.

- Mój drogi ogierze, przecież sam do nich należysz.

Tess obserwowała ze zdumieniem, jak Jack zaczyna się śmiać. Właściwie dlaczego Mary ciągle nazywa go ogierem? Tess nie uważała się za eksperta w sprawach męsko-damskich, ale to nie jest raczej pochlebne określenie.

Ciemne oczy Mary ponownie spoczęły na niej. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, zanim Mary powie coś, od czego znowu się zarumieni. Odezwała się szybko:

- Może przypomniało ci się coś, co pomoże nam znaleźć rodziców?

Mary poprawiła się na leżaku, rozważając, czy pozwolić na zmianę tematu. Po chwili stwierdziła:

- Wiecie, czasami fascynacja objawia się wrogością. Tess się najeżyła. Po ustach Jacka błąkał się dziwny uśmiezek.

- Niby skąd wiesz? - zainteresowała się Tess. Mary nie zwracała na nią uwagi.

- Tak, tak, nieraz w życiu zachowywałam się wrogo tylko dlatego, że ktoś mi się podobał. Nie chciałam tracić kontroli.

Jack spojrział na Tess. Poczula na sobie jego badawczy wzrok, jakby rozważał słowa Mary.

Poruszyła się zniecierpliwiona.

- Wiesz, Mary, czasami ludzie się nie lubią i tyle. Jack mnie nienawidzi, ja go nie znoszę.

- Chwileczkę, Tess - obruszył się. - Mów za siebie. Nigdy nie powiedziałem, że cię nienawidzę.

- No, popatrz, dałam się nabrać. Od pierwszej chwili ze mnie kpiłeś. Ze wszystkiego. Z mojego imienia. Wzrostu.

- A ty doprowadzasz mnie do szału, kiedy wyzywasz mi od plażowych obiboków. Nieprzyzwoitych, aroganckich... Nie muszę chyba wymieniać wszystkich epitetów?

- Tylko dlatego, że powiedziałeś, że mam okropne imię! I nabijałeś się z mojego wzrostu!

- Oo - Mary była zachwycona. - Prawda wychodzi na jaw. Jack, dlaczego na Boga kpisz ze wzrostu tego dzieciaka?

- Nie jestem dzieckiem! - syknęła Tess przez zęby.

Mary nic nie powiedziała, tylko uniosła brwi. Po chwili Tess skurczyła się w sobie - to upokarzające, ale rzeczywiście zachowuje się jak dziecko.

- Oczywiście - mruknęła Mary -jako córka Brigitte... - Westchnęła. - Francuski temperament.

- Chwileczkę - wtrącił się Jack - Nie obrażajmy całych narodów, Mary. Brigitte - tak, wszystkich Francuzów - nie.

Tess posłała mu mordercze spojrzenie.

- Nikogo nie obrażam. - Dla podkreślenia swoich słów Mary waliła laską w podłogę. - Francuzi są wybuchowi. To nie jest obraza.

- Może zostawmy moją matkę w spokoju - Tess łypnęła na Jacka.

- Co za wielkoduszność - skomentował. - Zważywszy, że to ona stoi za tym wszystkim i pociąga za sznurki. Machiavelli z Paradise Beach. Richelieu z Florydy.

Mary roześmiała się głośno. Tess westchnęła znacząco.

- Nie przesadzajmy.

- Dlaczego nie? - Zdziwiła się Mary.-Brigitte zawsze lubiła wymyślać różne intrygi. To jedna z jej zalet. Zawsze mogę na nią liczyć w tym względzie. Oczywiście, rzadko korzystam z jej rad, bo mnie samej nie brakuje pomysłów, ale te kilka razy... Brigitte jest wręcz genialna.

Tess nie wiedziała, jak przyjąć ten wątpliwy komplement pod adresem matki.

- Jesteś dumna, że knujesz intrygi?

- Oczywiście! Pomyśl, jaki nudny byłby świat, gdyby wszyscy zachowywali się tak samo!

To bardzo oryginalny punkt widzenia, przemknęło Tess przez głowę.

- Więc czego nie powiedziałaś nam o ostatnim planie Brigitte? - zapytał Jack spokojnie.

Tess z satysfakcją dostrzegła zmieszanie Mary.

- Skąd ci przyszło do głowy, że coś wiem? - wykrztusiła w końcu.

- Daj spokój. Tkwisz w tym po uszy - uśmiechnął się.
- Skąd ten bzdurny pomysł?
- Sama to powiedziałaś.
- Ja? Nigdy w życiu! - zaprzeczyła, ale efekt popsuł błysk w oku i głośny śmiech.

- Posłuchaj - namawiał Jack. - Nie ma sensu trzymać nas w niepewności. Oboje musieliśmy zwolnić się z pracy...

Jack ma pracę?, zdumiała się Tess. Naprawdę ma pracę? Po raz pierwszy się z tym zdradził.

- Przyjechaliśmy tu - ciągnął - by błędzić po omacku. Odchodziliśmy od zmysłów ze zmartwienia, że coś im się stało...

- Coś im się stało? - Mary wpadła mu w słowo. - Naprawdę się tego obawialiście?

- Myśleliśmy, że ich porwano - wyjaśniła Tess. - Albo aresztowano. Mary znowu zaniósła się śmiechem.

- Współczuję temu, kto odważyłby się porwać Brigitte! Teraz, po chwili namysłu, Tess przyznała jej rację.

- To teraz nieistotne - zauważył Jack chłodno. - Jeśli coś wiesz, powiedz nam. Musimy zakończyć tę sprawę, zanim nas wyleją z pracy.

Mary przekrzywiła głowę, przyglądając się im obojgu na przemian.

- Nie - zdecydowała w końcu. - Nadal się kłóćcie.

Ciągle się śmiejąc pod nosem, wsiadła na lawendowy wózek golfowy i odjechała.

Rozdział 12

Wiesz, nie uwierzyłabym w to, gdyby chodziło o kogoś innego niż moja matka - zauważyła Tess. Siedzieli na patio. Na niebie kłębiły się deszczowe chmury.

- No tak - przyznał. - Ale jedno muszę ci powiedzieć.

- Co?

- Że kamień spadł mi z serca. Przynajmniej wiemy już, że na pewno nie wpadli w tarapaty.

- Rzeczywiście. - Ale wcale nie czuła się dużo lepiej. Niepewnie spojrzała na Jacka.

- Czy naprawdę jesteśmy aż tacy okropni? - Pożałowała tych słów, ledwie je powiedziała. Zdradzały jej brak pewności siebie, a to akurat chciała ukryć.

- Sam nie wiem. Może tak. W każdym razie Brigitte tak uważa. I mój ojciec też, skoro się na to zgodził.

- Cóż, zważywszy, że od kilku lat nie przyjeżdżałam na święta, żeby się z tobą nie kłócić...

Niesłychane. Nie podejrzewała się o taką bezpośredniość. Z drugiej strony, Jack ją prowokował. Reagowała instynktownie, jakby nie miała nad tym kontroli.

- Nabijałeś się z mojego imienia.

- Co? - Myślał, że się przesłyszał.

- Kiedy się poznaliśmy, nabijałeś się z mojego imienia.

- A ty z tego, że mieszkam z ojcem.

Spojrzeli na siebie ze zrozumieniem.

- Zgoda - stwierdził Jack po chwili. - Więc dlaczego jesteś Tess, nie Terry albo Teresa?

- Ojciec mnie tak nazywał. - Nielatwo cofnąć się tyle lat w przeszłość, ale starała się przypomnieć sobie, co czuła tamtego strasznego dnia. - Chyba ciągle się łudziłam, że moi rodzice do siebie wrócą, choć nie widziałam ojca ani razu przez dwa lata od rozwodu. W każdym razie kazałam mamie nazywać się Tess. I

byłam wściekła, że chce ponownie wyjść za męż. To oznaczało, że nie zejdzie się z ojcem. Dziecinada.

- Nie, dlaczego? To chyba normalne.

- Może. Sama nie wiem. - Westchnęła. - Jako piętnastolatka powinnam być bardziej dojrzała.

- Nie osądzaj się zbyt surowo.

- Dlaczego? Zasłużyłam na to. Zwłaszcza że powinnam być wściekła na twojego ojca, ale on był taki miły. I wszystko skrupiło się na tobie.

- Rozumiem.

Zerknęła na niego.

- Naprawdę?

- Pewnie. - Był wyraźnie speszony. - Nienawidziłem cię, bo ojciec tak cię rozpieszczał. Miałem wrażenie, że zajmujesz moje miejsce w rodzinie.

- O Boże, naprawdę? Nadal tak uważasz?

- Nie, skądże. Wydorostałem. Ale wtedy... Widzisz, przez prawie dziesięć lat starałem się zastąpić ojcu matkę. Gotowałem, sprzątałem, mieszkalem w domu, zabierałem go do kina, wysyłałem na przyjęcia, na które inaczej by nie poszedł... Głupie, nie? Chciałem wypełnić pustkę. A potem pojawiłaś się ty i nagle nie byłem już jedynym dzieckiem, a twoja matka zajęła się wszystkim... - Pokręcił głową, roześmiał się cicho. - Cały rok zajęło mi zrozumienie tego wszystkiego, wyobrażasz sobie? Czulem się okropnie i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

- Ja też. Nie znosiłam cię i tyle.

- Taak. - Gdy na nią spojrział, zobaczyła, że w kącikach oczu czai się uśmiech. -Ale teraz jesteśmy starsi i mądrzejsi, prawda?

Nie mogła się nie roześmiać.

- Nie byłabym tego taka pewna. Nadal się kłócimy.

- Tak, ale to taka świetna zabawa!

Potrząsnęła głową ze śmiechem. Rzeczywiście, jeśli Jack chce, jest wspaniałym towarzyszem. Ta myśl wzbudziła

niepokój, więc czym prędzej odepchnęła ją od siebie i skupiła się na ważniejszych sprawach:

- Ale nadal nie wiemy, co zrobimy. Może po prostu wrócimy do domu. Czemu chcesz dać Brigitte satysfakcję, że postawiła na swoim?

- Jesteś okrutna - stwierdził. - Nie mogłabyś zrobić czegoś takiego własnej matce.

- Owszem, mogłabym.

- Ja nie. Nie pozwolę, żeby uszło jej to na sucho.

- Jack, Jack, ujdzie jej na sucho, jeśli będziemy dalej ich szukać. Przecież jej właśnie o to chodzi, nie? Więc może jednak wyjedźmy.

Ale w jego oczach pojawił się surowy błysk. Niepokoił ją trochę.

- Nie - powtórzył. - Brigitte postawi na swoim, jeśli wyjedziemy. A ja się nie poddam.

Dziwna deklaracja jak na człowieka, którego zawsze miała za wyrzutka. I skąd przypuszczenie, że poddanie się to wygrana Brigitte?

Zastanawiała się nad tym, podczas gdy Jack pełzał po strychu przy świetle latarki, kłął na czym świat stoi i co chwila na coś wpadał.

Nagle wystawił głowę przez właz.

- Kiedy znajdziemy twoją matkę, zamienię z nią kilka słów.

- Proszę bardzo.

- Zanim skończę, uszy jej odpadną.

- Dobrze. A ja wygarnę twojemu ojcu.

- Święte słowa. - Powiedział z uznaniem i zniknął. Po chwili usłyszała głośne przekleństwo i głuchy łomot.

- Cholera!

- Wiesz, Jack, nie sądzę, żeby coś tam ukryła. Kolejne przekleństwo i głowa Jacka w otworze w suficie.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Wiadomo. Naprawdę myślisz, że Brigitte wlaźłaby tam na górę i robiła to co ty teraz?

- Brigitte nie, ale mój ojciec tak. Niechby spróbował odmówić, zamęczyłaby go na śmierć.

- Może masz rację.

- Zawsze mam rację. -I już go nie było. Dalsze łomoty. Głuche stuknięcie. Seria przekleństw.

Kiedy zszedł, był oblepiony kitem okiennym.

- Jesteś cały brudny - poinformowała go.

- Też mi nowina. Swędzi jak cholera.

- Weź prysznic.

Zszedł po drabinie, zamknął właz.

- Chyba zimny. Ciągłe nie ma ciepłej wody.

Nie miała litości.

- Tutaj woda nigdy nie jest naprawdę zimna. Poczujesz się jakbyś szedł popływać.

Właściwie to nie taki zły pomysł. Po całym dniu w upale miała wrażenie, że się cała klei.

- Fuj - mruknął z obrzydzeniem. - Pomożesz mi się tego pozbyć?

Intrygująca propozycja. Zarumieniła się. Z trudem skinęła głową i zabrała się za odrywanie różowych włókien. Przywarły mocno, więc nie miała wyjścia, musiała go dotykać. Przez koszulę poczuła, jak napina mięśnie.

- Odpręż się - poradziła z chłodem, którego nie było w jej sercu. – To się klei.

- Paskudztwo - burknął.

Wyłapała niemal niesłyszalne drżenie w jego głosie, ale starała się nie myśleć, co miało oznaczać. Starła się skupić na zadaniu, nie na wewnętrznym drżeniu, ilekroć dotykała jego silnych mięśni. Oczyszczyła całe plecy.

- Tu niżej też jest dużo... Nie wiem, czy sam sobie poradzisz...

- Nie przerywaj - powiedział spokojnie. Boże, to szaleństwo. I nawet nie wie, czy on czuje to samo. Tkwić w

pułapce takiej bliskości i nie wiedzieć, czy on jest tego świadom.

Jego pośladki są równie silne jak plecy, zauważyła od niechcienia. Nitka kitu przykleiła się w miejscu, które aż się prosiło o żartobliwe uszczypnięcie. Jej ręka była coraz bliżej, a nadal nie wiedziała, co zrobi. Wewnętrzna walka zamieniła się w rozkoszną torturę. Przypomniały się jej komiksy, gdzie anioł podpowiada z jednej, a diabeł z drugiej strony. Jeszcze sekunda i poczuła płótno szortów. Co będzie? Aniołek oderwie kit czy diabełek uszczypnie? Nie wiedziała.

- Au! - krzyknął.
- Ale się przykleiło!
- Nie ma sprawy.

Słyszała rozbawienie w jego głosie, tak jej się przynajmniej zdawało.

Zaczerwieniła się i natychmiast zgañała, że pozwala myślom błądzić w takich rejonach. Nic z tego. Diabełek wygrywał.

Ładne plecy, biodra, pośladki, nogi. Jest... apetyczny. Mary Todd nie minęła się z prawdą, nazywając go ogierem.

Tylko że nie zachowuje się jak ogier. Nieświadoma, że mówi na głos, zapytała:

- Zrobiło ci się głupio, kiedy Mary nazwała cię ogierem?

Gwałtownie odwrócił się do niej i nagle znalazła się twarzą w twarz z częścią męskiego ciała, której nie zwykła oglądać z takiej perspektywy. Wyprostowała się tak szybko, że zakręciło jej się w głowie.

- Wszystko w porządku? - Przytrzymał ją za ramię, żeby nie upadła.

- Tak, tylko... za szybko wstałam.
- Aha. - Uśmiechnął się diabelsko, jakby doskonale wiedział, dlaczego wstała tak szybko.

Zdecydowana za wszelką cenę nie dopuścić, by powiedział coś na ten temat, mruknęła:

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Wzruszył ramionami i pokręcił głową, ale nie wiadomo dlaczego cały czas patrzył jej w oczy.

- Nie - odparł nonszalancko, ale w jego głosie znowu pojawiła się ta dziwna nuta, jakby błędził myślami gdzie indziej:

- Ogier to tylko słowo, chociaż nie oddaje mojej natury.

- Tak? - Oddychała coraz głośniejsze. Miała wrażenie, że gdyby udało jej się oderwać wzrok od jego oczu, życie byłoby o wiele prostsze.

- To tylko słowo - powtórzył. - Co byś zrobiła, gdyby ktoś nazwał cię Dalila?

- Mnie? - Gdyby nie była zahipnotyzowana, parsknęłaby śmiechem. - Nie jestem Dalila.

- No widzisz, też tak zareagowałem - odparł. - Ale ty jesteś Dalila, wiesz o tym.

- Ja? Zwariowałeś? - Kiedy wypompowano całe powietrze z pokoju?

- Tak, ty - mruknął. Podszedł bliżej, tak blisko, że zaraz jej dotknie. - Jesteś kusicielką.

Ot, tak, nastrój prysł.

- Kusicielką? Ja? - Parsknęła śmiechem. - Ja? - powtórzyła.

Mało brakowało, a postawiłby na swoim, ale przesadził, powiedział taką bzdurę, że nawet nie mogła się obrazić.

- Nie przesadzaj - poradziła, ocierając łzy. Spojrzała na niego, spodziewając się zmieszania, rozczarowania, czegokolwiek, tylko nie tego, co zobaczyła.

Był urażony. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. W jego włosach nadal tkwiły włókna kitu.

Urażony? Zdumiona, odprowadzała go wzrokiem.

Jack palnął głupstwo i wiedział o tym. Co mu strzeliło do głowy? Takich rzeczy nie mówi się kobiecie, która najchętniej usmażyłaby cię na wolnym ogniu.

Najwyraźniej jego umysł szwankuje.

W końcu to nic nowego. W towarzystwie Tess jego umysł zawsze szwankował. Czasami porównywał swój mózg do paska magnetycznego albo do dyskietki, a Tess do potężnego magnesu. Wystarczy, by koło niego przeszła, i wszystkie starannie posegregowane szare komórki poniewierają się w nieładzie.

Dlaczego?

Dopiero gdy zadał sobie to pytanie, zdał sobie sprawę, że wcale nie chce poznać odpowiedzi. Co więcej, byłby szczęśliwszy, gdyby pozostała dla niego tajemnicą do końca życia.

Ale Tess zajmowała go za bardzo, by porzucić ten temat.

Nie żeby jej nienawidził, nie do końca. Właściwie nawet ją lubi, tylko że... Jej bliskość jakoś tak na niego działa... Kompletnie wytrąca z równowagi. Ale nie jak ktoś, kogo się nie znosi.

Nie, raczej jak ktoś, kogo... się boi. Jezu! Gwałtownie uniósł głowę. Boi się? Tess? W ciągu minionych lat poznał ludzi, których się bał, i Tess nie dorastała im do pięt.

Tak, ale to inny strach, inne zagrożenie, powiedział spokojny głosik gdzieś wewnątrz jego obolałej głowy.

Poza tym, przyznał przed sobą, wstydzi się trochę, że Tess budzi w nim takie uczucia. Jakby nie było, to tylko mała, wkurzająca siostra przyrodnia. Dodatek do Brigitte, miłości jego ojca. Gdyby nie rodzice, on i Tess rozstaliby się na dobre piętnaście lat temu, szczęśliwi, że nie muszą się więcej oglądać.

Lecz Brigitte i Steve upierali się, że mają stworzyć jedną wielką szczęśliwą rodzinę, przynajmniej na czas świąt. Bomba.

Może problem tkwił nie tyle w charakterach jego i Tess, co w narzuconych im rolach. Gdyby rodzice dali im spokój, może nie byłoby między nimi tej antypatii. Lecz Brigitte i Steve uparcie chcieli wcisnąć ich w niedobre kostiumy szczęśliwego rodzeństwa.

Bo w gruncie rzeczy Mała nie jest taka zła. Och, trochę sztywna, zawsze wyobraża ją sobie w czarnej sukni

zasznurowanej do granic możliwości, w białym czepku. Niedotykalną.

A mimo tego nazwał ją Dalila. Świetnie, Jack. Po prostu świetnie.

Zamknął oczy i przypomniał sobie, jak to było, gdy ją wczoraj pocałował. Przypomniał sobie niemal namacalną atmosferę pożądania, która zdawała się ją otaczać. Nagle przyłapał się na rozważaniach, co zrobić, żeby ją trochę rozluźnić i poznać prawdziwą Tess Morrow.

Wiedział jednak, co pożądanie robi z rozumem. I tylko o to chodzi. Fakt, że od lat nie pożądał żadnej kobiety z taką mocą nie znaczy, że nie jest do tego zdolny. No proszę, a on już myślał, że dorosłość wyzwoliła go z dominacji innych części ciała nad rozumem.

Śmiechu warte.

Tylko dlaczego dawniej go tak nie pociągała? Co się zmieniło?

I wtedy zrozumiał: tym razem nie ma tu Steve'a i Brigitte, by mu przypominali o jego roli w tej dziwacznej rodzinie. Tym razem nikt nie narzuca mu roli brata.

Bez rodziców on i Tess to kobieta i mężczyzna, którzy wcale się dobrze nie znają. Nic dziwnego, że narodziło się pożądanie.

Bo Tess jest bardzo atrakcyjna. Te wielkie niebieskie oczy... Gdyby nie uważał, zatonałby w ich głębi. Może dlatego zawsze mu się wydawało, że w jej pobliżu musi mieć się na baczności. Musi być ostrożny. Bardzo ostrożny.

Usłyszał, że do niego podchodzi, i zmełł przekleństwo pod nosem. Musi się stąd wyrwać na kilka godzin. Musi odpocząć, żeby odzyskać zdrowy rozsądek. Tymczasem stoi sobie przy oknie, jakby miał tyle rozumu co komar, i czeka, aż do niego podejdzie, ona i pokusa razem z nią.

- Jack?

- Co jest? - burknął i aż się zdziwił, słysząc, jak ostro to zabrzmiało.

- Przepraszam - odparła. Tego się nie spodziewał. Zdumiony, odwrócił się na pięcie.

- Za co?

- Że się śmiałam. Nie chciałam cię urazić.

Urazić go? Już miał zaprzeczyć, gdy zrozumiał dwie rzeczy. Po pierwsze - rzeczywiście poczuł się urażony jej reakcją. Po drugie, spodobał mu się wyraz troski na jej twarzy.

- W porządku - mruknął. Zabrzmiało to niezłe, ale nie było szczere.

- Nie, nie w porządku - uparła się. - Chyba nie rozumiesz, czemu się śmiałam. Nie z ciebie.

- Więc co cię tak rozbawiło?

- Sam pomyśl, że jestem kusicielką. - Zarumieniła się.

- Sam wiesz, że to śmieszne - powiedziała. - Ja i Dalila, też coś! Więc się roześmiałam. Ale nie śmiałam się z ciebie, Jack. To miło z twojej strony, że chciałeś sprawić mi przyjemność.

Wcale nie zamierzał sprawić jej przyjemności. Powiedział tylko to, co naprawdę myślał.

Gdy na nią spojrział, dostrzegł, jak bardzo się zmienia, gdy się o kogoś martwi. Niebieskie oczy patrzyły ciepło, miękko. Złagodniała. Lubił taką Tess.

Przeraził się jeszcze bardziej. Co innego jej pragnąć, co innego ją lubić.

- W porządku - powtórzył. - Chciałem tylko, żebyś przyznała, że na mnie lecisz.

Nie mógłby wymyślić nic gorszego. Za ten tekst przyznałby sobie tytuł Męskiej Szowinistycznej Świni Roku. I podziałało jak magiczne zaklęcie.

- Jak możesz, ty obrzydliwy padalcu! Wstrętny robalu!

- Niezłe - skomentował z uśmiechem. - Jesteś coraz bardziej kreatywna.

- Zamknij się! - Odwróciła się i uciekła. Został sam z myślami i bolesnym poczuciem samotności.

Mężczyźni, zżymała się Tess, idąc do domu. Paskudne kreatury. Prędzej czy później z każdego wyłazi świnia. Nigdy nie miała o Jacku dobrego zdania, więc nie powinna się dziwić, ale tym razem przeszedł sam siebie.

Miała przyznać, że jej się podoba? Prędzej będzie stąpać po rozżarzonych węglach. Prędzej wykopie tunel do Chin, przepłynie Atlantyk w pław!

A najgorsze, że miał rację. Rzeczywiście na niego leci.

Cóż, najlepszy dowód na to, że ma nierówno pod sufitem. Jak może pociągać ją mężczyzna, który uosabia wszystkie wady swojej płci? Mężczyzna, który wykonuje pracę tak okropną, że wstydzi się o niej rozmawiać? Który wygaduje takie rzeczy? Ma taki okropny gust?

Nie spodziewała się tego. W ciągu minionych lat umawiała się z wieloma mężczyznami, ale zrywała po kilku randkach, zazwyczaj dlatego, że ciągnęli ją do łóżka i prędzej czy później okazywali się nie lepsi niż inni przedstawiciele gatunku. Życie jest wystarczająco skomplikowane bez małżeństwa z chodzącym kłopotem.

Zdawała sobie sprawę, że na jej obecny stosunek do mężczyzn wpłynęła postawa ojca, który nie odwiedził jej ani razu od rozwodu. Och, owszem, przysyłał prezenty na urodziny i Gwiazdkę, ale nie starał się nawet z nią spotkać.

Nie ufała mężczyznom. Przyznała to otwarcie, wiedziała nawet, że prawdopodobnie krzywdzi tą opinią większość mężczyzn na ziemi. I tylko dlatego w ogóle umawiała się na randki.

Lecz prędzej czy później wszyscy potwierdzili jej obawy. A Jack był okropny od początku, więc skąd poczucie, że ją rozczarował?

A tak właśnie się czuła.

Boże, jak bardzo chciała znaleźć się w Chicago, z dala od tego wszystkiego. Wyszło słońce i na dworze znowu królowała tandetna zieleń. Nie znosiła tego. Tęskniła za szarością.

Mżawką. Śniegiem. Za wszystkim, byle dalej od słońca i zieleni, i lata.

Wyprostowała się. Powie Jackowi, że muszą przestać się kłócić i skupić na ważniejszych sprawach.

Był tuż za nią. Wpadła na niego, trafiła nosem w guzik jego koszulki.

- Musisz wziąć prysznic - stwierdziła, ledwie poczuła jego zapach. Przyjemny zapach, który działał na jej zmysły.

- Naprawdę? - Podniósł rękę, pociągnął nosem. - Niczego nie czuję.

- Oczywiście. Słuchaj, Mary Todd wie, gdzie oni są.

- Wiem. Chciałem cię przeprosić.

- Za co? - Nawet nie czekała na odpowiedź. - Jak wydobędziemy z niej informacje?

- Nie mam pojęcia. Chciałem przeprosić, bo zachowałem się jak jaskiniowiec. Czasami mnie to nachodzi.

- Możemy ją przypiekać żywym ogniem. Albo powiesić za kciuki?

Złapała się na tym, że bezwolnie ulega iskierkom w jego oczach. Cofnęła się szybko, wiedząc, że jeszcze chwila, a poniży się, wyciągając do niego rękę.

- No tak - mruknęła. - Mary wie, gdzie są, więc nic im nie grozi.

- Myślałem, że już to ustaliliśmy. Na pewno nie podobam ci się ani odrobinę? - Zadał to pytanie niemal błagalnie.

Chciała energicznie zaprzeczyć, wiedząc, że to najbezpieczniejsze rozwiązanie, ale wrodzona prawdomówność na to nie pozwoliła.

- Cóż... Jesteś w porządku - wybrnęła.

- W porządku? Tylko tyle? Ja ci mówię, że jesteś Dalila, a ty - że jestem w porządku?

Zaczynała ją bawić ta rozmowa.

- Wiesz, szczerść bardziej się opłaca na dłuższą metę.

- Tylko w porządku? - Pokręcił głową. - Nie, to za mało.

- Jestem przekonana, że zostawiłeś za sobą sznur złamanych serc na wszystkich plażach świata.

- Aha, więc teraz jestem obibokiem - włóczykiem, tak? Cieszę się, że wierzysz w moje podboje.

- Nie wątpię, że jest ich wiele.

Komicznie poruszył brwiami.

- Tylko widzisz, nie zламаłbym tyłu serc, gdybym był tylko w porządku.

Tu ją miał i błysk w jego oku zdradzał, że doskonale o tym wie.

- Poddajesz się? - zapytał niemal delikatnie.

- Daj mi chwilę.

Zanucił muzykę z teleturnieju Vabanque.

- Och, daj spokój. - Poddada się, choć wcale jej się to nie podobało. I nie chciała ciągnąć tej rozmowy, bo prędzej czy później zapomni się i powie, ile o nim myślała od ostatniej nocy.

- Co, brak ci słów? - Uśmiechał się od ucha do ucha. - No, dobra. Będę grzeczny.

- Dzięki - odparła z godnością. - Co zrobimy z Mary? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem jak ciebie, ale mnie przeraża myśl o starciu z tą babą.

- Żartujesz?

- Nie. Jest sprytna, przebiegła i bystra. Mylisz się, jeśli liczysz, że coś z niej wyciągniemy, chyba że posuniemy się do morderstwa. Co więcej, jeśli przyciśniemy ją do muru, z radością skieruje nas na fałszywy trop.

Tess westchnęła.

- Zamorduję Brigitte.

- Pomogę ci. Ale najpierw musimy ją znaleźć. A to oznacza czekanie na dalsze wskazówki.

- Cóż, niech te wskazówki się pospieszą. W poniedziałek muszę być z powrotem przy biurku.

- Ja też.

To ją zaintrygowało. Stał tak blisko, że musiała zadrzeć głowę, by na niego spojrzeć.

- Masz biurko?
- Tak, mam. - Odpowiedział zniecierpliwiony.
- Pracujesz za biurkiem?

Zniecierpliwienie ustąpiło złośliwym iskierkom.

- Nie.
- Więc... - Urwała. - Powiedziałaś, że musisz być za biurkiem.

- Bo muszę.
- Ale przy biurku nie pracujesz?
- Tylko jeśli muszę. Czyli prawie nigdy.

Teraz z kolei ona straciła cierpliwość. Nie panowała nad tym, co mówi.

- Co ty właściwie robisz, Jack?
- Czemu miałbym ci mówić?

Oparł dłonie na biodrach. Wiedziała, że znowu chce ją zirytować.

- Żeby zaspokoić moją ciekawość.

Wzruszył ramionami.

- To za mało.
- Och, ty... - Ugryzła się w język. - Moim zdaniem nie mówisz o swojej pracy dlatego, że się wstydzisz.

Zmarszczki w kącikach jego oczu stały się wyraźniejsze.

- Czyżby? Wstyd mi za ciebie, Tess. Nie jesteś aż taka głupia.

- Och, do... Daj spokój, Jack! Powiedz wreszcie! Co ty robisz? Handlujesz narkotykami?

Znieruchomiał.

- Naprawdę niczego o mnie nie wiesz, prawda?

Odwrócił się i wyszedł.

A Tess została sama, by zastanawiać się, dlaczego zawsze mówi nie to, co trzeba.

Rozdział 13

Będzie musiała go przeprosić. - Powiedziała to z nadzieją, że słysząc taką bzdurę, zareaguje automatycznie i powie prawdę. Wcale nie sądziła, że mógłby naprawdę handlować narkotykami. Nieważne, co o nim myślała przez te wszystkie lata, już dawno zorientowała się, że to w gruncie rzeczy porządny facet.

Nigdzie nie mogła go znaleźć. Nie słyszała, żeby wychodził - w tym domu słychać wszystkie drzwi - ale nigdzie go nie było. Wędrowała od pokoju do pokoju.

Jack?

Żadnej odpowiedzi. W domu panowała cisza.

- Jack! Przepraszam! Nie mówiłam tego poważnie. Gdzie jesteś?

Nadal żadnej odpowiedzi. Pewnie jakoś wymknął się na dwór. Jakimś cudem nie zdradziły go zawiasy, skrzypiące w całym domu, ani drzwi na taras, trzeszczące przeraźliwie przy byle dotknięciu. Jemu jednak się udało.

W końcu opadła na kanapę w salonie. Zadumana, gapiała się w sufit. Cała ta antypatia do Jacka posunęła się za daleko. Może było to zrozumiałe u piętnastolatki, ale teraz ma lat trzydzieści i nie miała prawa tak do niego mówić.

Nazwała go głupcem i nawet się nie skrzywił. Powiedziała mu, że jest arogancki i nieprzyzwoity, to się roześmiał. Ale kiedy zasugerowała, że jest handlarzem narkotyków, zareagował zupełnie inaczej. Zaintrygowało ją: większość jej znajomych uznalaby ten zarzut za tak absurdalny, że nawet nie warto zwracać sobie głowy. Skwitowałiby to śmiechem albo oburzeniem. Jack nie. Dlaczego?

Przypomniała sobie, jak mu się wymknęło, że wysłał Ernesto za kratki. Więc może trafiła w dziesiątkę?

Wstrzymała oddech, lecz ledwie to pomyślała, wiedziała, że się myli. Nie Jack, nie ma mowy. Jeśli naprawdę wsadził

Ernesto za kratki, to dlatego, że przyłapał go na łamaniu prawa i zgłosił to policji.

Nic zaakceptuje innej możliwości.

Od tej chwili, zdecydowała, będzie się odnosiła do Jacka z obojętną uprzejmością, jak do nieznanego. Nieważne, czy będzie ją prowokował czy nie, będzie trzymała język za zębami. Żadnych obelg. Absolutnie żadnych.

Poczuła się lepiej, podjąwszy to postanowienie. Miała właśnie iść poszukać Jacka, gdy włączono prąd. Lodówka podjęła pracę z głośnym stuknięciem- co jej przypomniało, że musi przejrzeć zawartość zamrażalnika i wyrzucić zepsute produkty. Może lepiej zrobić to od razu.

Chwilę później poczuła podmuch ciepłego powietrza - to klimatyzacja wracała do życia. Ciekawe, ile potrwa, zanim w domu zapanuje znośna temperatura.

Zabierała się właśnie za opróżnianie lodówki, gdy Jack zaklął.

- Jack? - Odpowiedział jej głuchy łomot, ale nie była w stanie określić, skąd dochodzi.

- Jack?

Cisza. Tylko nieokreślony hałas. Ze wzruszeniem ramion ponownie zajrzała do lodówki.

Uporała się mniej więcej z połową pracy, gdy Jack znowu zaklął. Nie była pewna, czy naprawdę zaklął, ale był bardzo zdenerwowany. Zaniepokojona wyszła do holu.

- Jack? Co się u licha dzieje?

Tym razem doczekała się odpowiedzi, w pewnym sensie. Gdzieś z głębi doszedł niezrozumiały bełkot.

- Gdzie jesteś?

Odpowiedział soczystym przekleństwem. Rozdrażniona, analizowała możliwe wyjścia z tej sytuacji. Mogłaby skończyć z lodówką, zanim wszystko się zepsuje. Może zignorować tego faceta i jego dziwaczne zachowanie.

Ale przecież właśnie obiecała sobie, że będzie dla niego miłsza. Miła i uprzejma, jak dla nieznanego.

Dziwne, pomyślała, o ile łatwiej zachowywać się jak człowiek cywilizowany wobec nieznanego niż wobec członka rodziny. Co takiego mają w sobie krewni? Na ten temat można by napisać doktorat.

Doszła do końca korytarza.

- Jack? Gdzie jesteś?
- Tutaj, do cholery! Odwróciła się na pięcie i stanęła naprzeciwko drzwi do jego pokoju.

Były zamknięte.

- W twoim pokoju? - zapytała.
- Mniej więcej.
- Potrzebujesz pomocy?
- Nie tylko pomocy.

Zaintrygowana, otworzyła drzwi. I zamarła w bezruchu. Bo z sufitu zwisała noga, którą zidentyfikowała jako należącą do Jacka.

A tuż obok niej zwisała ręka.

Gapiała się, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu wykrztusiła:

- Sufit się zarwał?
- Mniej więcej.
- Co za głupota! - Skarciła go, choć ogarnął ją strach. - Zniszczyłeś sufit!

- Co za spostrzeżenie!
- Co się stało, do licha?
- Nieważne! - ryknął. - Muszę się stąd wydostać, zanim zarwie się cały ten cholerny sufit. Później na mnie nawrzeszczysz.

- A ty mnie posłuchasz, akurat. No, wylaż już stamtąd.
- Czy nie sądzisz, że zrobiłbym to już dawno, gdybym mógł?

- Jezu, Jack, Brigitte będzie na ciebie wściekła - Tess już sobie wyobraziła jeden ze słynnych wybuchów matki. Nie zdarzały się często, ale jeśli już, wszyscy w pobliżu wtulali głowę w ramiona i wymykali się chyłkiem.

- Po co tam wlałeś? Mówiłam ci, że na strychu nie będzie żadnych wskazówek.

- Ludzie ukrywają na strychu najróżniejsze rzeczy - zniecierpliwiał się. - To doskonała kryjówka, bo wszyscy myślą tak jak ty: komu chciałoby się wlać na mały, ciasny, duszny strych?

- Dobrze, dobrze. Cicho. Nie chciałam cię zdenerwować.

- Nie jestem zdenerwowany, jestem wściekły! Pomóż mi się stąd wydostać.

- Nie możesz sam?

- Straciłem równowagę. Nie mam się czego przytrzymać. Noga mi utkwiała. Mam dalej wylizać?

- Wystarczy - przyznała. - Ale jak mam ci pomóc?

Jego ręka zniknęła w suficie. Usłyszała stuknięcie i głośny jęk. Kawałki tynku opadały na podłogę przy każdym ruchu.

- Tylko wszystko pogarszasz - zauważyła.

- Więcej oryginalności. Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

- W porządku. Dywanik nadaje się do wyrzucenia. W dziurze po ręce pojawiła się jego twarz.

- Czy mam ci powiedzieć, gdzie w tej chwili mam dywanik? Przynieś drabinę z garażu.

Podniosła na niego wzrok. Szkoda, że nie ma aparatu fotograficznego -za pięć lat wszyscy zrywaliby boki ze śmiechu, patrząc na Jacka uwięzionego w suficie. Z drugiej strony, chyba zamordowałyby ją gołymi rękami, gdyby teraz zrobiła mu zdjęcie.

- Naprawa sufitu będzie bardzo kosztowna - nie zdążyła ugryźć się w język.

- Sam to zrobię. Jutro wieczorem będzie jak nowy.

- Zarabiasz na życie w ten sposób? Murarstwem?

- Czy mogłabyś w końcu pójść po drabinę?

- Na co ci drabina, chcesz wejść wyżej? I co miałeś na myśli, mówiąc, że ludzie chowają różne rzeczy na strychu?

Przeszukujesz strychy? Czym ty się zajmujesz? Jesteś złodziejem?

Patrzył na nią przez wyrwę w suficie.

- Nie - odparł w końcu. - Pomyliłaś mnie z Davidem Nivenem.

- Niemożliwe. Nie jesteś tak szarmancki.

- Złodziejem też nie jestem. Czy byłabyś łaskawa przynieść drabinę?

- Najpierw powiesz mi, skąd ci przyszło do głowy, że ukryli coś na strychu.

- Może raczej ty mi powiedz, dlaczego na to nie wpadłaś.

- Och, to proste - zbyła go. - Jeśli chcę coś ukryć, wkładam to na dno kosza z brudną bielizną.

- Doprawdy? - Uniósł brwi. Do Tess dotarł komizm tej sytuacji - rozmawia z twarzą wystającą z sufitu.

- A co takiego ukrywasz? Narkotyki?

Była zbulwersowana.

- Skądże! Ale kiedy mieszkałam z mamą, chowałam pamiętnik.

- Jak to możliwe? Myślałam, że nie masz nic do ukrycia.

- Przestań, proszę. Wcale mnie nie znasz.

- Najwyraźniej nie, skoro chowałaś pamiętnik. Swoją drogą, co tam było takiego strasznego? - Znacząco poruszył brwiami.

Łypnęła na niego groźnie.

- Nic specjalnego. Z perspektywy lat, naprawdę nic. Ale to był mój pamiętnik i nie chciałam, żeby go przeczytała.

Zainteresował się.

- A zrobiłaby to?

- Pewnie. Myślała, że nie wiem, że szpera w moich rzeczach, kiedy jestem w szkole, ale od razu się zorientowała.

- Czemu to robiła?

- Nie wiem. Nigdy nie zrobiłam nic złego.

- Może właśnie dlatego. Może miała nadzieję, że w końcu przestaniesz być idealna.

Westchnęła.

- Daj spokój, Jack, nie ma ludzi idealnych. Ja tylko nie robiłam nic niewłaściwego, nie piłam i nie paliłam. Wraciałam do domu na czas. Zazwyczaj nawet mówiłam prawdę, kiedy pytała, z kim i po co się spotykam.

- Zazwyczaj? - Uśmiechnął się szeroko. - To dopiero ciekawe. Czyli czasami kłamałaś?

- Nie twoja sprawa. W drobnych dziecinnych sprawach. Po co ci drabina?

- Przynieś ją, to zobaczysz.

- Nie odpowiedziałeś, czemu przeszukujesz strychy.

- To świetna kryjówka na narkotyki.

- Och. - Już miała wyjść, ale znieruchomiała. Rozszalał się w niej huragan emocji. Gwałtownie zadarła głowę.

- Żartujesz, prawda?

- Skądże. Małą torebkę, kilka działek, chowasz w zbiorniku w toalecie, ale kilka kilogramów tam nie wejdzie. Więc włączysz na strych.

- Aha. – Było jej słabo. Niemożliwe, żeby Jack...- Czy ty handlujesz narkotykami? - Zapytała nieśmiało, ze strachem. Zamknęła oczy, zacisnęła kciuki i miała nadzieję, że odpowie przecząco. A potem zrozumiała, jakie to głupie, bo zaprzeczy, bez względu na to, jak jest naprawdę...

- Nigdy nie dajesz za wygraną, prawda? - zapytał. - Za wszelką cenę chcesz ze mnie zrobić groźnego kryminalistę. W jednej rozmowie zarzuciłaś mi najpierw kradzież, potem handel narkotykami. Co dalej? Płatny zabójca na usługach mafii?

Jego sarkastyczne uwagi tylko utwierdzały ją w uporze.

- Tego akurat nie wzięłam pod uwagę. Muszę to przemyśleć.

- Na miłość boską, czy mogłabyś w końcu przynieść drabinę?

- Nie powiedziałaś, po co ci drabina.

- Mnie po nic. Będzie potrzebna tobie.

Aluminiowa drabina miała metr osiemdziesiąt. Trochę za mało, zważywszy, że pokój miał trzy metry wysokości. To nic, przynajmniej ma pewność, że Jack nie zechce zejść po drabinie na dół, demolując przy okazji resztki sufitu.

Wróciła do sypialni z drabiną.

- Bogu dzięki - powitał ją. - Noga mi drętwieje.

- Więc nią poruszaj.

- Nie mogę. W tym cała rzecz. Jeden ruch i w suficie będzie nowa dziura.

- Przecież powiedziałaś, że to dla ciebie żaden problem. Zmarszczył czoło.

- Czy zawsze wypominasz ludziom każde słowo? Odchyliła głowę do tyłu.

- Tylko jeśli przeczą sami sobie. Więc jak? Umiesz załatać sufit czy nie?

- Umiem, ale nie chcę się przepracować. To nudne. Czasochłonne. Męczące. Ale nietrudne. Zadowolona jesteś, Mała?

- Owszem. A teraz powiedz, po co mi drabina.

- Ustaw ją mniej więcej pod moją nogą. I włącz.

- A potem?

- Później ci powiem.

Nie spodobało jej się to.

- Dlaczego nie teraz?

- Nie martw się. Szybciej, Tess. Jeśli się nie pośpieszysz, wda się gangrena.

Przeraziła ją ta perspektywa. Szybko rozstawiła drabinę i ustawiła niemal dokładnie pod jego nogą.

- Nie wda się żadna gangrena. Mam lęk wysokości, a drabiny są najgorsze.

- Dlaczego?

- Kołyszają się.

- Aha. - Milczał przez długą chwilę, a potem dodał miękko:

- Dzięki, że mi to mówisz.

- Dlaczego?
- Bo na pewno nie było ci łatwo przyznać się wobec mnie do słabości.

Najchętniej obdarłaby go ze skóry. Najchętniej wspiełaby się na drabinę, złapała go za nogi i ciągnęła z całej siły, aż wpadnie do pokoju razem z sufitem. Była już na drabinie, gdy zdała sobie sprawę, jak głupio się zachowuje. Jack nie powiedział tego złośliwie. Był szczery.

A to jeszcze gorsze.

- Nie współczuj mi, Wright.
- Wcale ci nie współczuję. Tylko że zawsze wydajesz się taka pewna siebie, twarda i zorganizowana, że jestem wzruszony, że zaufałaś mi na tyle, by przyznać się do słabości.
- Nie bądź śmieszny - skarciła go, choć nagle zachciało jej się płakać.

Bo... Bo nikt nigdy nie okazał jej odrobiny współczucia. Ludzie zazwyczaj na nią wrzeszczeli, kłócili się, kwestionowali jej opinię. Odkąd zatrudniła się w urzędzie podatkowym, krąg jej znajomych zmniejszał się stopniowo, aż w końcu zostali sami koledzy z pracy. Dlaczego? Bo nikt nie wiedział, jak to jest. Poza tym, wszystkim się chyba wydaje, że kontrolerzy skarbowi roznoszą jakąś straszliwą chorobę.

Nie da się ukryć, że praca w urzędzie podatkowym sprawiła, że stała się jeszcze bardziej zadziorna. Nie miała innego wyjścia. Codziennie kłóciła się z wściekłymi podatnikami. Nic dziwnego, że stała się kłótniwa.

A teraz... Jack był dla niej miły, a ona zaraz zaleje się łzami.

Może czas zmienić pracę.

- To nic - mruknęła. - Jak wysoko mam wejść?
- Na tyle, żebyś mogła podnieść moją nogę.
- Co to da? Nie możesz oprzeć się na drugim kolanie i wyciągnąć? Westchnął. Teraz, im bliżej sufitu, nie widziała jego twarzy.

- Nie mogę, bo drugie kolano leży na gipsie, między belkami. Musiałbym się przesunąć trochę do przodu, ale nie mogę, bo się boję, że zrobię następną dziurę. Rozumiesz?

- Chyba tak. - Nie mogła sobie tego dokładnie wyobrazić, ale brzmiało rozsądnie. - W którą stronę mam pchać?

- Do góry i do przodu. Mam nadzieję, że to wystarczy.

- Postaram się.

- Wiem. - Zabrzmiało, jakby naprawdę tak myślał. Będąc tak blisko jego nogi, dostrzegła liczne zadrapania.

- Ty krwawisz!

- Ale obejdzie się bez pogotowia. Dalej, Tess. Już nie czuję stopy. Ładna noga, zauważyła. Nagle zapragnęła przejechać dłonią po złotych włoskach. Było to tak nieoczekiwane, że przerażona szybko wróciła myślami na ziemię.

- Gotów? - zapytała żwawo. Starła się nie patrzeć na dół i nie myśleć o tym, jaka chybota jest drabina.

- Gotów. Na trzy. Raz., dwa... trzy!

Pchnęła i poczuła, że jego stopa się poruszyła. Poruszyła się także drabina. Nie tyle poruszyła, co przewróciła. Krzyknęła i zeskoczyła, w ostatniej chwili. Naprawdę w ostatniej chwili - drabina wylądowała na podłodze.

- Tess? Tess! Nic ci nie jest?

Podniosła głowę. Tam, gdzie do niedawna była jego głowa, widniał kołnierzyk koszulki polo.

- Tess, odpowiedz!

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

Ale mało brakowało, przemknęło jej przez głowę.

- Jack?

- Tak?

- Nie każ mi tego powtarzać, dobrze?

- Nie trzeba - odparł niewyraźnie. - Już idę. - Po chwili zniknęła jego noga. Słyszała, jak przesuwa się po suficie.

- Zaraz będę - krzyknął.

- W porządku. - Patrzyła na dwie dziury w suficie i długą rysę między nimi.
- Brigitte nas zamorduje - poinformowała pusty pokój.

Godzinę później Jack zabrał się za łatanie sufitu. Przytaszczył niezbędne rzeczy z garażu. Chyba były ciężkie, bo bardzo się spocił. Tess przytrzymała mu drzwi i zdziwiła się, gdy powietrze na dworze okazało się suche i chłodne.

- Co się dzieje? - zapytała. - Pogoda zapomniała, gdzie jesteśmy?

- Mamy koniec listopada, Tess - zauważył. - Ostatnie dni były wyjątkowe .

- Naprawdę? Specjalnie dla mnie?

- Chyba tak. Stan Floryda robi co w jego mocy, by cię wypłoszyć.

- Wierzę. Naprawdę wierzę.

Zaniósł wszystko do sypialni i oparł o ścianę. Tess zerknęła na dziury w suficie.

- I co ty chcesz zrobić? Wyciąć pół sufitu i włożyć nową płytę? Uśmiechnął się z wyższością.

- Odwrotnie, Mała. Przytnę płytę tak, żeby pasowała do dziur.

- Tych dziur? - Nie mogła się nie roześmiać. - Powodzenia, Jack. Nigdy ci się to nie uda. Przecież są strasznie nierówne.

- Owszem. - Wszedł na drabinę z linijką w kształcie litery L i ołówkiem. Po chwili wyrysował kwadrat dookoła największej dziury.

- Aha - Już zrozumiała. - No tak.

- No tak - zgodził się.

- Nie musisz powtarzać.

Spojrzał na nią z góry.

- Tak rzadko mam okazję się z tobą zgodzić, że nie mogłem sobie odmówić.

- Jesteś cuchnącym draniem, wiesz o tym?

- Naprawdę? A kąpie się codziennie.

Jęknęła tylko, bo żadna riposta nie przychodziła jej do głowy. Zdecydowanie za często Jack ma ostatnie słowo, bo ona daremnie szuka odpowiedzi. Zamiast tego zadała pytanie.

- Dlaczego kwadraty dookoła dziur są takie duże?
- Od belki do belki, żebyśmy mieli do czego przymocować łąty.

Zszedł z drabiny, wziął niedużą piłę. Tess poczuła, że jej serce zamiera, gdy wrócił z nią na drabinę.

- Uważaj, dobrze? Nie zepsuj tego bardziej.
- Tess, już to robiłem. Zawodowo.
- Zawodowo? Naprawdę? - Nie przypuszczała, że zna się na takich rzeczach. - Kiedy?
- W czasie studiów, podczas wakacji.
- Aha. - Pewnie ostatnie uczciwe zajęcie w jego życiu. - Mogę ci jakoś pomóc?
- Zaraz zobaczymy.

Musiała przyznać, że z przyjemnością obserwuje, jak Jack mocuje się z sufitem. Ciekawe, dlaczego mężczyzna wykonujący pracę fizyczną jest tak nieodparcie pociągający? A może wcale nie jest. Może to tylko jej wyobraźnia. Nieważne. W każdym razie miło jest patrzeć jak łąta dziury. Chyba rzeczywiście wiedział, co robi. Miała stąd doskonały widok na silne ramiona, twardy brzuch i zgrabne pośladki.

Jakaś jej część nie przyjmowała do wiadomości, że zachwyca się urodą mężczyzny, ale reszta Tess chciwie chłonęła ten widok.

Jack chyba nie zdawał sobie sprawy, o czym ona myśli, dzięki Bogu. Pracował spokojnie, metodycznie, mierzył, przycinał i kleił z łatwością dowodzącą dłuższej praktyki.

- Dobra - mruknął. - Zagipsuję później, kiedy wszystko wyschnie. Ku jej rozczarowaniu zszedł z drabiny. Koniec przedstawienia.

- Zagipsujesz? - powtórzyła.

- Tak. Zagipsuję, wyrównam, potem wygładzę papierem ściernym i jutro można malować.

- Tak? - Nie do wiary. Na razie sufit wyglądał jak chory w szpitalu, oklejony plastrami, ze świeżymi bliznami. Była pod wrażeniem. Może Brigitte daruje im życie.

- Jejku, muszę skończyć z lodówką- ocknęła się nagle. Obawiała się, że jeśli nie znajdzie sobie żadnego zajęcia, myśli o Jacku przybiorą niewłaściwy obrót. Przeżyła już tyle lat, nie popełniając błędów, jeśli chodzi o mężczyzn. Czemu zaczynać teraz?

W kuchni znalazła sodę oczyszczoną i przygotowała roztwór do umycia lodówki. Właśnie zabrała się do pracy, gdy przyszedł Jack. Przed chwilą wyszedł spod prysznicza.

- Chodźmy na kolację - zaproponował. - Nie wiem jak ty, ale nie mam dziś ochoty gotować. Albo jeszcze gorzej, iść po zakupy. Pewnie wszystko wyrzuciłaś?

- Wołałam nie ryzykować.

- Dobrze. - Zajrzał jej przez ramię i nagle poczuła jego oddech na policzku. Przeszył ją rozkoszny dreszcz. - Wygląda nieźle. Możesz wysprzątać moją lodówkę, kiedy tylko chcesz.

- A masz lodówkę?

- Phi. - Wprostował się. - Pewnie myślisz, że biwakuję na plaży, a jedyna lodówka, jaką posiadam, to taka przenośna, ze styropianu?

- Na piwo.

- Co za pech. Prawie nie biorę alkoholu do ust. Jeśli butelki, to wody mineralnej.

Zerknęła na niego przez ramię. Był poważny.

- Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Nic się nie stało.

- Owszem, stało się.

Przysiadła na piętach i odwróciła się, chcąc go lepiej widzieć. On nie żartuje, dotarło do niej. Naprawdę go obraziła. Nie wiadomo dlaczego, poczuła się okropnie.

- Jack, tylko żartowałam.

- Dziwne, że w twoich żartach zawsze chodzi o jedno: że jestem nic nie wartym obibokiem. Jeszcze dziwniejsze, że zbywałem to śmiechem przez te wszystkie lata. Ale wiesz co, Mała? Mam tego dosyć.

Wyszedł. Tess, przejęta, w lekkim szoku, tępo wpatrywała się w stary kwit z pralni, który spadł z drzwi lodówki. Pralnia Teda. Odruchowo umocowała go magnesem do drzwi lodówki. Przez chwilę zastanowiło ją, po co komu stary kwit z pralni.

A potem zaczęła płakać.

Rozdział 14

Jack wyzywał siebie od najgorszych. Nie do wiary, że tak zareagował na żarty Tess. Co go napadło? Odzywała się do niego w ten sposób od wielu lat.

Puszczal jej słowa mimo uszu, tak absurdalne były te zarzuty. A jeśli za bardzo nadepnęła mu na odcisk, sugerując, że jest obibokiem, odgryzał się jadowitym komentarzem na temat jej pracy w urzędzie podatkowym.

Więc dlaczego ni stąd ni zowąd tak zabolalo? Nie mógł sobie tego wytłumaczyć. Mniejsza o przyczynę; musi ją przeprosić. Nie chciała sprawić mu przykrości, za to sądząc po jej minie, sama bardzo to przeżyła. Co gorsza, zrobił to celowo.

Co go ugryzło?

Co się zmieniło?

W głębi duszy wiedział. Jakaś jego część wiedziała doskonale, co się zmieniło. Widział Tess w innym świetle. Po raz pierwszy zobaczył, jaka jest atrakcyjna. Po raz pierwszy poczuł, że jej złośliwość to tylko parawan.

Cholera.

Nie chciał, żeby do tego doszło. Nie chciał, żeby do tego doszło z jakąkolwiek kobietą na tym etapie jego życia, a już szczególnie nie z Tess.

Jezu, to głupota angażować się w związek z partnerką z pracy, z kimś, kogo spotykasz pięć dni w tygodniu, nawet jeśli się między wami nie łoży, z kimś, kto mógłby ci zaszkodzić w pracy. A co dopiero wiązać się z przyrodnią siostrą? Idzie dziś z Tess na kolację. Jeśli nie skończy się tylko na posiłku, gdzie do licha będzie spędzał wakacje przez następne pięćdziesiąt lat? Skoro zdaniem Brigitte trudno jest wytrzymać z nimi teraz, powinna była się zastanowić, co będzie, jeśli się zbliżą, a potem zerwą. Trzecia wojna światowa to przy tym nic.

Z westchnieniem poszedł poszukać Tess. Właściwie czego się spodziewał? Co miała sobie pomyśleć, jeśli nie mówi jej, czym się zajmuje?

Nie żeby chciał opowiadać o tym na prawo i lewo. Ale Tess należy do rodziny. Ma prawo wiedzieć. Kolejne pytanie: dlaczego właściwie utrzymywał to przed nią w tajemnicy przez tyle lat? Czy do tego stopnia jej nie ufał? A może chodzi o coś innego?

Narastało w nim wrażenie, że jego zachowanie wobec niej przez ostatnie lata to parawan, mający przesłonić coś innego... o czym nie chciał nawet myśleć.

Znalazł ją w kuchni. Klęczała przy lodówce. Jej ramiona drżały. Płakała. Na ten widok serce ścisnęło mu się z bólu. Chyba w życiu nie zrobił nic podlejszego. Nie zastanawiał się, jak Tess to przyjmie, odruchowo podniósł ją z podłogi, przytulił do siebie, kołysał delikatnie.

Początkowo zeszywniała, opierała się, ale po kilku sekundach zmiękła, przywarła do niego. Ciągle płakała, choć już nie tak gwałtownie.

- Przepraszam - mruknął. - Bardzo przepraszam.

Skinęła głową wtuloną w jego ramię.

- Ja też. Nie chciałam cię urazić, Jack, naprawdę.

- Wiem, wiem... - Gładził ją po włosach i starał się nie myśleć, jak dobrze mieć ją w ramionach. Tak blisko. Miał wrażenie, że Tess wypełniła szalenie dotkliwą pustkę, którą czuł od dawna. Uczucie ulgi przerażało, bo wiedział, że za chwilę powróci pustka. Pustka, o której teraz nie zdoła zapomnieć.

- Chodź - poprosił. - Zostaw na razie lodówkę. Usiądźmy.

Posłusznie poszła z nim do salonu. Usiedli na kanapie. Powinien ją puścić, ale nie mógł się na to zdobyć, więc nadal otaczał ją ramieniem. Ku jego zdumieniu, nie protestowała. Ba, znowu oparła mu głowę na ramieniu.

- Nie wiem, co mnie ugryzło -zaczęła. Mówiła niewyraźnie, ale nie płakała już. - Zawsze sobie dokuczaliśmy, ale nigdy nie byłam taka okropna, prawda?

- Oboje byliśmy okropni. Nasz sposób komunikowania się jest do kitu, mówiąc krótko.

Westchnęła ciężko.

- Niestety.

- Ale do tej pory wiedzieliśmy, kiedy przestać. Teraz jest inaczej.

- Dlaczego?

Spojrzał na nią i napotkał jej spojrzenie.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Może przez to wszystko. Najpierw martwiliśmy się o rodziców, potem huragan, dom pełen obcych. Chyba jesteśmy zmęczeni.

- Może. - Zamknęła oczy i przysunęła się bliżej. - Czy możemy dać sobie spokój do jutra?

- Tak. Poganiałem tylko dlatego, że nie mogę się doczekać, kiedy powiem im, co o tym myślę. Ale do jutra możemy poczekać...

Znowu westchnęła.

- Przepraszam, że nazwałam cię plażowym obibokiem.

- A co miałaś myśleć? Przecież nie chciałem powiedzieć, czym się zajmuję. - Umilkł, czekając na pytanie. Nie zadała go, a on poczuł się jeszcze gorzej, że do tej pory trzymał to w tajemnicy. Z westchnieniem przeczesał włosy palcami i podjął decyzję.

- Pracuję dla rządu - powiedział w końcu. To ją zainteresowało.

- Tak? A w jakim urzędzie?

- DEA.

- Więc czemu robisz z tego taki sekret... - Dopiero teraz zaskoczyła. -Boże drogi! - Wyprostowała się, spojrzała na niego. - Jesteś agentem.

- Zgadza się.

- Nie pracujesz za biurkiem.

- Raczej nie.
- Aha.

Czekał, nie wiedząc, jakiej reakcji się spodziewa. Złości? Podziwu?

Obojętności? Nie, nie podziwu. Tess nie jest taka.

- Pracujesz w terenie? - zapytała w końcu.
- Tak. - Odpowiedział z wahaniem, w obawie, że od tego zależy jej reakcja. - Więc nie mów nikomu, czym się zajmuję, dobrze?

- Boże, skądże! To takie niebezpieczne!

Nagle złapała go za koszulkę.

- Nie możesz tego robić! - wyrzuciła z siebie gwałtownie.
- Czego? - Chyba czegoś nie rozumiał.
- Pracować w terenie.
- Mała, robię to od prawie piętnastu lat. Zamrugęła szybko. Niebieskie oczy były chyba jeszcze większe niż zwykle.
- Masz szczęście.

Wzruszył ramionami.

- Może.
- Wiesz, że tak. Agenci DEA ciągle giną. To wojna.
- Czasami - przyznał. Kiedy puści jego koszulkę? - I dlatego nikomu nie powiesz, prawda?
- A ten Ernesto? Wsadziłeś go za narkotyki? Boże, jak mogłeś wpuścić go do domu? A gdyby cię zabił?

Jack zaczął się poważnie zastanawiać, czy Tess nie ma przypadkiem gorączki. Za bardzo się tym przejmuje. Zdecydowanie za bardzo.

- Ernesto? Nie - zapewnił. - Miał szczęście, wsadziłem go za posiadanie narkotyków. Dostał tylko po łapach w zamian za informacje.

- Powiedziałeś, że poszedł siedzieć!
- Na krótko. Nie na tyle, żeby chciał spieprzyć sobie resztę życia, mszcząc się na mnie. Zresztą, znam go. Tchórz do potęgi. Bałby się nawet pomyśleć o zemście.

Nie puszczała jego koszulki, a nawet szarpnęła mocniej, jakby chciała zwrócić jego uwagę.

- Nie możesz, Jack!
- Czego nie mogę?
- Dalej tak pracować. Mogliby cię zabić. Boże, czy ty nie wiesz, jakie to niebezpieczne?
- Ee, no tak, ale... - plątał się, szukając odpowiedzi. - Jestem w tym dobry, Tess. Lata praktyki.
- Praktyka nie powstrzyma kuli. Zbyt długo kusieś los. Do licha, Jack, coś ci się może stać!
- To niewykluczone.
- Boże! - Puściła w końcu jego koszulę i zerwała się na równe nogi. - Jesteś szalony.

Nie oponował, choć jego zdaniem to ona była szalona. On, jakby nie było, pracuje w swoim fachu już od dawna.

- Nie mogę uwierzyć... - Urwała, spojrzała w bok, po chwili znowu podniosła na niego wzrok. - To dlatego mama mówi, że kiedyś zapłacisz za ciągle ryzyko.
- Naprawdę tak mówi? Teraz rozumiem, czemu miałaś o mnie złe zdanie. Gapiła się na niego.
- Ale ty naprawdę ryzykujesz!
- Nie tak bardzo.
- Doprawdy? - Oparła ręce na biodrach. - A jak bardzo? Określ to, proszę. Nie tak, że kiedyś przyjdzie ci za to zapłacić?
- Jezu, Tess, to moja praca. Jestem w tym dobry. Cholernie dobry.
- Cóż.. - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Chyba tak. Jeszcze żyjesz.
- No właśnie.
- Ale - pogroziła mu palcem - ciągle ryzykujesz.
- Co ty o tym możesz wiedzieć? Siedzisz za biurkiem.
- Coś wiem. Przez pewien czas umawiałam się z agentem

FBI.

Uniósł brew.

- A co FBI ma z tym wspólnego? Zresztą, chyba sobie ze mnie żartujesz. Ty? Umawiałaś się?

Złapała poduszkę z kanapy i cisnęła w niego.

- Owszem - odparła wyniośle.

- Dziwne, że pozwoliłaś się komuś do siebie zbliżyć!

- Ty świniu!

Rzeczywiście zachował się jak świnia. Chciał zmienić temat i wybrał najprostszy, najbardziej podstępny sposób. Zawstydyził się.

- Dobrze, dobrze - mruknął. - Przepraszam. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że ktoś zechciał się z tobą umówić.

Spojrzała podejrzliwie, jakby nie wiedziała, przyjmując przeprosiny czy dalej się złościć.

- Hej, Tess, przez moment zachowywaliśmy się jak dorośli. Ale jeśli nie odczepisz się od mojej pracy, powiem co sądzę o twojej.

- Ja nie ryzykuję.

- Doprawdy? Szczerze mówiąc, dziwię się, że ludzie nie pogonią was strzelbami.

Pokręciła głową, przewróciła oczami.

- Przestań zmieniać temat.

- Nie. Bo nie masz prawa mówić mi, co mi wolno, a czego nie. Zaczerwieniła się. Po chwili przyznała cicho:

- Masz rację.

- Wiem. Jak zawsze.

Posmutniała, ale starała się wziąć w garść.

- Chyba że akurat wpadasz przez sufit, bo szukałeś na strychu wskazówek, których tam nie ma.

- Cios poniżej pasa.

- Podobnie jak mówienie mi, że nie mam prawa się o ciebie martwić.

Wstał, rozdrażniony. Dlaczego nie mogą się porozumieć?

- Wiesz - zaczął - nie umiemy rozmawiać. Pięć minut normalnej rozmowy i jedno z nas reaguje przesadnie, i wszystko zaczyna się od nowa.

- To śmieszne - obruszyła się, choć po jej minie widział, że przyznaje mu rację.

- O co chodzi, Tess? Przez piętnaście lat uważałaś, że jestem leniem i obibokiem. Dziś dowiedziałaś się, że pracuję, i wpadasz w szal z tego powodu. To co ja mam zrobić?

Zarumieniła się jeszcze bardziej. Nie wiedział, czy to gniew czy wstyd. Splotła ręce na piersi.

- Martwię się o ciebie, Jack. To wszystko.

Zaskoczyło go to. Właściwie zważyło go z nóg. I sprawiło ogromną przyjemność. Zaraz też poczuł się nieswojo. Uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

- Wiedziałem, że ci na mnie zależy.

Powinna się teraz oburzyć, zawrócić oboje znad krawędzi, nad którą, teraz to poczuł, nagle się znaleźli. Lecz nie zrobiła tego.

Milczeli oboje. Napięcie wzmagало się każdą chwilą.

Jack odnalazł wzrokiem niebieskie oczy i pod ich spojrzeniem poczuł, że topnieje.

- Uważaj na siebie, Jack. Tylko tyle. Obiecujesz?

- Zawsze na siebie uważam.

Skinęła głową.

- Dobrze. Porozmawiajmy o czymś innym. Może pooglądamy telewizję?

- Dobrze. - Przynajmniej przez pewien czas nie będą musieli rozmawiać.

W telewizji kablowej nie było żadnego filmu.

- Huragan - zawyrokował Jack.

- Pewnie tak. Może coś na wideo? - Ukucnęła przy magnetowidzie. - O, zobacz, tu jest kasetka.

Błyskawicznie znalazł się przy niej.

- Włącz. Może zostawili nam wiadomość.

Tess drżącą ręką dwukrotnie wcisnęła guzik odtwarzania. Po chwili na ekranie pojawił się Kurt Russell i młoda kobieta, chyba na jachcie. Russell wyglądał staro, za to aktorka mogłaby być jego córką.

- Słyszałaś o St. Croix? - zwrócił się Russell do dziewczyny. Natychmiast zapytała, czy tam płyną. „Nie” - odpowiedział, płyną na wyspę na lewo od St. Croix. Nazywa się Wyspa Teda.

Jack i Tess spojrzeli na siebie.

- Puść jeszcze raz - polecił. Posłuchała, ale od razu zaprotestowała:

- To tylko film. Gdzie tu wskazówka?

- Sama sobie odpowiedz. - Czy to prawdopodobne, żeby zostawili w magnetowidzie akurat ten film, akurat na tej scenie?

- Nie bardzo - przyznała. Oboje, Brigitte i Steve, zawsze pamiętali, by wszystko odkładać na miej sce. Ilekroć tu przyjeżdżała, krzywiła się na wspomnienie swojego mieszkania w Chicago. - Ale to nie jest wykluczone.

- Jasne. - Wrócił na kanapę, żeby ją widzieć, nie wykręcając przy tym szyi. - Niewykluczone. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że zostawili akurat film, w którym jest mowa o Karaibach, i to kiedy sami się tam wybrali? Za dużo zbiegów okoliczności, Tess.

Starła się nie wpaść w euforię.

- Więc myślisz, że pojechali na St. Croix?

- Nie wiem. Puść jeszcze raz, dobrze?

Zrobiła to.

- Jedna wyspa na lewo od St. Croix - powtórzył, kiedy zatrzymali kasetę. - Kurczę, może to oznaczać sporo wysp.

- I wiele kierunków - dodała. - Zależy, z której strony płyniesz.

- No tak. - Westchnął ciężko.

- Zapewne nie istnieje żadna Wyspa Teda?

- Nie. Jest wiele małych wysepek, ale nie słyszałem o Wyspie Teda.

- Dużo czasu tam spędzasz? - To by tłumaczyło jego akcent, akcent, który zapamiętała od pierwszego spotkania.

- Tak. Rozpracowywałem główne szlaki przemytu narkotyków.

- Czy to nie jest zadanie straży przybrzeżnej? No, bo jeśli łódzie...

- Po pierwsze, mówimy o wodach międzynarodowych. Straż przybrzeżna nie ma tam czego szukać. Po drugie, większość towaru wędruje z wyspy na wyspę, zanim trafi tutaj. Starałem się rozpracować trasy. Obserwuję łódzie, żebyśmy mogli ich zwinąć po zawinięciu do portu.

- Skutecznie?

- Tak. - Nerwowo bębnił palcami w oparcie kanapy. Zmienił temat.

- Brigitte uwielbia właśnie takie wskazówki.

- Fakt. - Tess wyrwało się westchnienie.

- Może chodzi o to, że sana wypie w pobliżu St. Croix.

- Może. - Umilkła na chwilę. - A może chodzi o Teda, a nie o St. Croix. Może powinniśmy obejrzeć cały film.

- Nie, nie ustawiliby go akurat na tej scenie, gdybyśmy mieli zobaczyć całość.

- Jeśli go ustawili.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Oczywiście, że ustawili. Ech, mentalność księgowego.

Nie wierzy w intuicję.

Najeżyła się trochę.

- Cały czas polegam na intuicji. W ten sposób wyczuwam sfałszowane księgi. Natomiast nie wyciągam pochopnych wniosków.

- Wobec mnie robisz to ciągle.

Powinien paść trupem pod jej wzrokiem, a on się dobrze bawił.

- Słuchaj, szanowni rodzice zorganizowali skomplikowaną, ale niezbyt przemyślaną zasadzkę, która ma nas zmusić do współpracy. Zgadzasz się z tym?

- Tak mi się wydaje.

Jemu się wydawało, że Tess jest wręcz przeciwnego zdania, a przecież nie tak dawno zgadzała się z jego wersją.

- Wiemy od Hadleya Philpotta, że Brigitte chciała nas zamknąć w jednym pokoju, dopóki nie nauczymy się ze sobą rozmawiać. Ale od rozmowy z Mary Todd mam wrażenie, że nie do końca zrozumieliśmy przesłanie.

Tess ożywiła się nagle.

- Też masz takie wrażenie? Zastanawiałam się, czy nie zwariowałam, ale zachowywała się bardzo dziwnie, kiedy powtórzyliśmy jej słowa Hadleya.

W zadumie potarł podbródek.

- Ale zdaje się, że nie wydobędziemy z niej nic więcej - ciągnęła.

- Nie, raczej nie. Moim zdaniem nie przekona jej ani błaganie, ani łapówka. Ale jestem ciekaw, jaka wskazówka będzie następną, bo ona chyba chce naprawić błąd Hadleya.

Spojrzał na ekran. Zatrzymana w kadrze Kurt Russel trząsał się od kilku minut.

- Wyspa na lewo do St. Croix. Wyspa Teda. Coś w tym jest.

Rozdział 15

Poszli na kolację i udało im się nie pokłócić. Kiedy ustalili, że Jack ma ochotę na stek, a Tess na rybę, bez trudu wybrali restaurację: Paradise Beach Bar.

- A jeśli będzie zamknięte? - zaniepokoiła się.

Wzruszył ramionami.

- To poszukamy czegoś innego. Huragan nie był taki straszny. Pewnie gdybyśmy oglądali telewizję, usłyszelibyśmy, że kiedy do nas dotarł, to już nawet nie był huragan.

- Pewnie tak - skinęła głową. Na ulicy nadal widniały kałuże, gdzieś tam poniewierały się liście palmowe, ale ogólnie szkody były niewielkie, nawet na plaży.

Zerknęła na morze, widoczne między budynkami.

- Wiesz, czego najbardziej nie znosiłam, mieszkając tutaj? Uśmiechnął się.

- Oprócz upału i wilgotności, zakładam? I turystów? Zachichotała.

- Oprócz tego - przyznała. - Nienawidziłam huraganów. Nie znosiłam niekończących się dni czekania na katastrofę, która nie nadchodzi. To okropne.

- A teraz jest jeszcze gorzej.

- Dlaczego?

- Prognoza pogody w telewizji. Teraz niektórzy martwią się o wiele dłużej niż kilka dni.

- Racja.

Ku zdumieniu Tess plażowa knajpka była otwarta. Wykazała się wielką cierpliwością, gdy Jack zaproponował to miejsce, bo była święcie przekonana, że dziś wieczorem wszystko będzie zamknięte. Tymczasem restauracja była otwarta, lecz prawie pusta.

- Na dworze czy wewnątrz? - zapytał Jack.

- Na dworze - zdecydowała. Po burzy pogoda była idealna, powietrze suche i ciepłe, lekka bryza pachniała morzem

i piaskiem. Na wschodnim krańcu nieba zawisł rożek księżycy w nowiu. Słońce zachodziło, dotykało już wody, zalewało delikatne fale rzeką czerwonego blasku.

Usiedli przy dwuosobowym stoliku przy barierce tarasu. Ledwie zajęli miejsca, zjawił się kelner z kartami dań. Tess zamówiła koktajl z rumem. Jack nie ukrywał zdumienia.

- Co się stało? - zapytała po odejściu kelnera. - Przeszkadza ci, że zamówiłam alkohol?

- Nie - zapewnił pospiesznie. - Jestem tylko zaskoczony. To do ciebie niepodobne.

Wzruszyła ramionami.

- Czasami wypijam drinka lub dwa. Dzisiaj udaję, że jestem na urlopie... który marnuję, polując na nich - dodała z niesmakiem. - Właściwie mogłabym teraz jechać nad jezioro z przyjaciółmi.

- Rzeczywiście. A ty, biedna, szykujesz się do wycieczki na Karaiby.

Uniosła brwi.

- Tak uważasz? Dziękuję za taki urlop.

Skrzywił się zabawnie.

- A od kiedy na urlopie masz się dobrze bawić? Urlop to odmiana. Najlepiej taka, że po wszystkim chętnie wrócisz do pracy.

- Wiedziałam, że jesteś stuknięty.

Rozłożył ręce.

- A co w tym dziwnego? Pomyśl tylko, Tess. Wszyscy chcemy być szczęśliwi, tak?

Obudziła się w niej dawna czujność: podejrzewała, że Jack chce ją zapędzić w kozie róg. Zaraz jednak doszła do wniosku, że to nieważne. Dzisiaj będzie się dobrze bawić, choćby nie wiem co.

- Niby tak.

- Niby tak? Niby tak? Tylko na tyle cię stać? - Widziała iskierki rozbawienia w jego oczach i tylko dlatego się nie obraziła.

- No dobrze - mruknęła, przystając na jego zabawę. -
Wszyscy chcemy być szczęśliwi.

- Przecież przed chwilą to powiedziałem.

- Właśnie.

- Więc czemu po mnie powtarzasz?

- Bo kiedy powiedziałam „Niby tak”, to dla ciebie za mało.

- Od tej chwili tylko mi przytakuj, jasne?

Stłumiła chichot. Dlaczego nagle zakręciło jej się w głowie?
Jeszcze nawet nie dostała swojego drinka.

- Jasne.

Pokręcił głową i pogroził jej palcem.

- Masz mówić „tak”. Nie „jasne”. Jasne?

- Tak.

- W końcu. Dobrze, wróćmy do tematu. Wszyscy chcemy
być szczęśliwi, prawda?

- Prawda.

Westchnął i znowu pogroził jej palcem.

- Nauka ciężko ci przychodzi, co?

- Tak. - Nie udało jej się zachować powagi. Parsknęła
śmiechem. Kelner przyniósł jej drinka i mrożoną herbatę dla
Jacka i z szerokim uśmiechem zapytał, czy może przyjąć
zamówienie.

- Za pięć minut - zdecydował Jack. - Na razie się kłócimy.

Kelner się oddalił.

- Dobra. Po raz dziesiąty powtarzam: wszyscy chcemy być
szczęśliwi. Zgadasz się z tym?

- Tak.

- Przez cały czas w pracy rozmyślamy, jak bardzo
pragniemy cudownych wakacji, które nas uszczęśliwią. Prawda?

- Prawda.

- Ale wakacje to tylko fragment roku, kilka dni, czasami
tygodni. Czy nie bylibyśmy szczęśliwsi, nie wzdychając do
czegoś, co zdarza się tak rzadko?

- Może.

Znowu jej pogroził.

- Nie, nie, nie. Miałaś mówić „tak”, a nie „może”
- Dobrze, dobrze. Tak.
- W porządku. Przejdźmy dalej: urlop to, z definicji, zmiana. Oderwanie się od codzienności.

- Czyżby?

Poważnie skinął głową.

- Tak. Jeśli chcesz, możesz zostać na urlop w domu. Nie musisz nigdzie wyjeżdżać, tylko zmień zwyczaje, zapomnij o rutynie, bo rutyna jest najbardziej męcząca. Zwłaszcza że przez cały rok wykonywania rutynowych czynności marzymy o wakacjach.

- Zwolnij teraz - poprosiła rozbawiona. - Chyba zaraz zgubię wątek.

- To proste, Tess - oznajmił ze sztuczną powagą. - Idea jest taka: urlop to odmiana. Moja teoria jest następująca: jeśli w czasie urlopu robisz coś strasznego, po powrocie do pracy będziesz zachwycona, że już po wszystkim. I tym sposobem przez większość roku będziesz w doskonałym humorze. Skończą się narzekania i liczenie dni do urlopu.

Upiła drinka.

- Jest w tym pokretna logika.

- A co w tym pokretnego? Tak działa ludzki umysł. I dochodzimy do wniosku, że powinniśmy być wdzięczni rodzicom za ich eskapadę - tym sposobem oboje z radością wrócimy w poniedziałek do pracy.

- Jest tylko j eden problem.

- Jaki?

- Będę żałowała, że nie spędziłam tego tygodnia z przyjaciółmi.

- Hm. - Zmarszczył brwi. - To umknęło mojej logice. Roześmiała się.

- Wybaczam ci. Ale nie przekonałeś mnie, i tak będę czekała na urlop.

- A ja już myślałem, że skoczymy na tydzień na więzienną farmę.

Roześmiała się głośno. Przyłapała się na myśli, jak cudownie jest siedzieć z Jackiem i nie czuć starej wrogości. Nie wiedziała, dlaczego dziś jest inaczej. Bez napięcia, które zwykle towarzyszyło ich rozmowom uznała, że odpowiada jej jego towarzystwo, jego poczucie humoru.

Odrzuciła włosy do tyłu i sięgnęła po drinka, ciągle uśmiechnięta. Czasami życie jest wspaniałe.

Jack obserwował zachód słońca. Skorzystała z okazji i chłonęła wzrokiem jego twarz skapaną w pomarańczowym blasku. Silna, opalona, z kurzymi łapkami w kąciakach oczu. Zmarszczki mimiczne wokół ust. Taka twarz budzi zaufanie. Mogłaby na nią jeszcze długo patrzeć.

Spojrzał na nią, przyłapał jej wzrok i uśmiechnął się. Był to ciepły, przyjazny uśmiech. I coś więcej. Nagle powietrze między nimi zaiskrzyło się, aż Tess zabrakło tchu. Nie mogła oderwać oczu od niego.

Także to poczuł. Poznała po zmrużonych nagle oczach, po uśmiechu.

- Zdecydowali już państwo?

Radosny głos kelnera zepsuł atmosferę. Tess zatrzepotała powiekami, gwałtownie sprowadzona z powrotem na ziemię. Posłała kelnerowi mordercze spojrzenie.

Jack najwyraźniej lepiej nad sobą panował, bo tylko skinął głową.

- Ja tak, a ty, Tess?

- Ja? Tak, oczywiście. - A może w ogóle nic nie poczuł, pomyślała nagle. Może to tylko ona wyobraża sobie nie wiadomo co.

Może to i lepiej. Niby dlaczego chce, żeby akurat on zwrócił na nią uwagę? Jezu, musi jak najszybciej wracać do Chicago. Wilgoć tu na południu chyba źle wpływa na jej umysł.

Oboje zmienili plany co do kolacji. Tess zamówiła sałatkę, a Jack filet z rekina, i kelner odszedł.

Zgasły ostatnie promienie słońca i na niebie zagościł mrok. Fale delikatnie obmywały piaszczysty brzeg, nadawały nocy spokojny rytm.

- Pięknie tu - zauważyła.
- Lubię siedzieć wieczorem nad wodą- odezwał się. - To jeden z powodów, dla których pracuję na Karaibach.

Zerknęła na niego.

- Dużo przesiadujesz w plażowych barach?

Puścił do niej oko.

- Tyle ile muszę.

- Też mi ciężka praca.

- No wiesz, czasami bolą mnie łokcie!

Parsknęła śmiechem, ale nie uwierzyła mu, nie po tym, jak zareagował na jej uwagę o piwie. Możliwe, że przesiaduje w barach, jeśli wymaga tego jego praca, ale gdyby przesadzał, nie dożyłby do dzisiaj. Pochylił się nad stołem, lekko dotknął jej dłoni.

- Miałaś rację co do jednego. Prowadzę życie plażowego obiboka.

Odnalazła jego wzrok i jednocześnie poczuła, że jej serce bije coraz szybciej.

- No nie, nie mów mi, że masz deskę surfingową.

- Szczerze mówiąc, mam cztery - powiedział to niemal ze wstydem.

- Cztery? A po ci aż cztery? Przecież możesz pływać tylko na jednej naraz.

- Czy ignorancji laików nie będzie końca? Są różne deski na różne warunki pogodowe.

- Och, naprawdę? - Przekornie zatrzepotała rękami i zaszczebotała: - Czyżby kolejna bardzo naukowa teoria, tym razem na temat desek surfingowych?

- Nie. Robię to, co lubię i tyle.

- Filistyńskie podejście do życia, tak?

- Wiesz, zawsze było mi szkoda Filistynów. Może wcale nie byli takimi barbarzyńcami, za jakich ich mamy.

- Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi?
- Co, że im współczuję? - Uśmiechnął się szeroko. - Może dlatego, że dostrzegasz podobieństwo rodzinne.

Ależ on potrafi być czarujący. Nagle cofnął dłoń. Brak jego dotyku odczuła całą sobą. Przestała się śmiać. Znowu zapragnęła znaleźć się w Chicago, w szarej rzeczywistości, z dala od zachodów słońca, tropikalnych wieczorów, z dala od plażowych knajpek i od Jacka.

Muzyka reggae stwarzała miły nastrój, a zarazem była na tyle cicha, że nie przeszkadzała w rozmowie. Tyle że rozmowy nie było. Tess i Jack jedli w milczeniu i z jakiegoś powodu starali się na siebie nie patrzeć. W końcu Tess doszła do wniosku, że to bez sensu. Zwłaszcza że i tak są skazani na swoje towarzystwo przynajmniej do powrotu do domu. Zresztą skąd znowu napięcie?

- Naprawdę uprawiasz windsurfing? - zapytała.
- Przyznaję się do winy.
- Dlaczego do winy? Podziwiam ludzi, którym udaje się utrzymać równowagę na fali. Ja bym się utopiła.

Uśmiechnął się lekko i napięcie zelzało.

- Mało brakowało, a utopiłbym się za pierwszym razem.
- Dlaczego windsurfing?
- Czemu nie? Zacząłem w college'u, mój przyjaciel się tym pasjonował. Co sobota byliśmy na plaży. Później to się okazało przydatne.
- To twoja przykrywka?
- Coś takiego. Nikt się nie dziwi, że przesiaduję w spelunkach przy plaży.
- Zadziwiające. Na Karaibach jest tylu turystów, że nie chce mi się wierzyć, że zostały jeszcze spelunki.
- O, tak. Są miejsca, gdzie żyje się jak dawniej. Mężczyźni żyją z morza, z połowów, a wieczorami chodzą do swoich stałych knajp, gdzie nikt się nie przejmuje, że śmierzą rybami. I kryminaliści, różne wyrzutki społeczeństwa.

Próbowała to sobie wyobrazić.

- A ty się z nimi zadajesz?
- Czasami. Czasami przesiaduję w drogich lokalach, zależy, czego szukam i dokąd prowadzą ślady.

Zawahała się, nagle niepewna.

- Nigdy nie masz tego dość?
- Czego?
- Życia w samotności. Z nożem na gardle?
- Nie mam noża na gardle. - Po tych słowach zamyślił się i umilkł na dłużej. Dała temu spokój, bo wyczuła, że dotknęła ważnego tematu, a nie miała w zwyczaju pakować się w cudze życie bez zaproszenia.

- Tak - przyznał w końcu. - Czasami. Czasami tęsknię do pracy za biurkiem.

- Rozumiem.

Nagle błysnął zębami w uśmiechu.

- Ale pomyśl, ile jest do stracenia: plaża i piękne kobiety.
- Wyobrażam sobie.

Po kolacji zaproponował spacer brzegiem morza. Zgodziła się, ale przypomniła o poszukiwaniach.

- Musimy się zastanowić, co oznacza ta scena na kasecie.
- Wiem, ale może zrobimy sobie wolny wieczór? Chyba na to zasłużyliśmy. Poza tym, nie ma Wyspy Teda, na lewo od St. Croix znaczy praktycznie wszędzie, jak sama słusznie zauważyłaś. Musimy mieć więcej wskazówek.

- Nadal uważam, że powinniśmy przycisnąć Mary Todd.
- I co? Wbić jej drzazgi pod paznokcie? Nie powie ani słowa, chyba że sama zechce. Zresztą dosyć na dzisiaj. Mamy prawo wziąć sobie wolne.

- Pod warunkiem, że znajdziemy ich na Święto Dziękczynienia.

Zatrzymał się, odwrócił do niej. Podniosła na niego wzrok.

- A co to za różnica?

Westchnęła, zła, że mimo gniewu na matkę o tym myśli:

- Brigitte będzie zrozpaczona, jeśli nie zdążymy.

- No tak. - Przeczesał włosy palcami. - Święto Dziękczynienia. Ale i tak możemy sobie zrobić wolny wieczór.

Chyba bardzo mu na tym zależało.

- Uparłeś się, co?

- Tak. I jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcę spędzić resztkę tego wieczoru, chodząc po plaży z ładną dziewczyną.

Z tymi słowami złapał ją za rękę i pociągnął na plażę. Pobieгла za nim truchcikiem, rozdarła między zadowoleniem, że nazwał ją ładną, a oburzeniem, że tak mało romantycznie wziął za rękę.

- Za dużo czasu spędzasz z dala od cywilizacji, Jack.

Westchnął na tyle głośno, że usłyszała go przez szum fal.

- Tess, zrób coś dla mnie. Nie przezywaj mnie dzisiaj. Jeszcze lepiej, zamknij jadaczkę. Tylko o to proszę.

Zaniknąć jadaczkę? Oburzona, chciała wyrwać rękę, ale nie puszczał.

- Zamknąć jadaczkę? - powtórzyła. - Jak śmiesz?

Zatrzymał się i stanął naprzeciwko niej, aż dzieliły ich zaledwie centymetry.

- Tess, zamknij się.

Potem ją pocałował. Czyli zachował się jak jaskiniowiec, tylko że nie złapał jej, nie zmiądzzył jej ust, nie zrobił nic, na co mogłaby zareagować gniewem. Nie dotykał jej nawet, jeśli nie liczyć tego, że trzymał ją za rękę i muskał jej usta.

Ten jeden gest wystarczył, by zakręciło jej się w głowie, by pragnęła go coraz bardziej.

Ich palce się splotły, Tess trzymała się go kurczowo. Miała wrażenie, że świat stanął na głowie i lada chwila runie w przepaść. Pragnęła czegoś więcej niż pieszczot jego ust. Przywarła do niego.

Był silny. Twardy. Bezpieczna przystań w czasie burzy. Dziwne, do tej pory nie przypuszczała, że każda komórka jej ciała pragnie fizycznego kontaktu. Ani że tak cudownie jest schronić się w silnych ramionach. Boże, jak cudownie.

W końcu wypuścił ją z objęć. Od razu boleśnie poczuła dotkliwą pustkę.

- Przejdźmy się - zaproponował. Mówił normalnie, jakby świat przed chwilą nie zdrzął w posadach.

Wziął ją za rękę i ruszyli wzdłuż brzegu. Stopniowo dostrzegała otaczającą noc, słyszała szum fal, czuła wiatr we włosach i wilgotny piach pod stopami.

Uściskał jej rękę, jakby chciał przypomnieć, że nadal tu jest. Zaskoczył i zaniepokoił ją ten gest; czego się domyślił, co nieświadomie zdradziła, gdy stali objęci? Chyba nie dała mu powodu, by myślał, że potrzebuje otuchy?

Nic nie powiedziała. Ostatnią rzeczą, na którą teraz miała ochotę była nowa awantura.

Jack był chyba podobnego zdania, bo nie odzywali się przez dłuższy czas. Była to dobra, przyjazna cisza i Tess odprężała się coraz bardziej. Nagle uświadomiła sobie, że do tej pory żyła w strasznym napięciu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się zrelaksowała.

Na krańcu wyspy było rybackie moło. Nawet teraz, w nocy, z pół tuzina rybaków liczyło na szczęście.

Jack i Tess minęli ich, doszli do końca pomostu i oparci o balustradę obserwowali, jak księżyc lśni na falach. Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie.

Wtulila się w niego, wpatrzona w srebrne błyski. Zawsze marzyła, że kiedyś poczuje to co teraz, spokój i bliskość drugiego człowieka. Niepokojące, że pierwszym, z którym tego doświadcza, jest akurat Jack. Nie, nie będzie teraz o tym myśleć. Wystarczy jej to co jest.

Jack chyba czuł to samo. Przesunął się odrobinę i przyciągnął ją bliżej. Jego zapach mieszał się z zapachem morza; ta mieszanka uderzała jej do głowy. Była coraz spokojniejsza, jakby powoli przechodziła do świata, w którym istnieją tylko oni dwoje.

Rozkoszowała się tą chwilą i żałowała, że nie może trwać wiecznie.

W końcu Jack się poruszył. Uniósł jej podbródek, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

- Chodźmy do domu - zaproponował.

Skinęła głową, całkowicie pewna. Nadszedł czas.

Rozdział 16

Wracali do domu ciemnymi ulicami. Nie było daleko, ale oboje mogli jeszcze zmienić zdanie. Jackowi nie mieściło się w głowie, że to robi. To przecież Tess, na miłość boską. Wrzód na tyłku. Niechciana przyrodnia siostra.

Teraz te słowa były puste, nic nie znaczyły. Bo to także Tess - piękna kobieta, i nie jest z nim spokrewniona. Tess, która doprowadza go do szaleństwa. Tess, której pragnął bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety przez całe swoje życie.

Tess, która mimo kolców i złośliwości wydawała mu się bardzo wrażliwa. I samotna. Wyczuwał w niej pustkę podobną do tej, której sam doświadczał. Nie wypełnią jej przyjaciele. Ta pustka przenika najdalsze zakamarki duszy .

Oczywiście, było ze sto innych powodów, dla których powinien zmienić zamiary: na przykład rano Tess żywcem obedrze go ze skóry, ale nie mógł teraz zrezygnować. Chociaż raz w życiu musi się przekonać, jak to jest z kobietą, która tak bardzo go porusza.

Miał tylko nadzieję, że Tess nie będzie miała do siebie pretensji. Jednego był pewien - bardzo łatwo ją zranić.

Doszli do domu. Otworzył drzwi i znaleźli się w chłodnej ciemności. Zastanawiał się, czy zapalić światło, ale uznał, że lepiej nie. Ciemność wydawała się taka bezpieczna, kojąca...

Nie puścił jej ręki. Poszli korytarzem. Jeśli do tej pory miała jakieś wątpliwości co do jego intencji, teraz wszystko jest jasne. Niemożliwe, żeby prowadził ją do sypialni w innym celu. Szła posłusznie.

Przeszył go dreszcz, gdy uświadomił sobie, że oto oboje znaleźli się w magicznym świecie.

Zdecydował się na jej sypialnię. Nie zamknął drzwi, nie chcąc, żeby poczuła się jak w pułapce.

Wtedy sobie przypomniał, co jej się kiedyś wymknęło - że z nikim się jeszcze nie kochała. Przestraszył się. Nigdy dotąd nie

kochał się z niedoświadczoną kobietą i nagle ogarnęły go wątpliwości. A jeśli zrobi coś nie tak? Jeśli ją przestraszy, skrzywdzi albo zawstydzi? Wiedział jednak, że gdyby teraz się wycofał, skrzywdziłby ją o wiele bardziej, niż jeśli coś im się nie uda. Gdyby teraz odszedł, uznałaby, że ją odrzucił.

Tess podeszła bliżej, dzieliły ich tylko centymetry. Odchyliła głowę do tyłu. Ledwie ją widział w mdłym świetle latarni, sączącym się przez zasłony w oknach.

- Jack? - spytała cicho, głosem drżącym z pożądania.

Nagle wszystkie jego wątpliwości zniknęły. Jeszcze nigdy nie czuł się tak wspaniale. Nigdy. Zawsze żył na krawędzi, szukał nowych wyzwań. I oto teraz stoi przed nim nowe, upajające wyzwanie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował; miał wrażenie, że przenika wprost do duszy Tess, do jej serca. Barwne plamy wirowały mu przed oczami, najpierw pastelowe, chłodne, kojące, potem coraz żywsze. Pragnął jej każdą komórką swego ciała.

Tess łączywie zaczerpnęła tchu. Opuszkami palców dotknęła jego ust, ostrożnie, delikatnie, jakby ze zdziwieniem.

- Nie przypuszczałam...

On też nie. Przedtem doświadczył namiętności, ale to coś innego, coś głębszego, pełniejszego. Wprawiało w taką samą euforię, ale było silniejsze.

Zrobił najtrudniejszy pierwszy krok - uniósł skraj jej koszulki. Jakby na to czekała. Westchnęła cicho i uniosła ręce nad głowę.

Czuł, jak serce bije mu coraz szybciej. Teraz przydałoby się światło, chciałby widzieć ją całą, ale bał się, że magia pryśnie. Zadowolił się widokiem samych zarysów. Biały stanik był bladą plamą w ciemności.

Pragnęła tego samego co on, odnalazła dłońmi skraj jego koszuli. Kiedy szarpnęła ją do góry, znalazł się w siódmym niebie.

Zdjął koszulę i przyciągnął Tess do siebie. Rozkoszowali się swoją bliskością. Nie ma pośpiechu, upominał się. Mają całą noc.

Jego dłonie zdawały się kierować własnym rozumem; błądziły po jej plecach, uczyły się gładkości jej skóry, delikatnego rysunku kręgosłupa. Poczul, że przeszył ją dreszcz. Wtuliła twarz w jego pierś i poruszyła się lekko.

Ogarnęła go euforia, gdy wyczuł w niej podniecenie. Zapragnął jej jeszcze bardziej.

Nadal jednak panował nad sobą. Powoli rozpiął jej stanik. W ciemności ledwie widział jej piersi. Urzekła go tajemnica tej chwili, miał wrażenie, że stara się przeniknąć wzrokiem zasłonę, za która kryją się niewypowiedziane skarby. Jego ręce nie były ślepe, dotknęły jej piersi. Głośno zaczerpnęła tchu. Jacka przeszył dreszcz. Małe i jędrne, zdawały się prosić o więcej uwagi. Nie miał nic przeciwko temu. Delikatnie muskał nabrzmiące sutki. Odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła głośno. Złapała go za ramiona, jakby się bała, że upadnie.

Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Ułożył ją, sam uklęknął okrakiem. Bez słowa ujął jej nadgarstki i przytrzymał nad głową.

- Leż spokojnie - szepnął. - Leż spokojnie.

Może otworzyła szerzej oczy, ale nie widział tego. Zaczył ustami jej obojczyki, zostawił za sobą chłodny wilgotny ślad. Oddychała coraz szybciej, płycej. Przesunął językiem między piersiami. Zadrżała i jęknęła głośno. Poruszyła rękami, chcąc się wyzwolić, ale wzmocnił uścisk.

- Nie. Cierpliwości, Tess.

Uspokoiła się, ale tylko na chwilę, bo znowu poczuła na sobie jego usta. Musnął językiem brzuch, wrócił do jej piersi. Pieścił je ustami najpierw powoli, delikatnie, potem coraz mocniej. Oddychała głośno. Kiedy szepnęła jego imię, był to najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszał.

Cierpliwości, powtarzał sobie. Cierpliwości. Jego ciało pulsowało, domagało się spełnienia, ale lekceważył to. Dotykał

jej tylko dłońmi i ustami, z obawy, że zapomni, co jest najważniejsze i szybko zaspokoi swoje pragnienie. Całą noc, mamy całą noc, powtarzał sobie.

Zacisnęła mu dłonie na plecach, wygięła się w łuk, jakby błagała o więcej pieszczot. Spełnił tę prośbę, aż jęknęła z rozkoszy.

Szepnęła jego imię. W odpowiedzi zerwał się z łóżka i sięgnął do paska szortów. Nagi, pochylił się nad nią. Miała szorty na gumkę, tym łatwiej było je ściągnąć. Zaplątały się na jej tenisówkach, więc szybko je zdjął. Była naga, tak jak on.

Tak miało być, pomyślał mgliście. Właśnie tak miało być.

Uniósł jej stopę do ust, pocałował kostkę, łydkę. To samo zrobił z drugą stopą.

Powoli przesuwiał się coraz wyżej, poznawał ją ustami, aż nie mogła już dłużej wytrzymać.

Minął ciemny trójkąt, zostawiał to na koniec. Dmuchał lekko w pepek; roześmiała się lekko, beztrudnie. Skoro nadal chce się śmiać, wszystko jest porządku.

Położył się o b o k niej, wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Dalila - szepnęła. T y m razem przyjęła komplement. Głośno wciągnął powietrze, gdy jej drobna dłoń zamknęła się na nim. Prawie umierał z rozkoszy.

Z braku doświadczenia dotykała go trochę niezdarnie, ale nie zrezygnowałby z tej chwili za żadne skarby. Wydawało się, że Tess instynktownie wie, co sprawi mu przyjemność. Panował nad sobą resztkami sił, gdy jej usta zamknęły się na jego sutku i przekonał się, że jest równie wrażliwy jak ona na tę pieszczotę.

Przez kilka minut leżał bez ruchu, sparaliżowany rozkoszą. Pożądanie narastało. Wreszcie Tess szarpnęła go lekko, jakby chciała wciągnąć go na siebie.

Była otwarta i gotowa, ujęła nawet jego biodra, jakby go ponaglała.

Jeszcze jedno nie dawało mu spokoju.

- Może zboleć, Tess.

- Wiem - szepnęła. - Wiem...

Wszedł w nią jednym silnym ruchem i ogarnęła go fala rozkoszy, wstrząsała całym jego ciałem, całą jego istotą. Usłyszał, jak jęknęła, bezradnie, cicho, i zamarł.

Wziął jej twarz w dłonie i zasypał pocałunkami.

- Przepraszam - szeptał - przepraszam...

Zesztywniała, wstrzymała oddech. W końcu głośno wypuściła powietrze z płuc i nabrała tchu.

- Już dobrze? - zapytał zmartwiony.

- Lepiej.

- Przystanę.

- Nie. - Zaciśnęła dłonie. - Nie! - Jakby na potwierdzenie tych słów, uniosła się lekko, poruszyła instynktownie, zmysłowo. Zapomniał o całym świecie. Pozwolił, by poprowadziła go do spełnienia. Wydawało się, że zna drogę. Wkrótce eksplodował na milion kawałków.

- W każdej chwili możesz mi obciąć włosy - powiedział później.

Szczęśliwa, zachichotała z twarzą wtuloną w jego ramię. Słuchał tego z przyjemnością: to znaczy, że nie zrobił jej krzywdy, że nie żałuje tego, co między nimi zaszło.

Tylko że jeszcze nie szczytowała. Musi coś na to poradzić. Przyłapał się na rozważaniach, ile zniesie, zanim wstyd weźmie górę.

Jezu, z doświadczoną partnerką wszystko jest o wiele łatwiejsze. Z drugiej strony...

Z drugiej strony za żadne skarby świata nie chciałby przegapić tego doświadczenia z Tess. Szczerze mówiąc, podobała mu się jej świeżość, jej zachwyt nad wszystkim, co nowe.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

- Zaraz wracam - powiedział i pocałował ją w czoło. Wyciągnęła ręce, jakby nie chciała go puścić. Nigdy w życiu nie czuł się równie dobrze.

W łazience zmoczył gąbkę ciepłą wodą. Po powrocie do sypialni przysiadł na skraju łóżka i delikatnie umył jej uda.

W pierwszym odruchu zareagowała nerwowym chichotem, ale zaraz się odprężyła, pozwalając, by robił co zechce ciepłą, mokrą gąbką. Po chwili Tess jęczała cicho, mimowolnie poruszając biodrami.

Jack przyjął zaproszenie, odłożył gąbkę i wślizgnął się między jej uda, tak że mógł pieścić ją ustami. W pierwszej chwili znieruchomiała, ale wkrótce zapomniała o całym świecie, poddawała się jego pieścizdom, jęcząc gardłowo.

Wznosiła się coraz wyżej, a Jack rozkoszował się jej reakcją jakby sam to przeżywał. Nagle wplotła palce w jego włosy, jakby z obawy, że odejdzie. Chwilę później osiągnęła szczyt z przejmującym krzykiem.

Czasami życie jest takie piękne. Tak cholernie piękne.

Prysznic był ciepły. Jack wciągnął Tess do kabiny i trzymał ją w ramionach. Była miękka, ciepła i drobna, przymknęła oczy, uśmiechała się lekko. Podobała mu się taka. Oddałby wiele, żeby zawsze taka była.

Szkoda, że to nie potrwa dłużej. Ta myśl popsowała mu humor. Przypomnił sobie, że Tess w rzeczywistości jest kłótniwa i złośliwa. A teraz będzie jeszcze gorsza, bo widział ją bez tarczy ochronnej, bezbroną. Poznał cudowną, łagodną kobietę.

Świetnie... Jeśli jeszcze bardziej pogorszył sytuację, Steve i Brigitte nie darują mu do końca życia.

Jednak na razie nie chciał o tym myśleć. Na razie nie chciał myśleć o niczym poza kobietą w ramionach. Jak dobrze mieć ją przy sobie. Jak łatwo sobie wyobrazić, że tak będzie już zawsze.

- To takie przyjemne - mruknęła. Jej dłonie, śliskie od mydła, błędziły po jego plecach i pośladkach. Odwzajemnił się podobną pieścizotą.

Niestety akurat w tym momencie skończyła się ciepła woda. Zazwyczaj na Florydzie zimna woda jest w najgorszym

wypadku letnia, lecz tym razem lodowaty strumień sprawił, że jednocześnie wyskoczyli spod prysznica.

Tess pisnęła i parsknęła śmiechem. Jack zakręcił wodę.

Zmarznięci i mokrzy stali naprzeciw siebie. Powietrze w łazience gęstniało od pożądania i nagle żadne z nich nie czuło chłodu.

Po chwili wrócili do łóżka i zapomnieli o całym świecie.

Ranek nadszedł za szybko. Jack otworzył jedno oko i rozejrzał się dokoła. Miał przeczucie, że nie ominą go kłopoty, gdy się zorientował, że śpi sam w łóżku Tess.

Ukryła się w kuchni. Kulila się nad kubkiem kawy. Nie słyszała, jak nadchodził, więc obserwował ją przez dłuższą chwilę. Boże, wygląda jak kupka nieszczęścia. Jak przemoknięty kociak. Albo zbity pies.

Cholera. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i odszedł jak najdalej od tego wszystkiego. Ich wspólna noc była piękna, a takie przeżycia nie zdarzają się często. Powinni świętować, a nie żałować. Powinni razem szykować romantyczne śniadanie, a nie szykować się do kłótni.

Co też mu chodzi po głowie? Romantyczne śniadanie? Bliskość Tess ma zły wpływ na jego władze umysłowe. Nigdy nie myślał o takich rzeczach.

Wiedział, że co ma być, to będzie, ale czasami da się to opóźnić. Podeszedł do dzbanka z kawą. Kątem oka widział, jak Tess gwałtownie podniosła głowę i zaraz znowu utkwiała wzrok w kubku.

- Dzień dobry - zaczął z nadzieją, że po głosie nie pozna, jak się czuje: jakby wkraczał na pole minowe, nie mając zielonego pojęcia, gdzie sarniny.

- Dzień dobry - odparła cicho. Zdecydowanie za cicho. Za smutno. Zbyt niepewnie.

Stłumił westchnienie, odsunął sobie krzesło i usiadł koło niej. Nieważne, że Tess stara się utrzymać dystans; nie pozwoli, by podzielił ich stół. Jeszcze nie.

Nie powiedziała nic więcej. Czekał. Jeśli ludzie chcą mówić, odezwią się w swoim czasie. Ta strategia sprawdzała się doskonale w przypadku handlarzy narkotykami, którzy prędzej czy później zaczynali opowiadać, czy to żeby się pochwalić, czy żeby sobie ulżyć. Tylko nieliczni potrafili długo milczeć.

Najwyraźniej Tess jest wyjątkowa. Siedziała bez słowa, ponuro wpatrzona w kubek z kawą.

- Czy... czy to jeszcze niewyspanie, czy stało się coś strasznego? - zapytał w końcu.

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie lubię rano wstawać.

- Aha. - Nie uwierzył. Świetnie. Po prostu świetnie. W nocy najlepszy seks w jego życiu, a już na pewno w jej, przecież jest taka niedoświadczona, a rano siedzi ponura jak śmierć. Nic tak dobrze nie robi na męskie ego. I na serce, bo chyba to go właśnie boli.

Stary instynkt podpowiadał, żeby odejść. Od lat unikał emocjonalnych więzi z kobietami; zawsze odchodził. Była to najprostsza droga obrony. Korzystał z niej skwapliwie, tłumacząc sobie, że ze swoim zawodem nie nadaje się na męża. Jego zdaniem kobieta wyobraża sobie, że pogodziłaby się z jego długimi nieobecnościami i ciągłym niebezpieczeństwem, ale gdyby przyszło co do czego, zamieniłaby w piekło życie ich obojga.

Tak więc unikał płci pięknej ze szlachetności - tak przynajmniej sobie wmawiał. Choć wiedział doskonale, że nie są ani słabsze, ani bardziej delikatne. Właściwie, jakby się temu dokładnie przyjrzeć, kobiety są o wiele silniejsze od mężczyzn. Lecz są także o wiele bardziej uczuciowe. Faceci powinni zawsze mieć to na uwadze.

Zapomniał o tym ostatniej nocy i teraz zrobiło mu się głupio. Powinien był wykazać więcej rozumu.

- Czy... -nie wiedział, jak o tym rozmawiać - czyjesteś zła... z powodu ostatniej nocy?

Zarumieniła się odrobinę.

- Nie.
- Aha. - Teraz on był zbity z tropu. Jeśli nie żałuje, dlaczego jest smutna? Może powinien był ją objąć i pocałować, gdy tylko wszedł do kuchni. Nie zrobił tego, bo myślał, że żałuje, ale jeśli nie oto chodzi... Nie, to nie ma sensu.

W końcu stwierdził:

- Niestety, dla mnie to za wcześnie na poważne rozmyślania.

- O co ci chodzi?

- Staram się wymyślić, co takiego zrobiłem, że jesteś w parszywym humorze i jak mam się zachować, żeby cię jeszcze bardziej nie drażnić, ale kręcę się w kółko, aż mnie mózg boli. Więc mam prośbę: czy możemy odłożyć moralne rozterki na później? Najpierw muszę się napić kawy.

Rozbawiło ją to.

- No jasne. Ja też zaczęłam od kawy.
- Dobra, już nic nie powiem.
- Nie przemęczaj szarych komórek, zanim nie nasiąkną kofeiną.

- Nie martw się.

Wzniósł kubek w żartobliwym toaście. Ledwie zamoczył usta, Tess wtuliła głowę w ramiona, smutna jak przedtem.

Nieźle kłamie, ale nie na tyle, by go nabrać. Martwiła ją ostatnia noc, a on nadal nie wiedział dlaczego.

Nigdy mu nie powie, czemu uważa, że ostatnia noc to błąd. Nie dlatego, że było wspaniale. Nie dlatego, że żałuje, że się kochała po raz pierwszy w życiu. Dlatego, że obawia się zmiany swoich uczuć wobec Jacka.

Nagle pragnęła go tulić i dotykać, zatrzymać przy sobie na zawsze. To niemożliwe i ona dobrze o tym wie. Jezu, przecież Jack nawet jej nie lubi. Jeszcze ta praca... Może się tłumaczyć, że pracuje dla Wuja Sama; ona i tak wie, że w głębi duszy jest piratem; na co dzień przebywa wśród przemytników i handlarzy narkotyków. Trzysta lat temu żeglowałaby po Morzu Karaibskim pod czarną flagą.

Broniąc się przed cierpieniem, próbowała zobaczyć w nim dawnego Jacka, który ciągle ją irytował, ale na próżno. Widziała zabójczo przystojnego mężczyznę z włosami rozjaśnionymi słońcem i złotą opalenizną. Nawet karaibski akcent, który dawniej ją drażnił, teraz tylko dodawał mu uroku.

W białej koszuli i zielonych szortach wyglądał wspaniale. Miała ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć. Pragnęła wrócić do łóżka i jeszcze raz zaznać cudownej bliskości.

Westchnął, usiadł wygodniej, założył nogę na nogę, oparł kostkę na kolanie. Nagle przypomniała sobie dokładnie, jak dotykała jego ciała poprzedniej nocy.

- Ha - mruknął.
- Co?
- Ha - powtórzył.
- Czyli?
- Zbieg okoliczności.
- Jaki zbieg okoliczności?

Wskazał lodówkę.

- Wyspa Teda. Kwit z Pralni Teda. Nie znasz tego uczucia? Zauważysz coś raz, a potem ci się wydaje, że to jest wszędzie?

- Tak. - Kiedy o tym pomyślała, musiała przyznać, że rzeczywiście jej się to zdarzało.

- Kilka miesięcy temu jednego dnia poznałam trzy kobiety o imieniu Laryssa. Zapamiętałam, bo to takie nietypowe imię. Ale to tylko zbieg okoliczności.

- Synchroniczność - poprawił. - Ja to tak nazywam. Wygląda na to, że mamy kilku synchronicznych Tedów. Zaraz, zaraz, czy chłopak Mary Todd nie ma przypadkiem na imię Ted?

- Chyba tak - Tess zastanawiała się przez chwilę. Nagle się ożywiła. - Jack? Myślisz, że on wie, gdzie oni są, prawda?

Wstał.

- Idę po buty. I jedno ci powiem: nie przepuszczę żadnemu Tedowi.

Rozdział 17

Królestwo za samochód - mruknął. Szli do domu Mary Todd. Tess przytaknęła. Co prawda Paradise Beach jest na tyle małe, że wszędzie można bez trudu dojść na piechotę, ale teraz było im szkoda czasu.

- Może powinniśmy zadzwonić, żeby się upewnić, że ktoś będzie w domu.

- Zadzwonić? Żeby uciekła? O, nie.

- Ciągle zapominam, że mam do czynienia z agentem DEA. Zerknął na nią.

- Co masz na myśli?

- Że dla ciebie łapanie przestępców to normalka. Ale Mary nie zrobiła nic złego. Niby dlaczego miałyby uciekać, jeśli zadzwonimy i zapytamy, czy możemy na chwilę wpaść?

Pokręcił głową.

- Mówisz jak ktoś, kto nie ma nic do ukrycia. A Mary tkwi w tym po uszy.

Przemyślała to.

- Chyba tak - przyznała. - Ale na jakiej podstawie sądzisz, że coś z niej wyciągniemy? Nie tak dawno twierdziłeś, że nic nam nie powie, choćbyśmy wbijali jej drzazgi pod paznokcie.

- Nie chcę jej wypytywać o Steve'a i Brigitte. Interesuje mnie, gdzie znajdziemy jej chłopaka. Wypytam jego.

- Myślisz, że będzie bardziej chętny do współpracy?

- Wydaje mi się, że nie wpakował się w to z własnej woli.

- Aha. - Przypomniała sobie kilka minut w jego towarzystwie i przyznała Jackowi rację. - Przedstawił się nam, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, jak ma na nazwisko.

- Ja też nie. Po prostu nie zwracałem na niego uwagi.

- Zawsze miałam kiepską pamięć do nazwisk. Zapamiętuję numery legitymacji czy prawa jazdy po jednym spojrzeniu, ale nie nazwiska.

Uniósł brew.

- Dziwaczne.
- Wiem. - Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia, choć w rzeczywistości zrobiło jej się przykro. Nie chciała być dziwaczką.

Nie zamierzał na tym skończyć.

- Więc cyfry to twoi przyjaciele, tak?

Spojrzała gniewnie.

- Lepsze cyfry niż handlarze narkotykami.
- Punkt dla ciebie. Tylko że nie przyjaźnię się z handlarzami.

Tego ranka jednak los wyraźnie sobie z niego drwił, bo ledwie to powiedział, z najbliższego budynku wyszedł Ernesto.

- Ej, człowieku - zawołał.

Jack zatrzymał się w pół kroku.

- Gdzie żona i dzieciak?
- W hotelu. - Ernesto łypnął spode łba. - Człowieku, gadasz jak mój kurator. To nie twój interes. Jestem czysty.

- Tak? - Jack spojrzał na sklep, z którego wyszedł Ernesto.
- Czy mi się wydaje, czy tu naprawdę sprzedają fajki i bibułki?

Ernesto wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Kupiłem cygaro. - Pokazał torbę. - Chcesz zobaczyć?

Jack pokręcił głową.

- Jestem na urlopie. Ale jeśli lubisz cygara, jedź do Ybor City. Tam zwijają je ręcznie.

Ernesto wziął się pod boki, zadziornie wysunął podbródek.

- Dlaczego chcesz mnie stąd wyrzucić, człowieku? Mam prawo tu być, jak każdy.

- A czy ja mówię, że nie?

- Więc czemu w kółko powtarzasz, żebym wyjechał?

- Wcale nie. - Jack przewrócił oczami. - Słuchaj, spieszmy się na spotkanie. Przepuść nas, dobrze?

Lecz Ernesto nie miał najmniejszego zamiaru posłuchać, tylko przybrał jeszcze bardziej bojową minę.

- Kazaleś mi jechać do Ybor. To tak, jakbyś kazał mi się wynosić.

Tess obserwowała tę scenę z niedowierzaniem. Co prawda Ernesto nie błyszczał intelektem, ale też nie zachowywał się jak wariat, przynajmniej tamtej nocy, podczas huraganu, a teraz naumyślnie nie daje im przejść.

- Jestem ci coś winien, człowieku - wskazał Jacka palcem. - I to dużo. Wsadziłeś mnie za kratki.

- Nie, sam się wsadziłeś za kratki - poprawił Jack. - To ty handlowałeś narkotykami.

- Właśnie o to mi chodzi.

Jack westchnął.

- Czego ty chcesz, do cholery? Bo jesteś redundantny.

- Redundantny? Co to znaczy? - Ernesto był bardzo podejrzliwy. - Nie robię nic złego, jestem na urlopie.

- Redundantny znaczy nieistotny. Nieważny. Zbędny.

Tess odezwała się po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

- Co ty? Czytasz słownik w wolnym czasie?

- Czasami.

- Ej - Ernesto był urażony. - Jestem bardzo potrzebny.

- Nie mnie, nie teraz. Jesteś zbędny. Gdybym miał napisać sprawozdanie o obecnej sytuacji, nawet bym cię nie wymienił. Gdybym był autorem, wyrzuciłbym cię z tej bajki.

Ernesto był już nie tylko urażony, był także smutny.

- Ej, człowieku, przykro mi, że masz kłopoty. Nie moja wina, że ciągle cię spotykam. Naprawdę mi przykro, że twoi starzy przepadli. Ale wyjechali nie przeze mnie, tylko przez was.

Nadal obrażony, chciał odejść.

- Chwilę - Jack złapał go za ramię. Ernesto spojrzał na rękę na swoim barku.

- To naruszenie dóbr osobistych, człowieku. Ręce przy sobie.

Jack natychmiast opuścił rękę.

- Co to ma znaczyć?

- Znaczyć? Niby co? - Ernesto ostentacyjnie otrzepał rękaw.

- Że Brigitte i Steve przepadli przez nas?

- Przecież o to chodzi, nie? W każdym razie tak powiedziała.

- Powiedziała? Kto?

- Brigitte, człowieku. Twoja macocha.

- Cholera! - Tess nie mogła dłużej wytrzymać tej dziwacznej rozmowy.

Ernesto spojrział na nią ciekawie.

- A tobie o co chodzi?

- O ciebie! Przejdź do rzeczy!

- Do jakiej rzeczy?

- Niby dlaczego rozmawiałeś z moją matką? Ernesto się wyprostował.

- To już nie można sobie nawet porozmawiać? Co z wami? Teraz rozumiem, czemu miała was dosyć.

- Boże drogi - mruknął Jack do Tess. - Tego już za wiele. Omawiała problemy rodzinne z handlarzem narkotyków?

- To mnie nie dziwi. Zastanawia mnie raczej, jak go poznała - stwierdziła Tess. - Za dużo tych zbiegów okoliczności.

- Zbiegów okoliczności? - powtórzył Ernesto. - A kto tu mówi o zbiegach okoliczności? Przyjechałem tu, bo go szukałem - wskazał Jacka.

Jack zeszywniał, Tess poczuła ukłucie strachu.

- Ernesto, gdyby nie ja, zrobiłby to ktoś inny.

- Może tak. Może byłbym już martwy. Julia w kółko mi to powtarza. - Ernesto wzruszył ramionami.

- Mądra kobieta.

- Jest super. A mała jaka fajna, nie?

- Tak, tak. - Jack powoli tracił cierpliwość. - Ale co Brigitte ma z tym wspólnego?

- Niewiele - przyznał Ernesto. - To przez Julię.

- Co przez Julię?

- No, to jej вина.

Tess wyobraziła sobie, że potrząsa Ernesto, aż mu dzwonią zęby. Czyżby pomylili się, zakładając, że to plan Brigitte? A jeśli Ernesto zrobił jej krzywdę? To wina Julii? To brzmi bardzo groźnie.

- Przejdź do rzeczy - ponaglił Jack. - Zrobiłeś coś naszym rodzicom?

- Nie!

- Porwałś ich?

- Już ci mówiłem, człowieku! Nie! Nic im nie zrobiłem! Jeśli uważasz, że to moja wina, to naprawdę jestem reddenundantny, czy jak tam to było!

- Redundantny - poprawił Jack, choć już wcale tak nie uważał. - Ale rozmawiałeś z nimi. Dlaczego?

- Wcale z nimi nie rozmawiałem.

- Przecież dopiero co powiedziałeś... - Jack zrobił krok do przodu, zacisnął pięści, jakby chciał go udusić.

Ernesto cofnął się przezornie.

- Uważaj, człowieku.

- Powiedz, o czym z nimi rozmawiałeś.

- O niczym! Jack podszedł bliżej.

- To Julia! - krzyknął Ernesto.

Jack zamarł. Spojrzał na Tess. Tess spojrzała na Jacka. Potem oboje spojrzeli na Ernesto i powtórzyli jednocześnie:

- Julia?

- Julia z nią rozmawiała - tłumaczył Ernesto pospiesznie. - Julia chciała ci podziękować, że mnie uratowałeś. Ona tak uważa, w kółko powtarza, że gdybyś mnie nie zapudłował, byłbym dzisiaj trupem. Więc... - wzruszył ramionami. - Dowiedziała się, gdzie mieszkasz. A kiedy przyjechaliśmy tu na...

- Zaraz, zaraz - Jack wpadł mu w słowo. - Julia się dowiedziała, gdzie mieszkam? Jak?

- Nie wiem. Julia wie dużo rzeczy. Nie mówiłem ci? Jest gliną. Pracuje w policji, w Miami.

Jack zaklął.

- Nie do wiary. Gdzie jest?
- Tam, w kawiarni. - Ernesto machnął ręką. - Ja tylko wyszedłem po cygaro.

- Idziemy - zdecydował Jack. - Natychmiast.

Julia siedziała przy małym stoliczku, z dzieckiem na rękę. Zdziwiła się na widok Tess i Jacka, ale uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Podobno jesteś z policji - Jack od razu przeszedł do rzeczy.

Skinęła głową.

- Ernie ci powiedział?

- Tak. Dlaczego nic o tym nie mówiłaś?

- Nie pytałeś. Zresztą, Ernie się wstydzi, że ma żonę policjantkę.

- Nieprawda - powiedział Ernesto, ale rzeczywiście wyglądał, jakby się wstydził.

- Prawda, prawda. - Julia spojrzała na niego czule. Ponownie zwróciła się do Jacka. - Nie widziałam powodu, żeby ci o tym mówić.

- Odnalazłaś mnie. Nie sądzisz, że to mogło mnie zaniepokoić?

- Cóż, po rozmowie z twoją matką zdecydowałam, że ci nie powiem. Nie martwi nas coś, o czym nie wiemy.

- Kiedy rozmawiałaś z Brigitte? I o czym?

Dziecko zaczęło się wiercić, więc Julia podała je Ernesto. Wziął córeczkę ostrożnie i delikatnie. Julia wyciągnęła butelkę ze smoczkiem z dużej torby.

- Chyba jest głodna. Macie ochotę na cappuccino?

- Nie, dzięki - Jack i Tess powiedzieli to jednocześnie. - Wracajmy do Brigitte, dobrze?

- Jasne. - Julia napiła się kawy. - Rzeczywiście przyjechałam tu, żeby się z tobą zobaczyć. Chciałam ci podziękować, że ocaliłeś Ernesto. Wolałam, żeby zrobił to osobiście, ale chyba jeszcze nie jest gotowy. Czasami nadal się wścieka, że siedział.

- Coś takiego - prychnął Ernesto.
- W każdym razie - Julia uciszyła męża jednym spojrzeniem - chodziliśmy razem do szkoły średniej. Już wtedy mi się podobał, ale nie miał dla mnie czasu, za bardzo zajmowały go jakieś podejrzone sprawy. Więc i tak bym się z nim nie umówiła, nawet gdyby mnie prosił. Ale kiedy wyszedł z więzienia dwa lata temu... bardzo się zmienił. Więc chciałam ci powiedzieć, że ocaliłeś mu życie. I podziękować.

Jack był wyraźnie speszony, a Tess próbowała sobie wyobrazić, jakie to uczucie: przyjmować wyrazy wdzięczności od żony faceta, którego wsadziło się za kratki.

- To był głupi pomysł - przyznała Julia. - Teraz to wiem. Ale miesiąc temu zdobyłam adres twoich rodziców i przyjechałam, żeby się dowiedzieć, jak mogę się z tobą skontaktować. Twoja mama nic mi nie powiedziała.

- Mądra kobieta - mruknął Jack.
- Powiedziałam nawet, że jestem z policji. Możesz się nie martwić. Nie zdradzi cię przed nikim. Poprosiłam więc, żeby powiedziała ci o mnie, Guadalupe i Ernesto. Pomyślałam, że może to cię ucieszy. Choć trochę.

- Czuję się jak Matka Teresa. - Jack skinął głową.

Julia się roześmiała.

- No dobra, jak powiedziałam, to był głupi pomysł, ale po urodzeniu Guadalupe byłam w euforii. Porozmawiałam sobie szczerze z twoją matką. Mówiła, jak bardzo się o was martwi. I że rzadko was widuje. Oboje.

Tess poruszyła się niespokojnie. Miała nadzieję, że się nie rumieni. Jack popatrzył na nią ze współczuciem.

- Wygląda na to, że cały świat wie, że nie możemy się dogadać.

- Na to wygląda - zgodziła się.

Ernesto włączył się do rozmowy.

- Nie rozumiem, o co tyle hałasu. Cały czas kłócę się z siostrą.

Pozostała trójka tylko na niego spojrzała. Wzruszył ramionami i ponownie zajął się dzieckiem.

Jack wrócił wzrokiem do Julii.

- Mówiła, dokąd się wybierają?
- Nie, tylko że jadą na urlop na Karaiby. Do przyjaciela, o ile pamiętam.

- Do przyjaciela? - Jack uniósł brwi. - Jesteś pewna?
- Tak, mówiła coś o domu przyjaciela. Zapamiętałam to, bo pomyślałam, że fajnie jest mieć przyjaciół na Karaibach.

- No, tak. Dziesięć minut później Tess i Jack maszerowali do Mary Todd.

- To ten Ted - stwierdził Jack. - Przyjaciel Mary. Na pewno.

- Zgadzam się. - Miała krótsze nogi niż on i denerwowało ją, że ciągle musi go gonić. - Do licha, Jack, zwolnij trochę. To nie wyścig.

- Przepraszam. - Natychmiast posłuchał. - Nie podoba mi się to, Tess. Ani trochę.

- Mnie też nie.

Co Brigitte i Steve sobie myśleli, wykręcając im taki numer? Postawili ich życie na głowie. Jakaś jej częśćka miała ochotę dać rodzicom nauczkę -po prostu wrócić do domu.

Nie mogła jednak tego zrobić. A gdzieś w głębi duszy wiedziała, że głównym powodem, dla którego tu zostaje, jest Jack. Arogancki, denerwujący, seksowny Jack Wright - ten Właściwy.

To tylko zauroczenie. Minie po kilku dniach i wszystko wróci do normy. Na razie jednak nie ma wyjścia, musi tutaj z nim zostać.

Zerknęła na niego ukradkiem. Wydawał się bardzo zdenerwowany i zdeterminowany. Czuła, że dzisiaj nie spocznie, póki sienie dowie, gdzie są rodzice. I nagle złapała się na myśli, że lepiej byłoby, gdyby nie był taki zdecydowany. Gdyby zwolnił i dał im jeszcze trochę czasu.

Ba, zapragnęła nawet, żeby Jack się mylił, żeby Mary Todd i jej Ted nie mieli pojęcia, gdzie są Steve i Brigitte. To, co prawda, opóźniłoby ich rozstanie, ale nie rozwiązałoby problemu.

Właściwie jakiego problemu? Zastanawiała się, idąc bulwarem. Wrażenie matki, że ona i Jack za bardzo się kłóca? Czy może fakt, że nagle przestali się kłócić? Że są sobie bliżsi niż kiedykolwiek?

Oczywiście niewykluczone, że tylko ona tak to odbiera, a tymczasem Jack nie może się doczekać, kiedy się jej pozbędzie, skoro już zaciągnął ją do łóżka. Z opowiadań przyjaciółek wiedziała, że mężczyźni często tak robią. To jeden z powodów, dla których do tej pory była dziewicą. Mężczyźni zawsze odchodzą, prędzej czy później. Na przykład jej ojciec.

Nagle pożałowała, że okazała się taka głupia. Przecież Jack na pewno jest taki jak inni. I dlatego jest kawalerem w wieku trzydziestu sześciu lat?

Ponure myśli dręczyły ją przez całą drogę do domu Mary Todd. Humoru nie poprawił jej fakt, że nikogo nie było w domu.

- Mówiłam, że trzeba było zadzwonić - burknęła. Usiadła na najwyższym stopniu werandy.

- Jedną z rzeczy, która mnie w tobie najbardziej wkurza, jest gotowość do mówienia „A nie mówiłam”.

- Och, zamknij się. Bo mówiłam.

- Pewnie wyszła na krótko. Zaraz wróci. - Usadowił się koło niej.

- Co robimy? Będziemy tu siedzieć do północy? Wrócimy jutro?

- Bądź dobrej myśli. Pewnie poszła tylko do sklepu.

- Akurat.

Westchnął.

- Idź do domu, a ja na nią poczekam.

- Jeszcze czego! - To zabolalo. Chce ją splawic. - Musisz się męczyć w moim towarzystwie.

- A czyja powiedziałem, że twoje towarzystwo jest męczące?

- To się wyczuwa.

- Nic podobnego. Nie rozumiem po prostu, czemu oboje mamy tu bezproduktywnie siedzieć i się nudzić. Byłem uprzejmy.

- Ty? Ha!

- Zamknij się, Mała.

- Prędnij mi kaktus na dłoni wyrosnąć.

Nie odezwał się. Utkwił wzrok w popękanych płytach chodnika, potem spojrzął na morze, widoczne między budynkami po drugiej stronie promenady.

- Ciekawe, czemu dom Mary stoi po tej stronie promenady?

- Kiedy go budowano, nie było promenady.

- No tak.

- Pamiętam te czasy. Nie było promenady, hoteli, turystów... - Pokręcił głową. - To był inny świat. Tylko kilka domów. Nie było mostów, mieszkali tu głównie rybacy. Potem zbudowano most. To był początek końca.

- Zależy jak na to patrzeć.

- Wtedy budowano na tyle daleko od plaży, żeby nie zalewało domu podczas każdej burzy. Oczywiście, to na nic przy potężnym huraganie. Niewiele trzeba, żeby cała wyspa znalazła się pod wodą. Ale zwykła burza... - Wzruszył ramionami.

- Dzisiaj ludzie są głupi.

- Nie, to nie to. Nie szanują natury. Co prawda dzisiaj mamy ubezpieczenia. To drogie, ale dzięki temu nie tracą wszystkiego. Podejmują ryzyko, że będą musieli wszystko odbudować.

- Przodkowie Mary ryzykowali, że wszystko stracą.

- Fakt. - Uśmiechnął się niespodziewanie. - Czepiasz się wszystkiego, co powiem.

- Nieprawda. Chodziło mi o to, że ludzie od tysięcy lat osiedlają się u stóp Wezuwiusza, a nie wydaje mi się, żeby Rzymianie mieli polisy ubezpieczeniowe.

- Punkt dla ciebie.

Jej myśli błądziły już gdzie indziej.

- Byłabym wściekła, gdybym mieszkała w tym domu przez całe życie i nagle ktoś zepsuł mi widok, budując tamte domy.

- Ja też. Ale Mary chyba nie.

- Nie wyobrażam sobie tego.

- Czasami ludzie są bardziej wyluzowani niż ty, skarbie.

Skarbie? Nie wiedziała, jak to przyjąć, więc skupiła się na czymś innym.

O ile łatwiej się z nim kłócić niż zgadywać, co naprawdę o niej sądzi.

- Jestem tak samo wyluzowana jak inni.

- Czyżby? A kiedy? Wtedy kiedy dynia zmienia się w karoce?

Łypnęła na niego gniewnie.

- Czy mówiłam ci już, co o tobie myślę?

- Nieraz - odparł.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Gapiła się na swoje palce wystające z sandałów i zastanawiała się, dlaczego między nimi zawsze tak jest. Dlaczego wiecznie ją kusi, by go irytować? Dlaczego on ciągle jej dokucza? Nie reagowała tak na nikogo innego.

- Dobra - zaczął spokojnie. - Co jest?

- Nic a nic - odparła. Unikała jego wzroku. - A co ma być?

- Coś chyba jest, skoro gapisz się na swoje nogi i komplikujesz mi życie.

- Co, mam się z tobą kłócić?

- Nie. Martwię się, bo się dziwnie zachowujesz.

- Myślę.

- W porządku. - Umilkł na dłuższą chwilę. A potem cicho, od niechcenia, głosem, który przeczył wadze słów, zapytał: - Jak to się stało, że do tej pory nie spałaś z mężczyzną?

Pytanie zbiło ją z tropu. Nie chciała odpowiedzieć. Milczała dłuższą chwilę, w końcu głośno zaczerpnęła tchu.

- Przepraszam - rzucił. - To nie moja sprawa. Spojrzała wrogo.

- Jak to się stało, że do tej pory się nie ożeniłeś? Błysk w jego oczach zdradzał, że chyba cieszy się na tę rozmowę, jakby chciał to z siebie wyrzucić.

- Chcesz usłyszeć prawdę czy tylko to, co chcesz usłyszeć?

- Niczego nie chcę usłyszeć.

- Oczywiście, że chcesz. Chcesz, żebym powiedział coś okropnego, żebyś mogła wrócić do dziewiczego kokonu w Chicago.

- Do czego?

- Więc jak, Mała? Prawda czy to, co chcesz?

- Prawda, oczywiście!

- Jeśli powiem prawdę, odpłacisz tym samym?

Pałapka. Proponował wymianę, prawda za prawdę, i dała się złapać.

Niestety. Naprawdę chciała wiedzieć, czemu się nie ożenił.

A potem się zdziwiła, czemu w ogóle się waha. Przecież nie ma żadnych sekretów. Unikała mężczyzn, bo nie można na nich polegać - to proste. Może to powiedzieć, nie ma sprawy.

- Dobra. Prawda za prawdę. Dlaczego do tej pory sienie ożeniłeś?

- Przy mojej pracy jestem kiepskim kandydatem na męża. Dużo wyjeżdżam, często jestem w niebezpieczeństwie. To oficjalny powód.

O Boże. Serce w niej zamarło. Na tym się nie skończy. Powie coś jeszcze. Wyczuwała instynktownie, że nie chce tego usłyszeć, bo wówczas na zawsze zmieni o nim zdanie.

Zacisnęła dłonie.

- To nie wszystko. Trochę czasu minęło, zanim sobie to uświadomiłem. - Umilkł na chwilę.

- Prawda jest taka - powiedział w końcu - że widziałem, jak cierpiał ojciec po śmierci matki. I wiem jak ja cierpiałem. - Westchnął. - Więc jestem tchórzem. Nie chcę ryzykować, że jeszcze raz będę tak cierpiał.

Współczuła mu. Wiedziała, o czym mówi, jak to jest. I podziwiała jego odwagę, że to powiedział.

- Nie uważam, że jesteś tchórzem.

Uśmiechnął się ironicznie, ale oczy pozostały poważne.

- Nie? Mój ojciec bije mnie na głowę. Ożenił się ponownie.

- Ale on - mówiła powoli, bo uświadomiła sobie coś dopiero w tym momencie - on się zakochał.

- Taak. - Po kilku sekundach zapytał: - Chcesz powiedzieć, że ja się po prostu nigdy nie zakochałem?

- Może.

- Może - zgodził się. - Może. No dobra. - Odetchnął głęboko i wyraźnie się odprężył. - Twoja kolej, Mała. Kawę na ławę.

Już otwierała usta, by powiedzieć to, co planowała, ale po jego szczerym wyznaniu nie mogła spławić go byle czym.

- Nie ufam mężczyznom - powiedziała w końcu, nie wiedząc, co dalej, czy w ogóle wykrztusi coś więcej.

- Dlatego, że twój ojciec was zostawił?

Nie chciała się do tego przyznać. W jego ustach zabrzmiało to tak dziecinnie. Lecz w głębi serca wiedziała, że właśnie dlatego.

- Chyba tak - powiedziała w końcu. Miała nadzieję, że nie będzie się z niej śmiał. Był poważny. Wziął ją za rękę.

- Tak myślałem - mruknął. - Niezła z nas para, co?

Zacisnęła palce na jego dłoni.

- Wiesz... mówił, że mnie kocha. Że zawsze będzie mnie kochał, zawsze będzie moim tatą, że rozwód niczego nie zmieni, że go nie stracę.

- Ale straciłaś.
- Nigdy więcej go nie widziałam. Nigdy. I nigdy nie zapomnę, jak odchodzi ode mnie i wsiada do samochodu. Czasami mi się to śni.

 Nie odpowiedział od razu. Po pewnym czasie wstał, pociągnął ją lekko.

- Chodź, przejdziemy się. Później wrócimy do Mary Todd.

Rozdział 18

Była zadowolona. Z doświadczenia wiedziała, że długi spacer koi bolesne rany.

Jack cały czas trzymał ją za rękę. Ścisnął ją mocno. Odpowiedziała tym samym, zadowolona z jego bliskości.

Byli na plaży, spacerowali brzegiem morza, gdy powiedział:

- Może coś mu się stało.

- Nie. Alimenty przychodziły punktualnie jak w zegarku.

Po prostu nie chciał się ze mną widywać. - Wzruszyła ramionami, jakby to już nie miało znaczenia. Trochę głupio przyznać, że jeden człowiek podważył zaufanie do połowy ludzkości. - To przesada - oznajmiła. - Wyolbrzymiam to.

- Tak uważasz?

- Wiem to - poprawiła. - Nie każdy jest tak niegodny zaufania jak on.

- Może nie, ale przecież nie o to chodzi, prawda? Jej serce biło coraz szybciej. Nie była pewna, czy chce ciągnąć dalej tę rozmowę, wracać do bolesnych przeżyć, o których wołała nawet nie myśleć. Za żadne skarby. I tak nic dobrego z tego nie wyniknie. Jej zdaniem analizowanie uczuć nie przynosi nic dobrego.

- Postawmy sprawę jasno - ciągnął Jack. - Ojciec zniszczył twoją wiarę w siebie.

Zatrzymała się gwałtownie, puściła jego rękę, odwróciła się twarzą do morza. Fala zmoczyła jej stopy, lecz nawet tego nie poczuła.

- Nie przesadzajmy-powiedziała sztywno.

Niebo było bezchmurne, miało ten niepowtarzalny odcień błękitu, który

można zobaczyć tylko na Florydzie. Na turkusowym morzu widniały nieduże białe grzywy fal. To cudowny dzień, po co go psuć smętnymi rozważaniami? Dlaczego Jack wałkuje coś, co go nie obchodzi?

Nie odzywał się od dłuższej chwili. Tess uspokoiła się, przekonana, że dał temu spokój. Dzień jest zbyt piękny, by zawracać sobie głowę jej problemami.

Zaraz jednak pozbawił ją złudzeń.

- Wcale nie uważam, że przesadzasz - zauważył spokojnie.
- Jesteśmy ze sobą szczerzy, więc ci szczerze mówię, że moim zdaniem wcale nie sądzisz, że wszyscy mężczyźni są niegodni zaufania. Ty się boisz odrzucenia. Po tym, co zrobił twój ojciec, dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Splotła ręce na piersi. Oddychała głęboko. Dlaczego nagle ma łzy w oczach? Nie powiedział nic szokującego, nic, czego by nie wiedziała.

- On naprawdę mnie odrzucił - powiedziała. - Nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Ale mnóstwo dzieci ma takie przejścia w dzieciństwie.

- Jasne. I to się na nich odbija. Ja byłem w lepszej sytuacji; moja matka umarła. Nigdy się nie zastanawiałem, czemu mnie zostawiła, bo wiedziałem, że tego nie zrobiła. Z tobą było inaczej. Ten sukinsyn cię porzucił. Co więcej, nie stać go było nawet na szczerłość. Okłamał cię. To bolesna rana.

- Tak. - Zamrugła szybko, chcąc powstrzymać łzy. - Ale to było siedemnaście lat temu. Już mi przeszło. Naprawdę. Nie ufam mężczyznom, bo widzę, że traktują moje koleżanki tak, jak ojciec mnie. I tylko dlatego ich unikam.

- Nieprawda - sprzeciwił się delikatnie. - Unikasz ich, bo masz o sobie na tyle złe zdanie, że nie wyobrażasz sobie, że jakiś facet mógłby z tobą zostać. Gdzieś w głębi serca uważasz, że ojciec miał rację, odchodząc.

Łzy paliły pod powiekami, coś ścisnęło ją za serce. Powtarzała sobie, że nie ma powodu, by tak gwałtownie reagować, ale nie mogła się uspokoić. W końcu udało jej się krzyknąć gniewnie:

- Och, daj spokój!
- Już dobrze, Tess - powiedział tym samym spokojnym tonem. - Już dobrze.

- Pewnie, że dobrze - oznajmiła surowo. A potem odwróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę domu. Spakuje się i złapie najbliższy samolot do Chicago. Tego już za wiele. Brigitte przewróciła jej życie do góry nogami, a Jack się zachowuje, jakby znał ją lepiej niż ona sama. Nie musi tego znosić.

Lecz Jack otworzył stare rany i po kilku krokach oślepiły ją łzy. Bolało. Zwłaszcza że miał rację.

Nienawidziła go za to. Nienawidziła go, że ją obnażył, że wyciągnął na światło dzienne najbardziej skrywane uczucia.

Dogonił ją i przyciągnął do siebie, mocno przytulił. Wciąż była na niego zła, bo to przez niego tak się czuła, i chciała go odepchnąć, ale z drugiej strony potrzebowała go, musiała poczuć, że chociaż jeden człowiek na świecie nie uważa, że jest niepotrzebna.

Jego ramiona to fałszywa przystań; zdawała sobie z tego sprawę. Jack też uważa, że jest zbędna. T a k było od samego początku, odkąd się poznali. Nie lubił jej ani wtedy, ani później. Nie oszalała na tyle, by się łudzić, że nagle obdarzy ją cieplejszymi uczuciami.

Chociaż ona zmieniała zdanie na jego temat. Nie podejrzewała, że potrafi być tak troskliwy i cierpliwy jak wczorajszej nocy i dzisiaj. Nie myślała, że jest w stanie kogokolwiek pocieszyć, a co dopierają. Pokazując się z nieoczekiwanej strony, sprawił, że się zapomniała.

Dopiero teraz uświadomiła sobie coś jeszcze: ona sama zrobiła wszystko, żeby Jack nadal miał o niej jak najgorsze zdanie.

Chlipnęła, odetchnęła głęboko. Musi się od niego odsunąć, zanim wpakuje się w jeszcze większy uczuciowy galimatias. Nie może sobie pozwolić na słabość, zrozumiała to już dawno.

Próbowała nie myśleć o tym, jak dobrze i bezpiecznie jest w jego ramionach. Tak dobrze, że pragnęłaby zostać tu na zawsze. To tylko piękne marzenie, ale takie się nie spełniają .

Większa fala zalała im stopy. Tess poczuła piasek i drobne muszelki między palcami.

- Cholera - mruknął Jack. - Mam w butach wodę i piasek.
- No. - Podniosła głowę i wytarła ostatnie łzy. - Ja też.
- Ty masz sandały. Woda wypłynęła.
- Ale nie piasek.

Ich oczy się spotkały i nie wiadomo dlaczego oboje parsknęli śmiechem. Zdjęli buty i ruszyli dalej, na bosaka.

- Czy zauważyłaś, że dostajemy informacje w małych porcjach, jakby je nam wydzielano?

Była troszkę rozczarowana tą zmianą tematu, ale także odczuła ulgę.

- No tak. Ale właściwie dlaczego to cię dziwi? Wygląda na to, że nikt nie zna całej prawdy.

Pokręcił głową.

- Nie to mnie dziwi, tylko uczucie, że strzępy informacji są nam wydzielane w ściśle określonym czasie.

Przemysłała jego słowa.

- Może masz rację.
- Oczywiście, że mam rację. Niby dlaczego Ernesto nie powiedział nam na samym początku, że jego żona rozmawiała z Brigitte? Przecież zarzucałem mu, że ma coś wspólnego z ich zniknięciem.

Zawahała się, nie chcąc sprawić mu przykrości, ale potem pomyślała: właściwie dlaczego nie?

- Może się obawiał, że rozerwiesz go na strzępy?

Zatrzymał się, odrzucił głowę do tyłu. Wydawał się naprawdę zdenerwowany.

- Nigdy nikogo nie rozerwałem na strzępy. Na nic nikogo nie rozerwałem. Moja praca polega na wsadzaniu ich za kratki, nie na robieniu z nich mielonki.

- Może Ernesto o tym nie wie. Właściwie się nie dziwię, że początkowo wolał się nie przyznawać.

- Może początkowo nie. Ale później? Podczas huraganu? Mógł coś powiedzieć. Przecież nie robiliśmy tajemnicy, że szukamy rodziców.

- Nie, ale może wtedy myślał, że to nieistotne. Właściwie nawet teraz nie wiemy, czy to ma jakieś znaczenie. Julia nie powiedziała nam nic nowego, wiemy tylko, że Brigitte narzeka na nas wszystkim dokoła.

Sposepniał.

- To okropne, prawda?

- Delikatnie mówiąc. Ale to nie zmienia faktu, że Ernesto i Julia są właściwie redundantni. - Specjalnie wybrała to słowo, chcąc rozluźnić atmosferę.

Kąciki jego ust uniosły się lekko. Przez chwilę myślała, że się roześmieje, lecz tylko westchnął.

- Taak. Ale to i tak za dużo zbiegów okoliczności.

Właściwie się z nim zgadzała. Ernesto tutaj - rzeczywiście dziwny zbieg okoliczności.

- No, dobra, Jack. Ale jeśli nie zbieg okoliczności? Nie myślisz chyba, że Ernesto i Julia przejechali taki kawał drogi, żeby odegrać swoją rolę w planie Brigitte? To już przesada.

- Tak. I gdyby nie to, że Julia rozmawiała z Brigitte, uznałbym to za zwykły zbieg okoliczności.

Też nie mogła się z tym uporać. Wbiła wzrok w mokry piach.

- Może nie powiedzieli nam wszystkiego.

- Tak myślisz?

- Tak myślę. Ciekawe, czy jeszcze ich znajdziemy.

Odeszli od morza, opłukali stopy z piachu na parkingu przy skraju plaży.

- Co za głupota - stwierdziła. - Nie zajdę daleko w mokrych sandałach. Zaraz będę miała pęcherze.

Spojrzał na swoje pantofle.

- Fakt. Do diabła, dlaczego mam wrażenie, że cały świat spiskuje za naszymi plecami?

Nie mogła się powstrzymać. Spojrzała na niego złośliwie.

- Mania prześladowcza?

Parsknął śmiechem.

- Chodźmy, tu niedaleko jest sklep. Tess wybrała klapki. Jack nie mógł znaleźć niczego w swoim rozmiarze, i w końcu kupił pstrokate gumowe buty do wody. Tess wcale nie chciała się śmiać. Naprawdę nie chciała.

Łypnął na nią z komicznym gniewem i wzruszył ramionami.

- To miasto plażowiczów. Nikt nie zwróci uwagi.

Rzeczywiście, choć zauważyła to dopiero, gdy weszli na promenadę.

Właściwie chyba wszyscy ubierali się jaskrawo i dziwacznie.

Wrócili do kawiarni, gdzie spotkali Ernesta i Julię, ale już ich tam nie było.

- Dobra, wracamy do Mary - zdecydował.

- Możemy tak krążyć cały dzień.

- Nie mów. Ostatnia nadzieja w tym, że Święto Dziękczynienia jest pojutrze. Muszą dać nam następną wskazówkę, inaczej nie zdążymy.

Tess nagle dostrzegła cały komizm sytuacji. Zaczęła się śmiać i nie mogła przestać.

Jack złapał ją za rękę, odprowadził na bok, żeby nie blokowała nikomu drogi, i czekał, aż się uspokoi.

- Czy ty przypadkiem nie wpadasz w histerię?

- Ja? Skądże. Po prostu sobie uświadomiłam, jakie to szalone. Tyle zachodu, żeby ściągnąć dwie osoby na świąteczną kolację!

- Tak. Ale to cała Brigitte, prawda? - Teraz i on się uśmiechnął. - Czy mówiłem ci już, jaka jesteś piękna, kiedy się śmiejesz?

Jakby ktoś nacisnął guzik, jej śmiech zamarł natychmiast. Stała tylko i gapiła się na niego, a jej serce fikało koziółki.

Nie odpowiedziała. Nie chciała o tym myśleć, bo w jakiś dziwny sposób sprawiało jej to ból.

- Tak - zapewnił. - Jesteś piękna. Zwłaszcza kiedy się śmiejesz. I masz cudowny uśmiech. Chodź, idziemy do Mary.

Wziął ją za rękę, pociągnął lekko. Nagle poczuła, że nie obchodzi jej, czy znajdują rodziców, czy kiedykolwiek wróci do Chicago, do pracy. Teraz mogłaby do końca życia iść za Jackiem, nie oglądając się za siebie, nie zastanawiając, dokąd idą i po co.

Jeszcze zanim doszli do domu Mary odzyskała zdrowy rozsądek. No i co z tego, że akurat on jako pierwszy powiedział, że jest piękna? Nie mówił tego poważnie. Nie mógł. Od tylu lat zagląda do lustra, że dobrze wie, że nie jest piękna. Ma ładne oczy, ale same oczy to nie wszystko, a reszta jej twarzy jest... nijaka. Zwykła.

Więc Jack powiedział to tylko dlatego, że chciał być miły. Piękna to jest Sharon Stone. Michelle Pfeiffer. Ale nie Tess Morrow.

Mimo tego, mimo rozsądnych tłumaczeń, nie obchodziło jej nic poza bliskością Jacka.

- Poczekaj - powiedziała nagle. Sama nie wiedziała, dlaczego. A potem zrozumiała. Jack się zatrzymał i spojrzał na nią.

- Co?
- Dajmy sobie z tym spokój.
- Przecież już ustaliliśmy, że tego nie zrobimy.
- Nie chcę, żebyśmy wracali do pracy. Potraktujmy to jak urlop. Niech Steve i Brigitte kiszą się we własnym sosie i... och, sama nie wiem. Zróbmy coś. Może... wyjedźmy gdzieś.

- Brigitte będzie wściekła. - Ale podszedł bliżej, tak blisko, że poczuła zapach mydła. Tak blisko, że czuła jego ciepło.

- I co z tego? Ja też jestem wściekła. Na nią i na Steve'a.
- Cóż, można i tak.
- A jak inaczej? - Nie żeby jato specjalnie interesowało. W tej chwili nie mogła się pogodzić z porażką; Jack zlekceważył jej propozycję, by razem wyruszyć w nieznane.

- Cóż, ja chciałbym jej podziękować.

Najwyraźniej przeżycia ostatnich dni to dla niego za wiele i przekroczył cienką granicę między poczytalnością a obłędem.

- Podziękować jej? Podziękować?
- Pewnie. - Uśmiechał się, ale bardziej niepokoił ją błysk w jego oczach.

Znowu się z niej nabija. A to oznacza, że za pół minuty skoczą sobie do gardeł. Dziwne, ale nie miała na to ochoty.

Nie zdołała się jednak powstrzymać przed zadaniem tego pytania:

- Ale za co?
- Och... choćby za to, że zmusiła nas, byśmy spędzili kilka dni razem. W innych okolicznościach byśmy tego nie zrobili.

To prawda. Nawet dawniej, gdy oboje przyjeżdżali do domu na święta, starali się schodzić sobie z drogi i siedzieć w swoich pokojach, jeśli nie znaleźli pretekstu, by wyjść z domu.

- Rzeczywiście - mruknęła z powątpiewaniem. Coś w tym jest.

- Pomyśl tylko, Tess. Jesteśmy razem od kilku dni. Owszem, nie obeszło się bez kłótni. Ale wiesz co? Po raz pierwszy cię poznałem. I, o dziwo, doszedłem do wniosku, że cię lubię. Czasami.

Wbrew sobie uśmiechnęła się słysząc to „czasami”. To idealnie odzwierciedlało jej uczucia wobec niego.

- Taak - przyznała w końcu. - Ja właściwie też cię lubię.
Prawda jest taka, że lubi go bardziej niż właściwie, ale nie przyzna się do tego. Nie chciała, żeby się dowiedział, nawet żeby się domyślał, jak bardzo pragnie rzucić mu się na szyję. Nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo chciałaby popłynąć z nim w nieznaną i zapomnieć o wszystkim. Jak bardzo pragnęła wrócić do łóżka i zapomnieć o całym świecie.

Teraz, gdy o tym myślała, przestraszyła się, czy to aby nie ona przekroczyła wąską granicę między rozsądkiem a obłędem.

- A widzisz? Jestem dłużnikiem Brigitte, choć z trudem przejdzie mi to przez gardło. Nie lubię, kiedy się mną manipuluje.

- Ja też nie.
- Więc ich znajdziemy, podziękujemy, zjemy kolację i wtedy pozelegujemy w dal.

Wiedziała jednak, że nie miał na myśli żeglowania z nią. Nie, chodziło mu o to, że oboje wrócą do normalnego życia.

I ma rację. Wszystko przez tropikalne powietrze. Jej umysł źle pracuje bez zwykłej dawki spalin.

Znowu weszli na werandę Mary Todd i zadzwonili do drzwi. Tym razem otworzyła im osobiście.

- Proszę, proszę - powitała ich. - Przyszliście w gości do staruszki? Nie zdążyli jednak zareagować, Mary zaprosiła ich do środka.

- Wchodźcie, wchodźcie. Chętnie napiję się z wami południowej herbatki. Południowej? Tess spojrzała w słońce i uświadomiła sobie, że rzeczywiście jest dopiero południe. Może nawet wcześniej, wpół do jedenastej, jedenasta.

- Może zostanieie na lunch? - zaproponowała Mary. - Miałabym pretekst, żeby zamówić pizzę. Nie mogę tego robić, kiedy jestem sama, bo nawet mała pizza jest dla mnie za duża, a nie znoszę zimnej pizzy.

Szli przez dom do patio. Jack przerwał milczenie.

- Niestety, Mary, nie mamy na to czasu. Mamy misję.

Wyszła na dwór, opierając się ciężko na hebanowej lasce, i spojrzała na niego rozbawiona.

- Misję? A może szukacie wiatru w polu?

- Mam nadzieję, że nie. Liczymy, że znajdziemy Steve'a i Brigitte.

- Hm. - W ciemnych oczach Mary błyszczały iskierki humoru. - Nie udusicie ich, kiedy już ich znajdziecie?

- Nigdy nie uciekam się do przemocy.

- To dobrze.

Ta rozmowa jest niedorzeczna, pomyślała Tess, siadając na krześle, które wskazała Mary. Jack usiadł koło niej.

Mary nalała mrożonej herbaty do trzech szklanek. Tess spojrzała na dzbanek i szklanki i stwierdziła:

- Wiedziałaś, że przyjdziemy, prawda?
- Oczywiście. - Mary podała im szklanki i przysunęła spodeczek z plasterkami cytryny.
- Widziałam was rano, na stopniach werandy. O bardzo nieprzyzwoitej porze, pozwolę sobie zauważyć.
- Wcale nie było tak wcześnie - bronił się Jack. - Zresztą, od kiedy przejmujesz się, co jest przyzwoite, a co nie?

Syknęła gniewnie.

- Gdzie się podziały twoje maniery, młody człowieku?
- Tam, gdzie twoje - odparł z uśmiechem.

Roześmiała się radośnie.

- Przecież jestem uprzejma, częstuję was herbatą, choć zjawiliście się bez uprzedzenia.
- Nie do końca. Ciekawość bierze górę.
- Być może. - Mary upiła łyk mrożonej herbaty. - Więc co chcecie wiedzieć? Ale od razu wam mówię, że nie wiem, gdzie oni są.

Tess starała się ukryć rozczarowanie. Miała nadzieję, że Mary rozwiąże całą zagadkę w kilku zdaniach.

- I ja mam w to uwierzyć? - Jack wzruszył ramionami. - Że nie tkwisz w tym po uszy?

- Nie. - Mary odstawiła szklankę i oparła dłoń na uchwycie laski. - Brigitte nie potrzebuje pomocy przy obmyślanu intryg. Odgrywałam tylko marginalną rolę.

- Czyli?
- Miałam przysłać do was Hadleya.
- Ach tak. - Jack wydawał się znudzony, co nie uszło uwadze Mary, bo zmarszczyła brwi.
- To nie moja wina, że przekazał wam niewłaściwą informację - dodała. Jack spojrzał na Tess.

- Wiedziałem.
- Co wiedziałeś? - zainteresowała się Mary.
- Że Brigitte zostawiła wskazówki. Idę o zakład, że pani Niedelmeyer zadzwoniła do mnie tylko dlatego, że Brigitte ją w to wciągnęła.

- Nic mi o tym nie wiadomo - Mary zbyła go machnięciem ręki. Tess uznała jednak, że kłamie, zdradzał ją wyraz oczu.

Jack także nie wyglądał, jakby jej uwierzył, ale nic nie powiedział.

- Ale wiedziałas o Hadleyu.

- Oczywiście, że wiedziałam o Hadleyu. Sama go do was wysłałam. I powiedziałam, co ma wam przekazać. - Pokręciła głową. - Drogi Hadley. Zawsze miał kiepską pamięć. Uważa, że wystarczy, że pamięta sens wypowiedzi.

- A w tym wypadku sens nie był najważniejszy?

Tess doszła do wniosku, że wkrótce liczba osób, z którymi nie rozmawia, obejmie wszystkich mieszkańców Paradise Beach. To straszne, mieć przeciwko sobie tak rozbudowany spis, który uknuła jej matka - jej rodzona matka, na miłość boską! Co więcej, wygląda na to, że opowiadała na prawo i lewo, że Tess i Jack nie mogą się dogadać. Jakby błagała wszystkich o pomoc. Co za upokorzenie. Znowu była zła na Brigitte.

Mary spojrzała na nią bystrym wzrokiem.

- Nic z tego, dziewczyno - powiedziała, jakby czytała w jej myślach. - Brigitte zawsze robi co chce. To jedna z jej zalet.

- Twoim zdaniem - rzuciła Tess kwaśno. - Wyobraź sobie, co to za uczucie, kiedy twoja matka opowiada o tobie wszystkim dokoła jak o niegrzecznym dziecku.

- A nie jesteś nim? - spytała Mary.

- To nie twoja sprawa.

- Może nie, ale nigdy nie trzymałam języka za zębami z tego powodu. Oboje zachowywaliście się jak rozpuszczone bachory. Czy kiedykolwiek wzięliście pod uwagę uczucia rodziców? Czy staraliście się sprawić im przyjemność i zachować się jak ludzie trzy-cztery razy do roku? A może tak bardzo chcieliście im pokazać, jacy jesteście źli, że się pobrali, że nie dawaliście im spokoju nawet w święta?

Tess miała wrażenie, że ją spoliczkowano.

- Nie jestem zła, że się pobrali!

- Więc dlaczego, ilekroć jesteś w domu, zamieniasz go w pole bitwy? Choćby ze względu na rodziców powinniście czasami ogłosić zawieszenie broni, nie uważacie?

Mary przeniosła wzrok na Jacka.

- Nie uważacie? - powtórzyła. Jack spojrzał na Tess.

- Ona ma rację.

Miała. Tess musiała przyznać, że w ogóle nie myślała o Brigitte i Stevie.

- No dobra, ma.

- Dobrze. - Mary skinęła głową. - A Hadley miał wam przekazać, że Brigitte najchętniej zamknęłaby was na łodzi.

Jack uniósł brew.

- Cóż... już doszliśmy do tego, że są na karaibskiej wyspie.

- Spojrzał na Tess. - Kiedy już dowiemy się, na której, pojedziemy tam, a ona zamknie nas na łodzi.

- Nie lubię łodzi - mruknęła Tess.

- Dlaczego?

- Nie lubię i już. Cały czas myślę o ciemnej zimnej wodzie pode mną.

- Więc nie pozwolę jej zamknąć cię na łodzi. Ale, wiesz, Tess, powinnaś pozełgować na Karaibach. Zmieniłabyś zdanie.

Nie zgadzała się, ale nie chciała dyskutować pod czujnym wzrokiem Mary. Na żaden temat, nawet na taki, który zna najlepiej, mianowicie swoje lęki.

- Cóż - odezwała się Mary. - Nie wiem, czy o to chodziło.

- Może o to, że musimy popłynąć łodzią, żeby ich znaleźć - zastanawiał się Jack. - Ale nadal nie wiemy, gdzie ich szukać. A teraz... powiedz nam, jak ma na imię twój chłopak.

- Mój chłopak?

- Tak, ten pan, który tu był poprzednio. Ted jakiś tam.

- Ted Wannamaker - rzuciła Mary szybko. A potem zachichotała. - A ja jej mówiłam, że nie wpadniecie na to na czas.

Rozdział 19

Na czas? - Tess zastanawiała się na głos, gdy szli do Teda Wannamakera na południowy kraniec wyspy.

- Królestwo za konia - mruknął Jack. - Wiesz, chodzenie jest bardzo zdrowe, tylko nie wtedy, kiedy się spieszysz.

- Dlaczego właściwie się spieszymy? Jeśli nie zdążymy na świąteczną kolację, to będzie wina Brigitte. Dobrze jej tak, za to, że nie była z nami szczerą.

- Szczerą? A niby jak miała to zrobić?

- Och, nie wiem. Może wystarczyło powiedzieć przez telefon: Tess, mam dosyć twoich kłótni z Jackiem i wkurza mnie, że nie przyjeżdżasz na święta, więc zachowuj się jak osoba dorosła i przyjeźdź.

Spojrzał na nią ciekawie.

- I posłuchałabyś?

Westchnęła, ale uczciwość zwyciężyła.

- Nie.

- Ja też nie. Dziwne, zwłaszcza że już dawno przestałem cię nienawidzić. Po prostu męczyły mnie ciągłe słowne zaczepki.

- Nie zaczepiałabym cię, gdybyś nie odpowiadał tym samym.

- Więc to moja wina?

- Nic takiego nie powiedziałam. - Starła się powstrzymać uśmiech.

- Ale sugerowałaś. - Widziała, że ten sam uśmiech tańczy w jego oczach.

- No, dobrze, dobrze - mruknęła. - Będę trzymała buzię na kłódkę.

- Nie. - Ucisnął jej dłoń. - Nie trzymaj buzi na kłódkę.

- Za żadne skarby świata - zgodziła się, nie wiadomo czemu bardzo zadowolona. Ciekawe, jak przyjąłby wiadomość, że w innym życiu, w prawdziwym życiu, upomniała się, ma

opinię osoby cichej i małomównej. Przy nim jednak buzia jej się nie zamykała. Od pierwszego spotkania.

Ted Wannamaker mieszkał kilometr za granicami miasta, w nowoczesnym osiedlu. Budynki, praktyczne i funkcjonalne, stały na wysokich palach, dzięki czemu byle huragan nie mógł zagrozić mieszkańcom.

Wsiedli do windy przy parkingu i wjechali na piąte piętro, gdzie mieszkał Ted.

- Nie będzie go w domu - prorokowała Tess ponuro. - Będziemy godzinami sterczeć pod drzwiami.

- Nie będziemy. Więcej optymizmu.

- Nie mogę. Jestem zmęczona i zła.

- A ja się dobrze bawię. Wiesz co, chyba daruję Brigitte wszystkie grzechy.

- Zdrajca.

- Niestety - uśmiechnął się.

Nacisnął dzwonek. Po chwili rozległ się zgrzyt odsuwanej zasuw, drzwi się otworzyły i na progu stanął uśmiechnięty Ted Wannamaker.

- Wejdźcie, proszę. - Wcale się nie zdziwił na ich widok.

- Mary dzwoniła - domyślił się Jack.

- Owszem.

Wprowadził ich do obszernego salonu. Za szklaną ścianą rozciągał się fantastyczny widok na Zatokę Meksykańską.

- Może coś do picia?

Tess była zmęczona i spragniona po łażeniu w kółko po Paradise Beach i marzyła o szklance wody. Żołądek upominał się o jedzenie. Nie chciała jednak tracić czasu.

- Nie, dziękujemy - odparła. - Przejdźmy do rzeczy, dobrze?

Jack spojrzał w jej stronę, ale nie wiedziała, czy potępia jej determinację, czy stara się dodać jej odwagi.

- Ależ oczywiście. - Ted usiadł naprzeciwko nich. - Najpierw przyjmijcie moje przeprosiny. Zazwyczaj trzymam się

z dala od planów Mary. Obiecałem sobie, że nigdy nie dam się w to wciągnąć.

- Chwileczkę - Jack wpadł mu w słowo. - Wydawało się nam, że to był plan Brigitte.

- Och, to możliwe - zgodził się Ted. - Szczerze mówiąc, nie wiem, która to wszystko uknuła. Wiem tylko, że zanim się zorientowałem, Mary mnie w to wciągnęła.

- Chciałam zapytać, czy masz własną wyspę. - Tess była zniecierpliwiona i niewyspana, lada chwilę zamieni się w czerwoną, bełkoczącą idiotkę.

Ted był zdziwiony.

- Wyspę? Ja? Nie, wprawdzie jestem dość zamożny, ale nie aż tak.

Tess straciła resztki nadziei. Sądząc po minie Jacka, był w niewiele lepszej formie. Westchnął ciężko.

- Więc znowu ślepy zaułek. Przepraszamy, że zawracaliśmy ci głowę.

Ted się zawahał.

- Nie idźcie jeszcze. Właściwie dlaczego do mnie przyszliście?

- Rodzice zostawili kasetę w magnetowidzie - wyjaśniła Tess. - W tej scenie jeden z bohaterów mówi, że popłyną na wyspę na lewo od St. Croix, na Wyspę Teda.

- No cóż, nie ma Wyspy Teda - zauważył starszy pan. - Ale cóż za zbieg okoliczności!

Tess i Jack spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Widzisz, niepotrzebnie zawracaliśmy ci głowę - powiedział Jack.

- Wyspa na lewo - rozmyślał Ted na głos. - Co za dziwny opis. Przecież to zależy, z której strony patrzeć, prawda? Na lewo od St. Crok? Coś takiego.

- Też uznaliśmy, że to dziwne - zgodził się Jack.

- Chociaż właściwie można by tak powiedzieć - Ted mówił powoli, jakby do siebie. - Ale Wyspa Teda? No, nie. - Roześmiał się.

- Dzięki, że poświęciłeś nam czas. - Jack wstał. - Jeszcze raz przepraszamy za najście.

Ted uniósł rękę.

- Chwileczkę. Nie chcecie się dowiedzieć, na czym polegał mój udział?

Jack powoli opadł na kanapę.

- Wiesz, gdzie oni są?

- Oczywiście. W moim domu.

Tess zsunęła się na skraj fotela. Nie była pewna, czy dobrze zrozumiała słowa Teda. Niczego już nie była pewna.

- W twoim domu? - spytała.

- Oczywiście - powtórzył. - W ten sposób zostałem wpłątany w tę pożałowania godną aferę. Widzicie, Mary jest bardzo przekonująca. Steve i Brigitte opowiadali, że chcieliby wyjechać, ale nigdzie nie ma już miejsc. Wtedy Mary posłała mi jedno z tych swoich spojrzeń -jeśli ich nie widzie liście, uwierzcie mi na słowo, zrobicie wszystko, czego sobie zażyczy. Poza tym, lubię Steve'a i Brigitte i nie miałem nic przeciwko temu, żeby przez miesiąc mieszkali w moim domu. Wydawało mi się to niewinne i nieszkodliwe, zresztą nie wybierałem się tam. Właściwie, prawie tam nie bywałem w ostatnich latach - chyba się starzeję i nie chce mi się tyle podróżować.

Pokręcił głową i mówił dalej:

- Jak już powiedziałem, wydawało mi się, że to niewinna propozycja. Nie zorientowałem się, że pakuję się w coś o wiele bardziej skomplikowanego, nawet gdy Brigitte poprosiła, żebym nikomu nie mówił, że tam będą.

- Prosiła o to? - Spytała Tess, choć już znała odpowiedź.

- Wtedy nie widziałem w tym nic podejrzanego, myślałem, że nie chcą, by zwracano im głowę codziennymi problemami. Nie miałem pojęcia, że przystępuję do spisku. - Zmarszczył brwi. - Nie powiem, że mi się to podoba. Ale dałem im słowo, przekonany, że nikt mnie o to nie zapyta. Powinienem był się domyślić, że jeśli Mary macza w tym palce, nie skończy się tak łatwo.

Tess poruszyła się niecierpliwie.

- Czyli zacząłeś podejrzewać, że coś jest nie tak, kiedy przyszliśmy do Mary?

- Tak, wtedy zdałem sobie sprawę z rozmiarów całej intrygi. Do tamtej chwili myślałem, że bilety dla was to miła niespodzianka. Nie wiedziałem, że najpierw musicie się pomęczyć. Miałem z tego powodu wyrzuty sumienia, ale dałem słowo honoru, że dam je wam dopiero dzisiaj po południu i że nikomu nie powiem, gdzie są Brigitte i Steve. Już wtedy powinienem się czegoś domyślić, ale nie. Myślałem, że to tylko taka niespodzianka.

Jack skinął głową ze współczuciem.

- Nie martw się. To nie twoja wina. Daj nam bilety, powiedz, gdzie są i zostawimy cię w spokoju.

Ted znowu pokręcił głową.

- To śmieszne, ale nie mogę dać wam biletów przed czwartą po południu.

- Nie, dość już tego! -Jack zniecierpliwiony, poderwał się na równe nogi.

- No dobrze - zgodził się Ted po dłuższej chwili. - Przyniosę je. A tak przy okazji, wasi rodzice są na małej wysepce o nazwie Montemismo.

- Więc mamy tylko tam polecieć i z nimi pogadać, tak?

Ted zatrzymał się w pół kroku.

- Och, nie, nie tak łatwo - powiedział. - Na Montemismo nie ma lotniska. Polecicie na St. Croix, a stamtąd popłyniecie wynajętym jachtem. Wszystko już opłacone. Jacht na was czeka.

Tess spojrzała na Jacka.

- Jacht? Zabiję ją. Słyszysz? Zabiję ją gołymi rękami.

O szóstej po południu Jack czuł się jak bohater, bo udało mu się namówić Tess, by weszła na pokład samolotu. Była tak przerażona myślą o rejsie łodzią, że chciała zrezygnować z podróży.

Jack jednak miał spory dar przekonywania, który rozwinęły lata pracy wśród przemytników, handlarzy i informatorów.

Nie błagał, żeby pojechała. Nie, opowiadał tylko ze szczegółami, co ją ominie, jeśli zostanie na Florydzie.

- Romantyczny rejs - zachwalał. - Większość ludzi oddałaby wiele za wakacje na Karaibach. Pomyśl tylko: słońce, palmy, turkusowa woda...

- Tutaj mamy to samo - burknęła.

- Nie to samo, uwierz mi. Inne zapachy, inne dźwięki, inne smaki. Jeśli Ted nie przesadza, ta wysepka to istny raj na ziemi.

- Akurat.

- Tess, pomyśl. Mała wysepka, na niej kilka tysięcy tubylców, którzy żyją z rybołówstwa, i garstka bogaczy. To prawdziwa oaza spokoju. Na Montemismo nie ma hoteli. Nie ma zanieczyszczenia. Nie ma hałasu. Prawie nie ma ludzi. Prywatna plaża...

Od tej chwili wiedział, że wygrał. Poznał to po tęsknym wyrazie jej twarzy, gdy opisywał wysepkę. Włóczył się po Karaibach od piętnastu lat. Wiedział, ile takich oaz zniszczył napływ turystów.

Ulegała mu.

- Jest już niedużo takich miejsc - tłumaczył. - Pomyśl tylko, leniwe popołudnia na plaży. Długie noce, łagodny wiatr...

Przez chwilę obawiał się, że posunął się za daleko. Zaraz mu powie, że spędził jedną noc w jej łóżku, ale to nie znaczy, że może liczyć na następne. Jednak Tess złagodniała, a kilka minut później zaczęła się pakować.

Wylądowali na St. Croix. Czekał na nich samochód. Limuzyna, ni mniej ni więcej.

W hotelu zarezerwowano dla nich dwa pokoje. Jack parsknął śmiechem.

- Przestań - upomniała go Tess, gdy wsiedli do windy.

- Nie mogę - prychnął. - Ciekawe, jak Brigitte przyjęłaby wiadomość, że poluzowałem ci gorset.

Spojrzała na niego wyniośle.

- Nie noszę gorsetu.

- Nie traktuj wszystkiego dosłownie. Wiesz doskonale, co mam na myśli. Brigitte mnie zabije - stwierdził i znowu zachichotał.

- Nieprawda - zachnęła się Tess. - Pogratuluje ci, że doprowadziłeś mnie do upadku. Zawsze uważała, że mam zbyt wysokie oczekiwania.

- Chyba żartujesz.

- Nie, dlaczego?

- Brigitte ma takie wymagania, że nie mogę się nadziwić, że ojciec im sprostał.

- Tak uważasz?

Oprócz niepewności dostrzegł w jej oczach nadzieję. Nagle zastanowiło go, co ona właściwie sądzi o swojej matce.

- Ja to wiem. Brigitte zadowala się tylko tym, co najlepsze. We wszystkim, włącznie z mężami.

- Więc dlaczego... - urwała, nie chcąc zadać tego pytania.

Lecz wiedział, o co chciała zapytać.

- Chyba się pomyliła przy twoim ojcu. Albo może jemu odbiło, jak wielu facetom w średnim wieku. Nigdy nie wiadomo.

- Tak.

Teraz za żadne skarby nie zostawi jej samej w pokoju. Nawet nie brał tego pod uwagę. Do licha, po ostatniej nocy nie miał najmniejszej ochoty spać sam we własnym łóżku. Nie zmrużyłby oka, dręczyłaby go samotność i pustka.

Ta myśl powinna go przerazić, tymczasem ważniejsze okazało się, jak pocieszyć Tess. Bo wcale nie wyglądała na zadowoloną.

- Boisz się tego jachtu? - zapytał, wchodząc za nią do pokoju.

- Trochę. Naprawdę nie znoszę łodzi. - Przysiadła na łóżku, jakby sprawdzała miękkość materaca. Jack wręczył napiwek bagażowemu i powiedział, że sam trafi do swojego

pokoju. Który jest tuż obok, połączony wewnętrznymi drzwiami z pokojem Tess, zauważył nagle. Przez chwilę zastanawiał się nad motywami Brigitte, ale dał sobie spokój. Nie, nie mogła tego przewidzieć. Nie ma mowy.

Przysiadł koło niej na skraju łóżka.

- O co chodzi?
- Mam straszny dołek.
- Dlaczego?

Zerknęła kątem oka.

- Nie wiem.
- Może to skutek napięcia. Sporo się przez nich denerwowaliśmy, a do tego jeszcze huragan...

- Może.

Objął ją ramieniem.

- A może chciałabyś wiedzieć, że ostatnia noc to nie był jednorazowy wybryk.

Gwałtownie podniosła głowę, aż uderzyła go w szczękę.

- Au! - złapał się za podbródek.
- Au! - masowała czubek głowy, udając, że w ogóle nie słyszała, co powiedział.
- Zapomnij o tym - teraz i on się zirytował. - Pójdę do siebie.

Wstał i wyszedł, zły, że nawet nie starała się go zatrzymać. Chociaż właściwie dlaczego się tego spodziewał?

Zachowuje się jak dziecko, wiedział o tym, ale tak gwałtownie podniosła głowę po jego słowach... Cóż, to mu pokazało, jak bardzo się mylił. Wcale nie chciała powtórki z ostatniej nocy.

W pokoju wziął prysznic i przygotował ubranie na następny dzień. Zwariował. Oszalał. Właściwie czemu to robi? Powinien odesłać bilety Brigitte z liścikiem, żeby następnym razem szukała innego frajera.

Potem zastanowiło go, czemu właściwie tak się irytuje. Przecież bawił się dobrze, póki Tess nie walnęła go głową w szczękę.

I właśnie o to chodzi. To nie była reakcja kobiety spragnionej ramion kochanka, tylko niepokój płochliwej klaczy, która nie wie, co ją czeka.

Myślał, że poprzedniej nocy obojgu było dobrze. Co prawda nie uważał się za Casanovę, ale sądził, że jego partnerki były zadowolone. Najwyraźniej tym razem wszystko skopał.

Poczuł się okropnie. To był jej pierwszy raz. Może dlatego nie było jej tak dobrze, jak mu się wydawało. Może to było dla niej za dużo.

Jezu, a jeśli przez niego ma dosyć seksu do końca życia?

Nie może jej teraz tak zostawić.

Lecz drzwi łączące ich pokoje były zamknięte. Pukał, dobijał się, ale nie otwierała.

Cholera. Naprawdę wszystko zepsuł.

Rano odnosiła się do niego z dystansem, jak do nieznanego. Im więcej myślał, jak bardzo wszystko zepsuł, tym bardziej się martwił. Co prawda wczoraj zachowywała się inaczej, ale może była w szoku. A może starała się o wszystkim zapomnieć, póki nie zaczął gadać.

Rejs okazał się koszmarem. Och, jacht był ładny i duży, dwóch członków załogi znało się na rzeczy. W innych okolicznościach wyciągnąłby się jak długi na pokładzie i rozkoszował każdą chwilą.

Lecz Tess cierpiała na chorobę morską, choć słabe fale prawie nie kołysały łodzią. Długo wisiała przechylona przez reling, zaczął się obawiać, że spali się na skwarę. Kiedy chciał posmarować ją kremem ochronnym, odskoczyła jak oparzona.

- Tess, oprzytomniej - zniecierpliwiał się. - Jesteśmy w tropikach. Powtarzam, w tropikach. Słońce spali cię na wiór, więc albo się posmaruj, albo zejź pod pokład.

- Dobrze, dobrze. - Nadstawiła rękę, żeby mógł ją posmarować, ale nie podniosła głowy.

- Masz jakieś proszki przeciwko chorobie morskiej? - zapytał.

- Nie.

- Pewnie nie wiedziałaś, że cierpisz na chorobę morską.

- Nie znoszę łodzi.

- Chyba wiem dlaczego. - Powoli smarował jej barki i plecy. Odprężyła się odrobinę pod jego dotykiem. To dobry znak.

- Musisz posmarować sobie twarz - poradził. - Promienie odbijają się od wody.

- Dobrze.

- Zapytam kapitana, czy mają coś na chorobę morską.

- A coś pomaga?

- Nie wiem, mam koński żołądek.

Przynajmniej się do niego odzywa. Teraz nogi. To było trudne, myślał, że oszaleje, wcierając krem w smukłe uda. Najchętniej ułożyłby ją na pokładzie i kochał się tu i teraz. I niewykluczone, że tak by się skończyło, gdyby nie obecność załogi.

- Nie pojmuję - wysapała - dlaczego ludzie uważają, że to romantyczne.

Jack, który podzielał to zdanie, przezornie milczał. Oczywiście nie wziął pod uwagę, że jego towarzyszka cierpi na chorobę morską. To rzeczywiście czyni wyprawę mniej romantyczną. Położył jej dłonie na ramionach.

- Przykro mi, że tak cierpisz.

- Mnie też. Ale wiesz, czytałam kiedyś, że admirał Nelson też cierpiał na chorobę morską.

- Tak?

- Tak. Więc jakoś wytrzymam.

- Tak trzymaj. Pójdę zapytać kapitana, czy nie mają czegoś w apteczce.

Na szczęście mieli. Jack zaraz zaaplikował Tess końską dawkę.

- Mam nadzieję, że to zadziała - mruknęła. - Bo nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

- W najgorszym razie kilka godzin. Wtedy dobijemy do wyspy i staniesz na suchym lądzie.

- Jeszcze tak długo? Boże drogi! A wiesz, co jest najgorsze?

- Co?

- Że będziemy wracać tą samą drogą. - Jęknęła głośno. Poklepał ją po ramieniu.

Stał przy niej przy relingu, starał się ją pocieszyć, choć niewiele mógł zrobić. Złapał się na bzdurach: chciał na przykład powiedzieć, że gdyby mógł, wolałby cierpieć zamiast niej.

Nie dość, że to dziwaczna myśl, na dodatek nie zmienia sytuacji ani odrobinę. Właściwie to takie tanie, niepotrzebne współczucie.

W ten sposób nie pomoże Tess, zzieleniałej i nieszczęśliwej. Jednak po kwadransie wyprostowała się nieco, a jej twarz przybrała bardziej naturalny kolor.

- To działa - powiedziała w końcu.

- Świetnie. - Doskonała nowina. - Już w porządku?

- Nie do końca. Nadal jest mi słabo, ale już nie chce mi się rzygać.

- To już coś.

Uśmiechnęła się słabo.

- A jakże.

Po pewnym czasie była nawet w stanie usiąść na leżaku i podziwiać widoki.

- Ładne - powiedziała w końcu z wahaniem, jakby nie chciała dostrzegać w tej podróży niczego pozytywnego.

- Wspaniale.

- Często tak zeglowałeś? - zainteresowała się.

- Nigdy tak luksusowo. Cudowny jacht.

- Jest ładny.

O mały włos się nie roześmiał. Ładny to za mało powiedziane. Na widok takich łodzi zaczynał się ślinić.

Zamiast klócić się o coś tak mało istotnego, przysunął swój leżak bliżej i wziął ją za rękę. Podziałało jak magiczne zaklęcie. Z uśmiechem odchyliła głowę do tyłu.

- Czy... Czy jesteś na mnie zła za tamtą noc? - zapytał po chwili.

Uniosła jedną powiekę.

- Nie. - Powiedziała to z wahaniem, jakby nie wiedziała, o co pyta.

- Więc dlaczego nie otwierałaś, kiedy pukałem?

- To byłeś ty? Otworzył usta i zaraz znowu je zamknął.

Przecież Tess nie wiedziała.

Sam odebrał klucze z recepcji i nie powiedział jej, że mają sąsiednie pokoje. Ani słowa. Nagle zrobiło mu się głupio.

- No, tak. Pewnie bardzo cię wystraszyłem.

- Tylko trochę - zachnęła się - godzinami siedziałam i zastanawiałam się, czemu ktoś się do mnie dobija.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Myślałam, że śpisz. Rozważałam, czy nie wezwać ochrony, ale uznałam, że wyjdę na idiotkę, jeśli się okaże, że to tylko pijak, który pomylił pokoje.

- Dlaczego miałabyś wyjść na idiotkę? Trzeba było kogoś wezwać.

- Teraz też tak uważam. Ale byłam zmęczona, za mało spałam, nie myślałam logicznie. Nie wiem nawet, czy teraz myślę logicznie.

- Za krótko spałaś. Ile właściwie?

- Nie wiem, trzy godziny, może trochę dłużej.

- Więc rano nie byłaś na mnie zła?

- Nie. Tylko zmęczona.

Nagle zapragnął skakać z radości. Opanował się jednak i uściśnął jej dłoń.

- Może teraz się zdrzemniesz? Skinęła głową.

- Może. Te tabletki mnie usypiają.

- Zamknij oczy. Będę czuwał.
Dobrze się czuł, mówiąc te słowa. A jeszcze lepiej, kiedy
przyjęła jego propozycję.

Rozdział 20

Późnym popołudniem dotarli do Wyspy Teda. Tess ucięła sobie czterogodzinną drzemkę i była w o wiele lepszej formie. Jacht przybił do pomostu.

Złociste światło mieniło się w turkusowej wodzie. Palmy kokosowe rzucały długie cienie na piaszczystą plażę.

- Wygląda jak na pocztówce - stwierdziła Tess. Chłonęła wszystko rozszerzonymi oczami.

- Owszem.

Za palmami stał duży dom w pięknym ogrodzie. Pomost schodził na białą piaszczystą plażę.

A na plaży czekali Steve i Brigitte.

- Nadal chcesz ją zamordować? - zainteresował się Jack.

- Jeszcze nie wiem. Popatrz na nią, wyleguje się na leżaku z drinkiem w dłoni, a my odchodziliśmy od zmysłów ze zmartwienia!

- To irytujące - przyznał.

- Więcej niż irytujące. Jestem strasznie wkurzona.

- Och, kolejne słowo, którego nigdy nie używasz.

Łypnęła na niego groźnie.

- Nauczyłam się od ciebie.

- Straszne.

- Święta prawda.

Członkowie załogi przycumowali jacht i przerzucili trap. Tess zesła z pokładu jako pierwsza. Widać było, że jest zadowolona, że stoi na lądzie. Chociaż, sądząc po rozchwianym chodzie, jeszcze długo będzie jej się wydawało, że jest na morzu. Szła jak pijany marynarz. Z trudem opanował śmiech. Marynarze wyładowali ich walizki, pomachali na pożegnanie i odплыnęli w błękitną dal.

- Nie poczekają? - Tess obejrzała się niespokojnie. - A jak wrócimy do domu?

- Chyba musimy zapytać Brigitte.

Spojrzała w stronę matki.

- Popatrz na nich - nawet się nie ruszyli, żeby nas przywitać! Chyba mamy pocałować pierścień.

Był w coraz lepszym humorze.

- Na to wygląda. Zerknęła na niego spode łba.

- Nie mów mi, że to cię bawi.

- Oczywiście, że mnie bawi. Kto oprócz nas ma rodzinę zdolną uknuć taki plan? Zresztą nie mam pretensji o Święto Dziękczynienia na Karaibach.

- Zawsze jesteś takim optymistą?

- Nie.

- Dzięki Bogu. Już zwątpiłam w twój zdrowy rozsądek.

Wtedy nie wytrzymał, parsknął śmiechem. Kamień spadł mu z serca, gdy odwzajemniła uśmiech. Zostawili bagaże na pomoście. Szli przez plażę w kierunku palm. Rodzice siedzieli w cieniu, na leżakach.

Steve Wright, wysoki mężczyzna po sześćdziesiątce, wstał na ich widok, uśmiechnął się szeroko i wznosił toast.

- Najwyższy czas, żebyście tu byli! - zawołał.

- Jakbyśmy mogli zjawić się wcześniej... - odparł Jack.

Brigitte nie ruszyła się z leżaka. Sączyła napój przez słomkę. Wyglądała

raczej na dwadzieścia niż na pięćdziesiąt lat, i już samo to było, zdaniem Tess, wystarczająco denerwujące. Pomachała leniwie.

- Cieszę się, że cię widzę, *mapetite chou*. I ciebie, Jack. - Wymawiała jego imię z francuska, Żak.

- Cześć, Brigitte - pochylił się, cmoknął ją w policzek, i dopiero wtedy podał rękę ojcu. - Uprzedzam, Tess chce cię zamordować.

Brigitte zmarszczyła brwi. Nadal ma skórę gładką jak niemowlę. To straszne, mieć matkę, która się w ogóle nie starzeje. Tess znalazła u siebie pierwsze siwe włosy i drobne zmarszczki w kącikach oczu i ust, to normalne u

trzydziestolatki, ale Brigitte... Ona nie ma takich problemów. Jej chirurg plastyczny jest cudotwórcą.

- Ależ *chou-chou*, nie zrozumiałaś lekcji? - zdziwiła się.

- Och, zrozumieliśmy ją oboje - zapewnił Jack, obejmując Tess ramieniem. - Właśnie dlatego dybie na twoje życie.

Steve się roześmiał.

- Mówiłem, że to zbyt skomplikowane - powiedział do żony.

Spomiędzy palm wyszło dwóch mężczyzn w białych koszulkach i niebieskich szortach. Jeden niósł dwa leżaki, drugi tacę z kanapkami i napojami.

- Siadajcie - zachęcała Brigitte. - Zimny drink dobrze wam zrobi.

Tess zmarszczyła brwi.

- Wiesz, mam, trzeba o wiele więcej niż drinka, żebym poczuła się lepiej. Po pierwsze, wystraszyłaś mnie do szaleństwa. Nie wiedziałam, czy wasz samolot się rozbił, czy was porwano. Oboje wpadliśmy w panikę po telefonie pani Niedelmeyer.

- Oczywiście - Brigitte zbyła ją machnięciem ręki. - Musiałam jakoś doprowadzić do waszego spotkania.

- Wystarczyło zaprosić - odcięła się Tess. - Powiedzieć szczerze, co czujesz.

- Tak uważasz? Nieprawda. Siadaj, denerwuje mnie, że tak nade mną sterczysz.

Tess usiadła posłusznie.

- Mogłaś mi powiedzieć, mam.

Brigitte pokręciła głową.

- Ależ nie. Gdybym powiedziała: „Tess, mam dosyć waszych ciągłych kłótni”, odparłabyś: „Przecież już nie przyjeżdżam, kiedy Jak u was jest”. Wtedy wytłumaczyłabym, że chciałabym mieć was oboje na święta. Wówczas przyjechałabyś niechętnie i cały czas rozmawialibyście z Jackiem przez zęby, o tak. - Zademonstrowała. - Nie. Chciałam, żebyście się pozbyli głupich uprzedzeń.

Jack spojrzął na Tess.

- Nie gniewaj się na mnie.

Uniosła brew.

- Za co?

- Ona ma rację.

Tess łypnęła gniewnie i ponownie skupiła się na matce.

- Martwiłam się o was. To było okropne.

- Być może - Brigitte wzruszyła ramionami. - Ale jak inaczej miałam zmusić was do współpracy? Zresztą szybko się zorientowaliście, że chodzi o coś innego. To wszystko część planu. - Wydawała się bardzo zadowolona z siebie.

Jack zwrócił się do Tess.

- Daj spokój. Nie przekonasz jej, że posunęła się za daleko.

- Nie ma czegoś takiego jak za daleko - odparła Brigitte stanowczo.

- To dobrze - uśmiechnął się Jack. - Niechcący zrobiłem ci dziurę w suficie, kiedy szukałem wskazówek. Cieszę, że nie uważasz, że posunąłem się za daleko.

Brigitte głośno zaczerpnęła tchu. Steve zmarszczył czoło. Tess się uśmiechnęła.

- Zniszczyłeś mój dom? - Brigitte nie wierzyła własnym uszom.

- W słusznej sprawie - zapewniła Tess. - Przecież musieliśmy szukać wskazówek.

Steve spojrzął na syna.

- Jak bardzo?

- Nie tak źle. Nie zdążyłem dokończyć, ale dziura już zaklejona, trzeba tylko otynkować i pomalować. Żaden problem.

- Nie do wiary, że byłeś taki niezdarny - skarciła go Brigitte.

Jack po dżentelmeńsku wstrzymał się od odpowiedzi. Nie będzie się z nią kłócił. Ani teraz, ani nigdy. Jej myśli błądzą dziwnymi ścieżkami. Nikt nigdy z nią nie wygrał.

- Czas na kolację - zauważyła. - Chodźmy do domu, musimy się przebrać. Wy oczywiście możecie robić co chcecie. Pamiętajcie tylko, że kolacja jest o szóstej i że chcę, żebyście się przebrali.

- Świetnie - mruknął Jack do Tess. Odprowadzali rodziców wzrokiem. - Przebrać się do kolacji. A ja przywozłem tylko strój obiboka plażowego.

Tess miała kilka sukienek plażowych, więc była w lepszej sytuacji.

- Wyobrażasz to sobie? Ona naprawdę uważa, że nie zrobiła nic złego.

- Właściwie - zaczął ostrożnie - nie zrobiła nic strasznego. Spojrzała na niego.

- Co to ma znaczyć?

- Cóż, dzięki niej zaczęliśmy współpracować. I przekonałem się, że pod kolczastą osłoną kryje się bardzo miła kobieta.

Nagle nie miała ochoty się złościć, za to uśmiechnęła się szeroko.

- Ty też nie jesteś taki zły.

- Miło mi to słyszeć. - Wziął ją za rękę. - Chodź, Mała. Weźmiemy prysznic, przebierzemy się i zaskoczmy rodziców, jak dobrze się rozumiemy. Właściwie - dodał, komicznie ruszając brwiami - może nawet ich zaszokujemy.

Śmiała się, idąc do domu. Śmiała się także dziesięć minut później, gdy Jack wślizgnął się wraz z nią do kabiny prysznicowej i pokazał, co można zrobić z kostką mydła.

Wkrótce mydło odmówiło współpracy, co chwila wyskakiwało ze śliskich rąk. Jak rozbawione dzieci tłumili śmiech i upominali się, że muszą być cicho. Tess nigdy dotąd nie czuła się taka piękna i tak pełna życia jak w tej chwili.

Jack uzależniał. Może od początku wiedziała w głębi duszy, że ryzykuje złamanym sercem. Może trzymała go na dystans, bo jakaś jej cząstka wyczuwała niebezpieczeństwo. Może

nieszczęśliwa piętnastolatka, którą zostawił ojciec, obawiała się, że Jack zada równie głęboką ranę.

Myślała o tym, gdy wycierał ją od stóp do głów, powoli, zmysłowo, zapraszając do miłości.

Przestała się śmiać, oddychała coraz płycej, choć jednocześnie narastał w niej lęk. Zanim zdecydowała, gdzie uciec - w ramiona Jacka czy w otchłań samotności, Jack owinał biodra rękami i podniósł jej brodę palcem. Pocałował ją.

- Później - szepnął. - Mamy randkę na plaży. Później. Odwrócił się, wyszedł z łazienki, i zostawił ją samą, tak jak się tego obawiała.

Później. W porządku, powiedziała sobie, tłumiąc płacz. Później porozmawiają i wtedy jej powie, że było miło, ale to już koniec. Albo coś takiego. Bo i tak jej powie, że nie ma dla nich przyszłości. Inaczej nie odszedłby teraz, kiedy niemal wskoczyła mu do łóżka.

Jest tylko jedno wytłumaczenie. Już jej nie chce, i stara się jej to delikatnie przekazać.

Nie płakała, gdy wkładała błękitną sukienkę bez pleców, ale od piętnastu lat nie czuła się taka nieszczęśliwa.

Mężczyźni. Wszyscy tacy sami. Odchodzą, nawet się nie oglądając.

Jedli na werandzie, przy łagodnej wieczornej bryzie. Palmy szumiały cicho, fale delikatnie uderzały o brzeg, zapach morza był wszędzie.

Służący, ci sami, którzy przedtem podali kanapki i napoje, sprawnie podawali do stołu.

- Ted Wannamaker umie korzystać z życia - zauważyła Brigitte. - Myślałam, że zastaniemy tu zaniedbaną chałupkę. Nie spodziewałam się czegoś tak pięknego. Ani że będzie służba.

- Jest cudownie - zgodził się Steve. - Więc nadal chcesz to kupić, jeśli zgodzi się sprzedać?

- Bardzo - odparła. - I zatrzymam służbę. Są świetni.

- To prawda - przyznał Jack. Akurat w tej chwili postawiono przed nim talerz z rybą z grilla. - Szybko można się do tego przyzwyczać.

Brigitte spojrzała na córkę.

- Co jest, *chou-chou* Jesteś taka milcząca.

Tess z trudem podniosła wzrok znad talerza i uśmiechnęła się.

- To zmęczenie. Przez całą noc prawie nie zmrużyłam oka. Facet w sąsiednim pokoju cały czas dobijał się do drzwi.

- Straszne. Złożyłaś skargę?

Pokręciła głową.

- Nie chciało mi się.

Matka była oburzona.

- Porozmawiam z nimi. Może sprawdzą, kto to był, i nie przyjmą go więcej.

- Nie trzeba - Jack przyglądał się kawałkowi ryby na widelcu. - To byłem ja.

- Ty! - Brigitte nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, ja. Myślałem, że Tess jest na mnie zła i chciałem, żeby otworzyła drzwi, żebym mógł ją przeprosić, choć sam nie wiem za co.

Steve, do tej pory milczący, podniósł wzrok znad talerza.

- Naprawdę? Czy cudom nie ma końca?

Brigitte nie zwracała na niego uwagi.

- Nie wiedziałeś, za co? - Spojrzała na Jacka, potem na Tess.

- Doprawdy, *mapetite*, jeśli chcesz, żeby twój gniew przyniósł pożądane efekty, musisz mówić, o co się złościsz. - Urwała, by po chwili dodać z wyraźnym zdumieniem: - Chociaż akurat wobec Jacka nie miałaś do tej pory żadnych oporów, i mówiłaś, czym cię zdenerwował.

- Nie zdenerwował mnie - broniła się. - Wcale nie. Jack sobie to wymyślił.

- Oczywiście - włączył się o rozmowy. - Przecież teraz się dogadujemy, zapomniałaś? Tylko czasami trudno mi się do tego przyzwyczaić.

- Aha. - Brigitte nie wydawała się przekonana, ale dała spokój. Steve przyglądał się im podejrzliwie.

Tess grzebała widelcem w talerzu. Ryba była pyszna, świeża i gorąca, ale nie miała apetytu, choć nie jadła nic od poprzedniego wieczora.

Jakoś dotrwała do końca kolacji. Powinna zabić Brigitte, stwierdziła ponuro. To przez nią przestała bronić się przed Jackiem i dlatego teraz tak cierpi.

Jej zły humor wyraźnie denerwował matkę.

- Dlaczego się dasasz? - zapytała po kolacji. - Na Boga, zorganizowaliśmy ci wspaniałe wakacje.

- Sama sobie zaplanowałam wspaniałe wakacje z przyjaciółmi - odcięła się. - Nie pojechałam tam przez ciebie.

- Przeze mnie? Mamy Święto Dziękczynienia. Gdzie jest twoje miejsce w taki dzień, jeśli nie z rodziną?

Zanim Tess wymyśliła odpowiednią ripostę, u jej boku pojawił się Jack.

- Spacer - przypomniał trochę zbyt stanowczo. - Obiecałaś mi spacer przy księżycu. Przepraszamy, Brigitte.

Niczego mu nie obiecywała, ale nie chciała się kłócić. Wystarczy, że chce ją rzucić. Może lepiej, będzie to miała za sobą. Chociaż właściwie to głupota myśleć, że ją rzuci. Wcale nie musi jej rzucać, bo między nimi nic nie było. Przespali się ze sobą, i tyle. Powinna być na tyle rozsądna, by nie mylić seksu z miłością. Tak jak postępowi ludzie.

I barbarzyńcy, przemknęło jej przez głowę. Właściwie to wcale nie jest takie postępowe. Im więcej o tym myślała, tym bardziej uważała, że to prymitywne podejście.

Na brzegu morza zdjęli buty. Coraz bardziej oddalali się od domu. Ogromny okrągły księżyc wisiał nisko, tuż nad palmami. Nadawał wszystkiemu srebrzystą poświatę, odbijał się w spokojnej wodzie.

- Wygląda jak srebrna droga, spójrz. - Wskazał wstęgę światła na ciemnym morzu. Wziął ją za rękę.

- Wyobrażasz sobie, jak tu było przed wiekami? Samotny zagłowiec sunący przez noc przy świetle księżyca? Albo ludzie, sami na plaży, świadomi, że w promieniu wielu mil nie ma żywej duszy?

- Pięknie - przyznała, choć obawiała się, że nie wykrztusi ani słowa.

- Tess, chciałbym ci coś powiedzieć. - Odwrócił się, oparł rękę na jej ramionach.

Teraz, pomyślała. Cios.

- Zastanawiam się, czy nie zmienić pracy - powiedział. Z wrażenia otworzyła buzię.

- Dlaczego? Wydawało mi się, że lubisz to, co robisz.

- Pewnie. Ilu znasz takich, którzy kasują niezłą forszę za udawanie turysty na Karaibach? Było fajnie, ale czas dorosnąć.

- Ho, ho. Brzmi poważnie. Naprawdę?

Patrzył na nią z góry.

- Kpisz sobie ze mnie?

Roześmiała się lekko.

- Troszeczkę. Ale teraz poważnie: nie będzie ci z tym źle?

- Chyba nie. - Odchylił głowę do tyłu. Wiatr rozwiewał mu włosy. - Jezu, uwielbiam Karaiby. Zapach. Morską bryzę. Ludzi. Będzie mi tego brakowało.

- Więc nie zmieniaj pracy. Dlaczego miałbyś rzucić wszystko, co kochasz?

- Nie wszystko, co kocham. Nie sądzę, by mój obecny styl życia pasował do tego, który chcę przyjąć.

- Czyli?

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Czas popłynąć na nowe morza.

- Dlaczego?

- Wątpię, by jakakolwiek kobieta chciała mężczyznę, który robi to, co ja. Za dużo niebezpieczeństw, za dużo nieobecności.

- Aha. - No, już, pomyślała, stało się. Nie kłóć się już i teraz widzi w niej siostrę. Będzie się jej zwierzał, zaraz opowie o dziewczynie, gdzieś tam, na wyspach, za którą od dawna szaleje. Zapyta, czy zdaniem Tess nie powinien się już ustatkować?

- Tak jest - mruknął. - Czas dorosnąć.

Tak, zaraz jej opowie o Tawnee, Marli albo innej egzotycznej piękności o włosach splecionych w warkoczyki, skórze koloru kawy i olśniewającym uśmiechu. O prawdziwej piękności. Na pewno mówi z egzotycznym karaibskim akcentem, jak Jack. Nie widzi w niej wiktoriańskiej damy w ciasnym gorsecie. Jest pełna życia, jak on.

Lecz tylko patrzył na nią i milczał. Miała wrażenie, że jego wzrok przenika do jej duszy. Jej serce biło coraz mocniej. Delikatnie dotknął jej policzka.

- A ty? Jesteś gotowa dorosnąć?

- Już dawno dorosłam.

- Może za bardzo - zgodził się. - Jesteś aż za odpowiedzialna. Zbyt dorosła, chyba że jesteś ze mną.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu, choć jednocześnie czuła, że balansuje na granicy rozpaczy i szczęścia. Nie mogła uwierzyć we własne uczucia.

- Może masz rację.

- Budzę w tobie najgorsze instynkty.

- Czasami.

- Ale jeśli to są twoje najgorsze instynkty, skarbie, to jesteś aniołem. A twoje zalety... Cóż, jesteś wspaniała. Więc powiedz, można ze mną wytrzymać?

Czy można z nim wytrzymać? Co za głupie pytanie.

- Oczywiście. - Szaleje za nim. Nawet jej nie przeszkadza, że mówi do niej Mała. Właściwie to polubiła.

- Cóż - zebrał się na odwagę. - Chcę ci zadać pewne pytanie, ale obiecaj, że mnie nie zwymyślasz.

- Dobrze. - Jej serce biło coraz szybciej. Zaraz zapyta, czy uważa, że jakaś kobieta go zechce. Podczas gdy ona pragnęła by zapytał, czy ona, Tess, go chce.

- Widzisz, rzecz w tym - kreślił opuszkami palców zawył wzór na jej policzku - że chyba się w tobie zakochałem.

- We mnie? - Zapytała z niedowierzaniem. Nie tego się spodziewała.

- W tobie. Im więcej się kłóciliśmy, tym bardziej się utwierdzałem w tym przekonaniu. Miałem nadzieję, że dzięki kłótniom mi przejdzie. Nic z tego, Tess. Szaleję za tobą...

- Co?! - Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mieściło jej się to w głowie.

- Wiedziałem - ciągnął - że kiedy się zakocham, będę musiał pożegnać się z pracą. A uwielbiam to, co robię. Ale teraz to już nieważne. Mogę usiąść za biurkiem. Mogę prowadzić firmę. Zrobię wszystko, byle z tobą. Więc jak? Zwariowałem?

Wybuchła w niej radość, ogromna słoneczna radość, i szczęście tak wielkie, że aż zaniemówiła.

- Czy... czy tak bardzo cię wkurzyłem?

- Nie! - gwałtownie zaprzeczyła. Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że błędnie zrozumiała jej reakcję. I się załamał. Zanim wszystko popsuje, rzuciła mu się na szyję, oplotła nogami jego biodra, ukryła twarz w kołnierzyku jego koszuli, tak szczęśliwa, że zamknęła oczy i pozwoliła, by ogarnęła ją euforia. Objął ją mocno.

- Zakładam - szepnął jej do ucha - że cię nie przestraszyłem. Głęboko zaczerpnęła tchu, spojrzała mu prosto w oczy i szepnęła:

- Jestem zachwycona.

Odetchnął głośno, jakby z ulgą.

- Dzięki Bogu.

Epilog

Cóż - Steve spojrział na Brigitte - chyba dostałaś więcej, niż się spodziewałaś.

Słońce zachodziło piękną eksplozją czerwieni, kąpało w złotym blasku gości weselnych, którzy rozmawiali i żartowali na plaży w cieniu palm.

Brigitte, w sukni z fioletowego jedwabiu, z kwiatem magnolii w jasnych włosach, podniosła wzrok na męża, bardzo jej zdaniem przystojnego w hawajskiej koszuli i czerwonych szortach.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała leniwie.

- Och, nie myślisz chyba, że uwierzę, że od początku planowałam, że Jack i Tess się pobiorą.

- Od początku? - Uniosła brwi, od niechcenia machnęła wachlarzem i spojrzała na plażę, gdzie wśród rozbawionego tłumu tańczyła na piasku młoda para. Jack wygląda rewelacyjnie w białej koszuli i spodniach, a jej córka wręcz bosko w sarongu z białego jedwabiu.

- Nie, mój drogi - odparła mężowi. - Nie od początku. Nie wiem dokładnie, kiedy doszłam do wniosku, że to niemożliwe, by ich antypatię zrodziły tak rzadkie spotkania. Ale nawet wtedy...

- Nawet wtedy? - ponaglił, gdy umilkła.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Nawet wtedy nie byłam pewna. Tak naprawdę chciałam tylko spędzić z nimi święto.

- Więc dostałaś więcej, niż zaplanowałam.

- Och, nie. - Jej śmiech wzniosł się nad muzykę i pomknął z lekkim wiatrem. - Zawsze chcę więcej, niż dostaję. Porozmawiamy o tym, kiedy urodzą się wnuki.

Skinął głową, po czym spojrział na Jacka i Tess.

- Cieszę się, że mieszkają w Miami. I że Jack nie pracuje w terenie. Teraz będziemy się martwić o zwykłe, przyziemne sprawy.

Brigitte zaśmiała się.

- Z nimi? Nigdy. Jak myślisz, po miesiącu miodowym skończą latać nasz sufit?

Roześmiał się głośno.

- Obawiam się, że Jack nie będzie miał do tego głowy.

- To dobrze. - Wzięła go pod ramię. - Chcę, żeby moja córka była równie szczęśliwa jak ja.

- Naprawdę? - Jego oczy zalsniły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

- Naprawdę. - Przytuliła się do niego. - Ja mam mojego pana W., a teraz Tess ma swojego.